

RON PADGETT

- (w przekładzie Andrzeja Szuby)
- 4 Cokolwiek to jest • Dobry przykład
  - 5 Przy grobowcu Apollinaire'a
  - 6 Pies • Dzień Bastylii
  - 7 Wiersz • Szklaneczka soku  
pomarańczowego
  - 8 Notatki z pobytu za granicą
  - 9 Vermont: dwa szkice  
Opowieść o monarchii

## 40. ROCZNICA ŚMIERCI JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO

- |                     |     |                                                                                               |
|---------------------|-----|-----------------------------------------------------------------------------------------------|
| ANNA SYNORADZKA     | 11  | O zapiskach dziurawych<br>Jerzego Andrzejewskiego                                             |
| JERZY ANDRZEJEWSKI  | 13  | Dziennik intymny (10.6–21.8.1960)<br>w opracowaniu i z wprowadzeniem<br>Anny Synoradzkiej     |
| JERZY ANDRZEJEWSKI  | 51  | Drugi dziennik paryski (część pierwsza)<br>w opracowaniu i z komentarzem<br>Piotra Sobolczyka |
| PIOTR SOBOLCZYK     | 77  | Andrzejewski: okradziony<br>z dziennika?                                                      |
| MARCIN ANDRZEJEWSKI | 99  | Wspomnienie                                                                                   |
| BOGUSŁAW KIERC      | 101 | Psalm • Urodziny                                                                              |
|                     | 102 | Przejaśnienie                                                                                 |
|                     | 103 | Anioł Stróż • Polska jesień                                                                   |
|                     | 104 | Chrystus z odzysku                                                                            |
| ANNA PIWKOWSKA      | 105 | *** (Spójrz w tamten dzień)                                                                   |
|                     | 106 | Charty w mieście                                                                              |
|                     | 107 | Kolibry na śniegu                                                                             |
|                     | 108 | W hologramie • Jabłko<br>dla najpiękniejszej                                                  |
| KRYSTYNA RODOWSKA   | 111 | Nawet śmierć Cię nie znajdzie                                                                 |

|                           |     |                                         |
|---------------------------|-----|-----------------------------------------|
| PIOTR SZEWC               | 117 | Małe kawałki • Trzy lub cztery krzyżyki |
|                           | 118 | Rzeczy poważne • Gdzie indziej          |
|                           | 119 | Karmiliśmy się słowami • Gromnica       |
|                           | 120 | Późny wieczór                           |
|                           | 121 | Szerszenie • Łupina                     |
| JERZY PLUTOWICZ           | 122 | Sen o sąsiedzie                         |
|                           | 123 | Mit jesieni                             |
|                           | 124 | Elegia obrazu • W czasie przeszłym      |
| WALDEMAR KONTEWICZ        | 126 | Miasto                                  |
|                           | 127 | Koliber                                 |
|                           |     | VARIA                                   |
| KAZIMIERZ BRAKONIECKI     | 129 | Widnoksiąg (12)                         |
| STEFAN CHWIN              | 134 | Dziennik 2023 (3)                       |
| MAREK KĘDZIERSKI          | 144 | Marginalia (4)                          |
| KRZYSZTOF MYSZKOWSKI      | 154 | Komora (7)                              |
| LESZEK SZARUGA            | 162 | Świat, w którym żyłem (10)              |
| PIOTR SZEWC               | 167 | Z powodu i bez powodu (71)              |
| ARTUR SZŁOSAREK           | 169 | Notatki do zapomnianych podróży (16)    |
|                           |     | RECENZJE I NOTY O KSIĄŻKACH             |
| KRZYSZTOF MYSZKOWSKI      | 173 | <i>Dzieła</i> w toku                    |
| KAROL MALUSZCZAK          | 175 | Dichter: kilka razy Krynicki            |
| PAWEŁ TAŃSKI              | 179 | Chłopiec                                |
| ROBERT PAPIESKI           | 183 | Raport z obłąkanego świata              |
| MACIEJ WRÓBLEWSKI         | 186 | <i>Ignis</i> w ręku Tomasa Różyckiego   |
| KRZYSZTOF MYSZKOWSKI      | 190 | Oslabienie, odchodzenie                 |
| ALEKSANDER FIUT           | 194 | Portrety w autoportretach               |
| NOTY O AUTORACH           | 202 |                                         |
| BIBLIOTEKA                | 204 |                                         |
| KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO |     |                                         |
| NOWE KSIĄŻKI              | 208 |                                         |

Przedstawiamy premierowy fragment *Dziennika intymnego* Jerzego Andrzejewskiego i dopełniający go fragment *Drugiego dziennika paryskiego*, nawiązując do publikacji z 2000 roku uwieńczonych w 2002 wydaniem książki w Bibliotece „Kwartalnika Artystycznego”.

Diarystyka to ważny nurt prozy polskiej XX wieku. Tak wybrane jej osiągnięcia jak dzienniki Tołstoja, Dostojewskiego, Gide’a, Claudela, Manna, Kafki, Jüngera czy Greena, złożone nie tylko z ich prozą, ale także z listami, w literaturze polskiej kontynuowane są przez Dąbrowską, Nałkowską, Irzykowskiego, Elzenberga, Iwaszkiewicza, Gombrowicza, Andrzejewskiego, Herlinga-Grudzińskiego czy Białośzewskiego. Są częścią tego, co w prozie polskiej najlepsze, odwołując się do jej początków, czyli gawędy szlacheckiej. W „Kwartalniku” różne ich formy ciągle są obecne.

Dziennik Andrzejewskiego jest szczególnie ciekawy, rozdziela się i łączy w całość złożoną z trzech modułów – intymnego, literackiego i bezpośrednio przysobionego do narracji powieściowych, które są z nim zintegrowane.

Życie i fikcja – jedno rozbija i kształtuje drugie, czego przykładem są *Popiół i diament*, *Apelacja*, *Miazga* i *Sto lat temu i teraz*. Gra z cieniami, także cieniami samego siebie. Dziennik staje się formą korespondencji lub odwrotnie, co widać w *Dzienniku paryskim*.

Piotr Sobolczyk w inspirujący sposób ukazuje napięcia, które tworzą się między wydawałoby się biegunowo różnymi dokonaniem Gombrowicza i Andrzejewskiego, otwierając wnikliwsze badania i dyskusje na ten temat.

Rocznicowy blok zamyka wspomnienie Marcina Andrzejewskiego.

W numerze ponadto wiersze Rona Padgetta w przekładzie Andrzeja Szuby, wiersze Bogusława Kierca, Anny Piwkowskiej, Piotra Szewca, Jerzego Plutowicza i Waldemara Kontewicza, wspomnienie Krystyny Rodowskiej o Leszku Engelkingu, w dziale *Varia* stałe rubryki z *Dziennikiem* Stefana Chwina na czele oraz omówienie książek.

Krzysztof Myszkowski

RON PADGETT

w przekładzie Andrzeja Szuby

## Cokolwiek to jest

Poezja często przygnębia  
ponieważ traktuje o sprawach  
które się wydarzyły  
a potem zamieszkały  
w wierszach aby w nich umrzeć,

tymczasem

prawdziwy wiersz mieszka w swoim  
własnym małym domku który żyje  
w krajobrazie który żyje  
w umyśle czytelnika,  
i nikt go nigdy nie widział.

## Dobry przykład

*pamięci Virginii Quesenbery*

Szczęk miecza  
na halabardzie w jasnoblękitnym  
praniu nad czarnymi sznurami,

mury Carcassonne  
w papierze i tuszu  
gdzie dziesiątki lat później

Je suis touriste.  
Eh, bien,  
bon jour  
M. Blanc,  
Mme. Blanc,  
et tous les petits Blancs.

## Przy grobowcu Apollinaire'a

Śmierć Apollinaire'a budzi uczucia smutku i straty, smutku – bo zmarł w stosunkowo młodym wieku, straty – bo jakie niezwykle dzieła mógł napisać! Tylko pomyśleć – gdyby żył tak długo jak, powiedzmy, Eddie Blake, mógłbym się z nim w tej chwili spotkać! Za oceanem wiekowy, ale pełen wigoru Gui...

Ale on tam jest, oczywiście. Sześć stóp pod. Opisuując kondukt pogrzebowy i miejsce pochówku, Blaise Cendrars twierdzi, że kilka minut po pogrzebie nikt nie wiedział, w którym z dwóch podobnych grobów znajduje się trumna porucznika Apollinaire'a. Cendrars dodaje, że kiedy spojrzał w dół, skamieniał ze zgrozy na widok bryły darni do złudzenia przypominającej Apollinaire'a: *avait exactement la forme d'Apollinaire*. Inni autorzy, tacy jak Ginsberg czy Brownstein, też pisali o tym grobie. Wszystkich nas ciągnie do tego grobu.

Pod koniec 1965 wybrałem się po raz pierwszy na Père-Lachaise. To bardzo osobliwy cmentarz, zadziwił mnie swoją niefrasobliwością, tak że czułem się tam całkiem swobodnie. Po dłuższym poszukiwaniu stanąłem wreszcie przed miejscem spoczynku Wilhelma Kostrowickiego. To cudowne perłowszare francuskie światło zalewało sobą wszystko. Patrzyłem na ociosany z grubsza, wciąż nowoczesny kamień nagrobny. I wtedy, z wolna, zaczął się na nim pojawiać niewyraźny wizerunek, wizerunek krzyża. Mrówki chodziły mi po plecach, kiedy ten wizerunek się pojawiał, tak delikatnie rzeźbił się w kamieniu, a kiedy znów spojrzałem na ziemię, ujrzałem Apollinaire'a: wychynął z ziemi, powstał i, prosty jak deska, nachylał się ku mnie. Serce mi zatrzepotało, ale się nie bałem.

Rozejrzałem się wokół. Zniknął. Wszystko było jak wcześniej. Tak jakby.

## Pies

Nowojorskie ulice wyglądają głupio i są  
jakby nagie bez Teda i Edwina, którzy  
mogliby je rozświecić tym ofiarowanym im  
szczególnym rodzajem miłości i inteligencji  
w jakimś głębokim sensie tego słowa:  
Nowy Jork stracił coś ze swojego  
szorstkiego czaru i nie ma co udawać,  
że my albo przyszłe pokolenia  
możemy to jakoś zrekompensować.  
Słyszę szczekającego psa, mży,  
szósta rano, ta ulica nie jest  
konieczna, zero uroku i ciepła,  
po prostu gdzieś tam szczeka jakiś pies.  
Bardzo go nienawidzę.

## Dzień Bastylli

Podczas pierwszego pobytu w Paryżu  
poszedłem obejrzeć miejsce, gdzie  
kiedyś była Bastylia, i chociaż  
zobaczyłem tam kolumnę,  
byłem też świadom, że  
Bastylli tam nie ma:  
nie wiedziałem, jak  
zobaczyć pustkę.  
Ludzie chodzą obejrzeć  
nieistniejące Twin Towers  
i chyba lubią odczuwać  
brak czegoś.  
Nie lubię wiedzieć,  
że mojej matki

już nie ma, albo czuć,  
że wiem. Wybaczcie,  
że porównuję moją matkę  
do wielkich budynków. I że  
mówię o nieobecności.  
Czerwonoszare niebo  
nad dachami  
ciemniej i mieszkańcy  
spieszą do domów na kolację.  
Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

## Wiersz

Byłoby świetnie,  
gdyby ktoś, kogo kochasz,  
wstawał co rano wcześniej,  
by cię odwiedzić.  
„Nie przyjdzie dziś rano”.  
Granatowy  
z ciemnoczerwoną obwódką.

## Szklaneczka soku pomarańczowego

na białym obrusie  
nad jasnoniebieskimi nogami  
w hotelowej restauracji  
w miasteczku gdzieś w Polsce  
w roku 1936  
kontemplowana  
przez mężczyznę  
w kapeluszu  
na bakier  
pod kątem

równoległym do kąta  
pod jakim przechylony  
jest obraz  
na ścianie za nim:  
góry, a niżej  
puszcza i samotny  
jeleń, co właśnie  
na nas spojrział.

## Notatki z pobytu za granicą

Pierwszym słowem napisanym przez to pióro było słowo niebieski, kolor atramentu.

Podoba mi się, kiedy podobam się ludziom niepodobnym do mnie.

Ten blaszak przesuwają się w lewo, a niebo odsuwa się od niego we wszystkich kierunkach.

Francuzi mają nogi i włosy.

Od czasu do czasu muszę sobie robić wakacje od rzeczy osobistych, z którymi nie cierpię się rozstawać.

Powiedziała mi, w jakim stylu jest ten budynek. W każdym.

Jako dziecko poprzysiągłem sobie, że nigdy nie pojadę na Diabelską Wyspę.

Czarny chłopiec w czerwonych spodenkach niesie tacę z mrożonymi napojami: żółtym i pomarańczowym.

Nigdy nie mogę się pogodzić z faktem, że jedno z moich oczu widzi trochę inaczej niż to drugie.

Seks w zagranicznych hotelach.

Te palmy przelatują ze świstem.

Większość ludzi ma za krótkie nogi.

Brzoskwinia o zachodzie słońca, guajawa i jasnoniebieski.

Mogę powiedzieć wszystko, co chcę, ale nie mogę powiedzieć już nic więcej.

## Vermont: dwa szkice

Jesień na wsi. Siedzę na trawniku. Drogą nadchodzi żona z naręczem pięknych liści. Kiedy mija nas, idąc do domu, daje naszemu synowi jeden jasny czerwono-zielony liść klonu. Syn patrzy na niego. „Liść”, mówię. Dalej patrzy. „Ładny, co?” Delikatne, żarzące się zielenią unerwienie, przechodzące w bladą żółć i podpalaną czerwień na brzegach, wczesna wiosna i późna jesień w kapsułce. „Ładny, co?” Patrzy na niego, unosi wysoko nad głową i rzuca mi w twarz.

Czytam na dworze Whiteheada. „Ale ciało jest częścią zewnętrznego świata, jego kontynuacją. W rzeczywistości jest ono w równym stopniu częścią natury jak rzeka, góra czy obłok”. Słyszę jakiś hałas z lewej strony. Powietrze znieruchomiało. Nie podoba mi się, że ten krzak zmierza w moim kierunku.

## Opowieść o monarchii

Król skarży się Królowej:

„Kochanie, gdzieś przepadły moje kapcie”.

Królowa odpowiada:

„To ja ich poszukam”.

I zaczyna szukać.

Przeszukuje cały pałac,

całą okolicę.

Po kilku miesiącach wraca.

„Mam już twoje kapcie”,

mówi, podając mu dwie żaby.

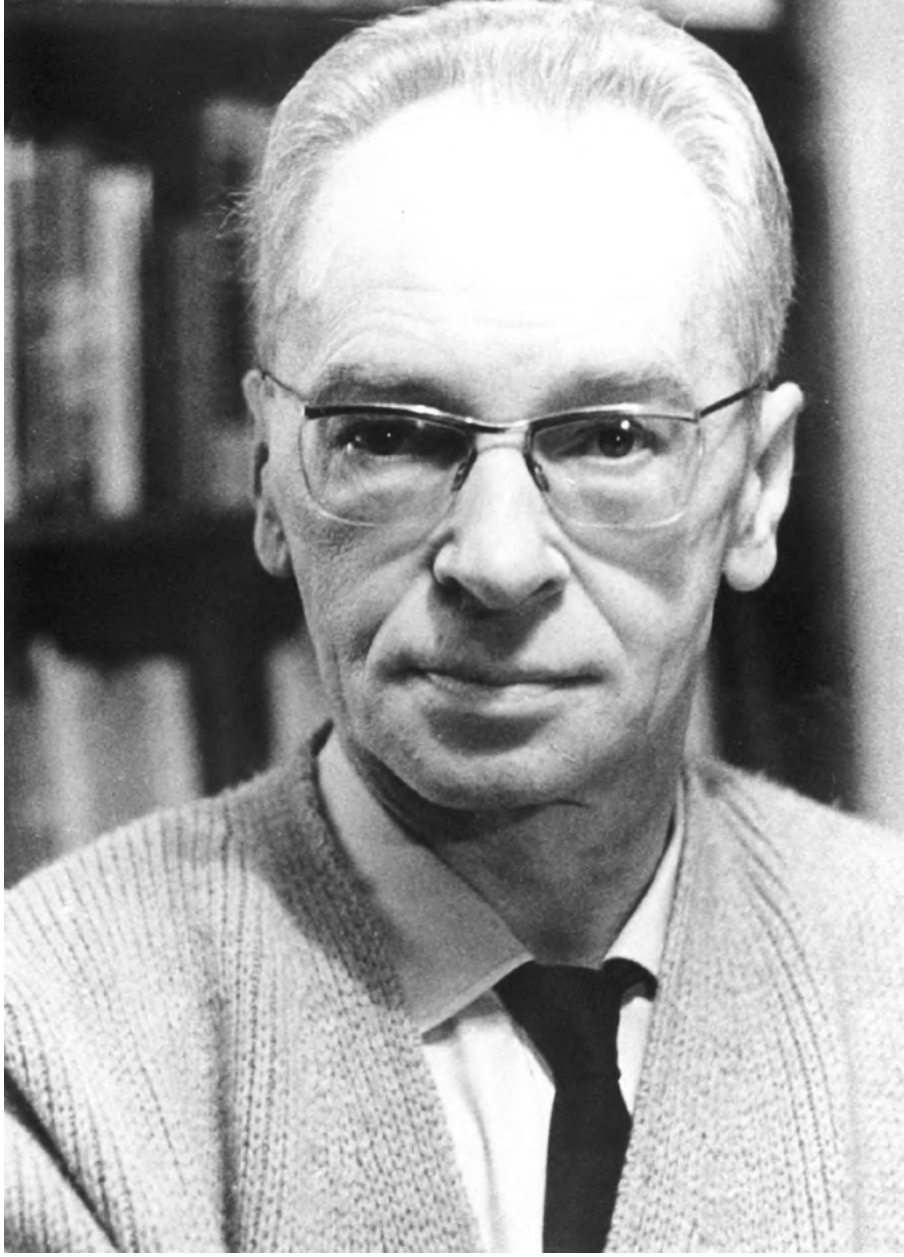
I wtedy słyszymy

dźwięk królewskiej trąbki:

to wezwanie do wojny. Na północy

wybuchło powstanie żab. Właśnie

skaczą w kierunku pałacu.



## O zapiskach diariuszowych Jerzego Andrzejewskiego

Ze wspomnień pisarza wynika, że pierwszy dziennik prowadził jeszcze jako nastolatek. Ten jego tekst, powierzony przyjacielowi, zaginął w czasie bombardowań Warszawy we wrześniu 1939 roku.

Do prowadzenia dziennych zapisków Andrzejewski wrócił w trakcie siedmiu pierwszych miesięcy okupacji. Stanowiły w tym czasie jedyną formę jego aktywności literackiej. Pisarz nosił się z zamiarem ich publikacji, czego dowodzi list wysłany w 1941 roku do krakowskiego wydawcy Stefana Kamińskiego. Z nieznanых mi przyczyn ten projekt wydawniczy nie został zrealizowany.

W październiku 1943 roku, kilka dni po przyjeździe na świat syna pisarza, Andrzejewski rozpoczął trzeci dziennik, któremu nadał tytuł *Zeszyt Marcina*, zapisując go na okładce szkolnego brulionu, w którym notatki prowadził.

Kiedy pod koniec lata 1944 roku, w czasie powstania warszawskiego, rodzina Andrzejewskich (Jerzy, Maria Abgarowicz oraz ich syn Marcin) przygotowywała się do opuszczenia miasta, pisarz zakopał w ziemi przy domu swoje archiwa, w tym dziennik z początku wojny. Wygnani z Bielan przez wojska niemieckie, zabrali ze sobą tylko to, co dało się ułożyć na dziecięcym wózku. Wśród tych przedmiotów znalazł swoje miejsce *Zeszyt Marcina* i dotarł on do Zakopanego, gdzie Andrzejewscy znaleźli schronienie. Jest to najstarszy z ocalałych dziennikowych zapisków pisarza. Autor opublikował jego fragmenty w prasie w roku 1959. Po śmierci Andrzejewskiego, jego córka Agnieszka opublikowała całość w skromnym nakładzie.

Przez okres powojenny, aż do końca życia, Andrzejewski kontynuował prowadzenie dziennych zapisków, ale czynił to w sposób niesystematyczny i w rozmaitej postaci materialnej: w szkolnych zeszytach, w notatnikach kieszonkowych, w kalendarzykach, na luźnych kartkach, jak również w postaci maszynopisów.

Pewne ich fragmenty opublikował. Tak się stało z notatkami z okresu tworzenia *Popiołu i diamentu* (czerwiec 1946–czerwiec 1947), które najpierw ukazały się w prasie, a po latach autor dodał je do niektórych wydań powieści. Andrzejewski włączył też dziennik z okresu pisania powieści *Apelacja* (październik 1967 roku) do drugiego, krajowego wydania tej książki.

Wspomniałam, że Andrzejewski jako diarysta nie był systematyczny. Przy tej okazji trzeba zaznaczyć, że gdy dłużej przebywał poza domem, dziennikowe zapiski zawierał w listach do żony Marii i w takich okolicznościach nie prowadził równolegle dziennika prywatnego. Korespondencja go zatem zastępowała. W korpusie zapisków diariuszowych słanych do Marii wyróżniają się serie listów z roku 1946, z Czechosłowacji, dokąd Andrzejewski się udał z oficjalną wizytą Związku Pisarzy Polskich, jak również dwie serie listów z pobytu w Paryżu: jedna z przełomu lat 1959/1960, druga z 1962 roku.

Pierwszą z nich Andrzejewski podarował w 1982 roku zaprzyjaźnionemu z nim Krzysztofowi Myszkowskiemu, wówczas młodemu absolwentowi studiów polonistycznych. W roku 2003 korpus ukazał się w serii Biblioteka „Kwartalnika Artystycznego” pod tytułem *Dziennik paryski*.

Fragment, który ukazuje się w „Kwartalniku” dzisiaj to zapiski spomiędzy dwóch okresów pobytu Andrzejewskiego w Paryżu. Pisarz dopiero co skończył pracę nad *Bramami raju* (nie spodziewając się absolutnie sukcesu, który to dzieło czekał) i rozpoczął wstępne rozmyślenia nad nową powieścią. W dzienniku z lata 1960 roku dobrze widać, jak rodziły się pierwotne pomysły do tej przyszłej książki. Autor nie mógł wówczas przypuszczać, że praca nad nią zajmie mu kolejnych dziesięć lat i że *Miazgę* (bo to o nią chodzi) czekać będą następnie wieloletnie perypetie wydawnicze.

Powojenne diariusze Andrzejewskiego w ich integralnej postaci nie znalazły niestety, póki co, swojego wydawcy, choć są do publikacji gotowe. Cieszę się, że ich fragment, „świeżo opracowane ineditum”, trafia dzisiaj do rąk czytelników.

Dziennik z lata 1960 roku znalazłam w archiwach Muzeum Literatury w postaci starannie przygotowanego maszynopisu, co pozwala sądzić, że autor zamierzał go opublikować. Tekst opatrzyłam przypisami.

Na koniec jedna uwaga: *Dzienniki literackie* Jerzego Andrzejewskiego z lat 1972–1981, wydane po śmierci autora w trzech tomach przez Wydawnictwo Czytelnik (dwa pod tytułem *Z dnia na dzień* i jeden jako *Gra z cieniem*) to jeszcze inny, osobny gatunek diariusza Andrzejewskiego. Był pierwotnie pisany jako cotygodniowy felieton (czyli bezpośrednio do druku) do pisma „Literatura”.

Anna Synoradzka

JERZY ANDRZEJEWSKI

## Dziennik intymny

(10.6–21.8.1960)

piątek, 10 czerwca 1960<sup>1</sup>

W domu po półrocznej nieobecności<sup>2</sup>. Długa podróż pociągiem – wyjechałem wczoraj o drugiej w południe, na Gard<sup>3</sup> du Nord Czesławowie<sup>4</sup>, Ania Jawicz<sup>5</sup>, Ewa Fiszer<sup>6</sup>, Lisowski<sup>7</sup>, przed tym pospiesznie ostatnie śniadanie w restauracji koło dworca, noc oczywiście prawie nieprzespana mimo wygodnego przedziału, w którym przez cały czas byłem sam, wreszcie w Warszawie z godzinnym opóźnieniem dzisiaj po ósmej wieczorem – nie tylko nuży, ale również dzięki swemu trwaniu odrealnia miejsce porzucone. Już teraz pejzaże, wśród których żyłem sześć miesięcy wydają mi się prawie nierzeczywiste. Marcin jeszcze urósł i wyższy ode mnie o dobrych kilka centymetrów, nieprawdopodobnie smukły, sprawia wrażenie wyjętego z obrazów El Greca, albo z wczesnych płócien Picassa. Agnieszka także bardzo się wyciągnęła, ale dzięki swym proporcjonalnym kształtom nie wydaje się tak wybujała.

---

<sup>1</sup> Pierwotnie w maszynopisie było „maja”, co zostało przekreślone długopisem i nadpisane „czerwca”.

<sup>2</sup> Od jesieni 1959 roku do wiosny roku 1960, Andrzejewski przebywał we Francji na stypendium Fundacji Forda. Jego zapiski z tego okresu (adresowane do rodziny) ukazały się jako *Dziennik paryski*, Warszawa 2003.

<sup>3</sup> W oryginale małą literą.

<sup>4</sup> Czesław Miłosz (1911–2004) – poeta, prozaik, eseista, historyk literatury, tłumacz. Po wojnie pracował w dyplomacji w USA, a w 1951, przebywając we Francji, zdecydował się na emigrację. Janina Miłosz, z domu Dłuska, *primo voto* Cękańska (1909–1986) – filmowczyni, pierwsza żona Czesława Miłosza.

<sup>5</sup> Anna Jawicz (1922–1982) – reżyserka filmów krótkometrażowych.

<sup>6</sup> Ewa Fiszer (1926–2000) – poetka oraz tłumaczka literatury anglojęzycznej i francuskiej.

<sup>7</sup> Jerzy Lisowski (1928–2004) – krytyk literacki, redaktor naczelny „Twórczości”, tłumacz literatury polskiej na francuski i francuskiej na polski. Anna Horoszkiewicz (ur. 1930) – pierwsza żona Lisowskiego.

niedziela, 12 czerwca 1960

Wczorajszy dzień i dzisiejszy – oba spędzone w domu i całkowicie poświęcone rozmowom oraz przeglądaniu zaległej korespondencji i prasy. Ogromna poza tym sterta nieciekawych wycinków prasowych, trochę wzmianek o *Bramach raju*, większość ze szczególnym upodobaniem podkreślających brak kropek. Wyjątkiem długa i bardzo przemądrzała kobyła Aliny Lisieckiej<sup>8</sup> w „Nowej Kulturze”<sup>9</sup>, przypisująca mi intencje filozoficzne, o jakich w ogóle mi się nie śniło, ale w rezultacie nadspodziewanie w obecnej sytuacji pozytywna i chyba dla wydania książkowego pożyteczna.

poniedziałek, 13 czerwca 1960

Rano w „Czytelniku” z Irenką Szymańską<sup>10</sup>, potem w PIW’ie<sup>11</sup> przyjemna niespodzianka ze spotkania Wandy Leopold<sup>12</sup> w roli nowego redaktora literatury współczesnej, *Bramy raju* rzeczywiście mają się ukazać jeszcze w tym roku, ale co najwyżej w nakładzie pięciu tysięcy.

Po południu parę godzin w małej kawiarni na Starym Mieście z Wajdami<sup>13</sup>, wieczorem z Mieciem Rakowskim w Klubie Dziennikarzy i już o później godzinie krótkie spotkanie, zupełnie przypadkowe z Marysią Brandysową<sup>14</sup> i Wilkiem Machem<sup>15</sup>, okazja, żeby powiedzieć Marysi, jak bardzo mi się podobała *Romantyczność* Kazika<sup>16</sup>, rzeczywiście zdumiewająco piękna i mądra, a także smutna.

---

<sup>8</sup> Alicja Lisiecka (ur. 1931) – krytyczka literacka, historyczka literatury, recenzentka.

<sup>9</sup> *Krucjata ubogich kochanków*, „Nowa Kultura” 1960, nr 20.

<sup>10</sup> Irena Szymańska, z domu Wiernik (1921–1999) – tłumaczka literatury pięknej, pisarka, wydawczyni, bliska przyjaciółka i powierniczka Andrzejewskiego.

<sup>11</sup> Państwowy Instytut Wydawniczy (PIW) – wydawnictwo założone w 1946 roku w Warszawie z siedzibą przy ulicy Foksal 17 w Warszawie.

<sup>12</sup> Wanda Leopold (1920–1977) – polonistka, krytyczka literacka, socjolożka kultury, w latach 1960–1964 kierowała Redakcją Polskiej Literatury Współczesnej w wydawnictwie PIW.

<sup>13</sup> Andrzej Wajda (1926–2016) – malarz, reżyser filmowy i teatralny. Zofia Żuchowska (1930–1989) – malarka, druga żona Andrzeja Wajdy.

<sup>14</sup> Maria Zenonowicz-Brandys (1916–2007) – żona pisarza Kazimierza Brandysa.

<sup>15</sup> Wilhelm Mach (1916–1965) – prozaik, eseista, krytyk literacki, poeta.

<sup>16</sup> Kazimierz Brandys (1916–2000) – prozaik, eseista, autor scenariuszy filmowych. *Romantyczność* – tom opowiadań opublikowanych w 1960 roku.

wtorek, 14 czerwca 1960

Po południu Jurek S.<sup>17</sup>, a wieczorem kilka osób na kolacji: Ania Pozner<sup>18</sup>, która jutro wraca do Paryża, Wilek i Henio Bereza<sup>19</sup>.

środa, 15 czerwca 1960

Leje deszcz, po południu z Bernardem W.<sup>20</sup>

czwartek, 16 czerwca 1960

Dużo w ciągu dnia rodzinnego brydża, wieczorem Zygmunt Mycielski<sup>21</sup>, bardzo zmęczony, bardzo podstarzały i śmiertelnie smutny.

piątek, 17 maja 1960

Zebranie Rady Nadzorczej „Czytelnika”, nudna dyskusja nad planem na przyszły rok, dużo wycieczek osobistych i ponad wszystkim ogólne zmęczenie, ograniczenia papierowe, ponieważ właśnie papierem usiłuje się załatać dziury eksportowe wywołane spadkiem cen węgla, niewesołe horoskopy dla wielu wznowień, właściwie pojęcia nie mam z czego my będziemy żyć i to już w najbliższym miesiącu.

Wieczorem Marysia na *Pasji św. Mateusza* w Filharmonii, a ja u Pawła Hertza<sup>22</sup> na długiej „rodaków rozmowie”.

sobota, 18 czerwca 1960

Po południu z Marysią<sup>23</sup> na Stawisku, po raz pierwszy od dobrych paru lat, a chyba w ogóle pierwszy raz, gdy dom jest prawie pusty i Jarosław<sup>24</sup> sam. Poszliśmy aż nad staw znów po wielu latach wypełniony wodą, mrowie młodziutkich białych kaczek

<sup>17</sup> Prawdopodobnie Jerzy Skolimowski (1938) – reżyser, scenarzysta, producent i aktor filmowy.

<sup>18</sup> Anna Posner (1917–2001) – francuska tłumaczka literatury polskiej.

<sup>19</sup> Henryk Bereza (1926–2012) – krytyk literacki, eseista, redaktor miesięcznika „Twórczość”.

<sup>20</sup> Postać nierozpoznana.

<sup>21</sup> Zygmunt Mycielski (1907–1987) – kompozytor, publicysta, pisarz i krytyk muzyczny.

<sup>22</sup> Paweł Hertz (1918–2001) – pisarz, poeta, tłumacz i wydawca.

<sup>23</sup> Maria Andrzejewska, z domu Abgarowicz, *primo voto* Czyściecka (1906–1971) – pianistka, muzykolożka, krytyczka muzyczna. Lata szkolne spędziła w Stanisławowie i we Lwowie, w 1925 wstąpiła na Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Jana Kazimierza i uczęszczała na studia muzykologiczne prowadzone przez profesora Adolfa Chybińskiego, a jednocześnie kontynuowała naukę gry fortepianowej pod kierunkiem profesor Heleny Ottawowej w konserwatorium lwowskim. Po trzech latach przerwała wszelkie studia (wskutek ciężkiego przejścia gruźlicy) i przeniosła się na dłuższy czas do Zakopanego. W czasie wojny przebywała w Warszawie, gdzie poznała swego przyszłego męża, znanego pisarza Jerzego Andrzejewskiego, którego poślubiła w styczniu 1946 roku w Krakowie.

<sup>24</sup> Jarosław Iwaszkiewicz (1894–1980) – prozaik, poeta, eseista, tłumacz.

podobnych do pingwinów, gdy zbijają się w ciasną gromadę zabawnie wyciągając cienkie szyjki, dużo wspomnień wśród rozmów raczej banalnych i obojętnych, już o zmierzchu, po kolacji, Jarosław odprowadził nas na stację, jutro leci na kilka dni do Rzymu, wciąż ciekawy świata, więcej chyba tego świata ciekaw i złacony niż ja o piętnaście lat od niego młodszy, wciąż tysiącem poplątanych spraw rodzinnych i obcych oplątany, ale bardziej niż kiedykolwiek samotny, stary i opuszczony.

Po powrocie, już w łóżku, ze zmieszanymi uczuciami czytałem parę nieznanych mi opowiadań świeżo wydanego tomu *Tatarak*<sup>25</sup> (nie lubię tego opowiadania), zawsze stary podziw dla Jarosława, ale i dużo goryczy wobec przemijania tych gładkich, potocznych zdań, należących już tylko do szybko się oddalającej przeszłości. Jeszcze kilka lat i czeka mnie chyba to samo: życie już tylko z pozorów, często nawet świetnych i błyskotliwych, wydaje się życie, będąc w istocie powolnym przybliżaniem się do śmierci.

niedziela, 19 czerwca 1960

Od kilku dni, po ciężkich upałach, gdy wróciłem, wciąż chłodno i deszcze padają prawie jesienne. Noce – zawsze złe i męcząco spane, w dzień – zmęczenie i obrzydliwa gnuśność umysłu i ciała. Zabijanie czasu brydżem. Pod wieczór dużo ludzi: Ruta<sup>26</sup>, która z końcem miesiąca wyjeżdża do Finlandii, Franek i młodzi Abgarowiczowie<sup>27</sup>, ona bardzo bezpośrednia, chyba ten typ młodej dziewczyny, która wie czego chce i osiąga to właśnie, czego chce, myślę, że po trzydziestce roztyje się; natomiast Grześ zupełnie otumaniony i jeśli zawsze był powolny i trochę rozlazły, to teraz – zakochany – porusza się, jak w kleistych oparach snu. Nie jestem pewien, czy tego rodzaju dziewczynie, co Renia, nie uprzykrzy się po pewnym czasie podobny sposób kochania. Oczywiście, to tylko mało obowiązujące przypuszczenia, ponieważ jeśli przed czymkolwiek wyobraźnia nawet najprzenikliwsza musi się zatrzymać, to przed intymną sferą należącą tylko do dwojga nagich ciał. Można snuć wiele domysłów na temat stosunków miłosnych dwojga ludzi, ale o łóżku można mówić tylko własnym, cudze – pozostaje nieprzeniknioną i najczęściej mało zrozumiałą tajemnicą. Nigdy i aż po dzień dzisiejszy nie znajdowałem upodobania w smakowaniu pornograficznych rysun-

---

<sup>25</sup> *Tatarak i inne opowiadania*, zbiór opublikowany w 1960 roku.

<sup>26</sup> Ruta Osmańczyk – była żona Edmunda Osmańczyka.

<sup>27</sup> Rodzina ze strony żony pisarza.

ków lub fotografii, oczywiście nie na skutek pruderii lub szczególnie delikatnych uczuć, lecz dzięki nie zawsze zresztą jasno uświadomionemu przeświadczeniu, iż nagość i kopulacja ukazane tylko przez nagość i kopulację poniżają nie siebie, lecz tych, którzy wobec wizerunku splecionych ciał albo żarłocznie pochyleni nad fotosami wyszukanych konfiguracji – drobnutki ułamek poznania biorą za poznanie całkowite. Pornografia istnieje w nas, nie w obiektach, które przywykliśmy mianem pornografii określać.

poniedziałek, 20 czerwca 1960

Leje deszcz i w mieszkaniu chłód, który w upały wydawałby się zbawieniem, ale teraz zaczyna już być dokuczliwy. Kartka z Moskwy od młodego Bertranda<sup>28</sup>. Poznany w wagonie restauracyjnym w Belgii przy wieczornym obiedzie, odwiedził mnie w przedziale jeszcze tego samego wieczora, a potem kilkakrotnie w ciągu długiego dnia następnego. Bezpośredni i inteligentny, zresztą mało paryski (pochodzi z zamożnej rodziny przemysłowej z Normandii), najpierw był zafascynowany egzotycznością swojej podróży, ale potem, po przekroczeniu granicy wschodniego Berlina, zupełnie zagubiony w obcym świecie. Koledzy, z którymi jechał w wagonie drugiej klasy, wszyscy studenci École de Commerce, też robili podobne wrażenie. Nie dziwię się im, bo i dla mnie, tak przywykłego do tego świata, też był to w pewnym momencie szok. Nieskończenie długi pociąg z czołgami przykrytymi brezentem, wolno sunący na Zachód; styl podróżowania Rosjan tym swobodniejszy im dalej się znajdowaliśmy od Paryża radio grające bez przerwy i nie dające się wyłączyć z chwilą opuszczenia Berlina Wschodniego; a przede wszystkim na jakiejś stacji przed Frankfurtem pociąg z żołnierzami rosyjskimi wracającymi do kraju razem z żonami i z dziećmi, obrazek sam przez się całkiem normalny, a jeśli przejmujący lekkim dreszczykiem, to chyba dlatego, że ci pół nadzy mężczyźni, te grube, o dobrych twarzach kobiety w sposób tak naturalny zagospodarowują się w każdych warunkach i znalazłszy się w gromadzie natychmiast zatracają cechy indywidualne, upodabniając się do owych dawnych ludów koczowniczych, które – nieczułe na nieprzychylności natury i na swój własny los – dążą wciąż przed siebie i ciągle przed siebie. Świat Zachodni wbrew wszystkiemu, co mu jest dane, dąży

---

<sup>28</sup> Postać nierozpoznana.

do trwałości i powtarzania, Wschód – miażdży te pragnienia, tu jest koniec, tu jest potrzeba wstrząśnięcia wszystkim, co dla [nieczytelne] jest ważne.

Po południu z Marylą i Witkiem Wirpszami<sup>29</sup> u Fukiera<sup>30</sup>.

wtorek, 23 czerwca 1960

Cały dzień w łóżku z powieścią Thomasa Wolfe'a<sup>31</sup> *Nie ma powrotu*, bez przekonania, że rację ma notatka reklamowa prezentująca Wolfe'a, jako spadkobiercę Dostojewskiego i Joyce'a. Silniejszych wrażeń przy żadnej stronicy, natomiast przy wielu dużo nudy i zniecierpliwienia. Zresztą może to wina małej w tej chwili wrażliwości na literaturę w ogóle. Zmęczony gadatliwością Wolfe'a sięgnąłem po południu po powieść Elzy Morante<sup>32</sup> *Wyspa Artura*<sup>33</sup> i nie mogąc się zmusić do czytania jej od pierwszej stronicy poddałem się na tyle urokowi fragmentów, iż mam już teraz ochotę na lekturę prawidłową. M.<sup>34</sup> zawsze mi zarzuca, że czytuję większość powieści w sposób szczególnie niechlujny. Nie wiem, czy to jest „sposób niechlujny”, ale rzeczywiście rzadko kiedy udaje mi się przeczytać powieść po raz pierwszy od początku do końca. Moje pierwsze zetknięcie z książką bywa zazwyczaj błędzeniem po stronicach, szukaniem, czytaniem fragmentów ze środka i końca, łątaniem dziur i dopiero, gdy te pierwsze dotknięcia zainteresują mnie – wracam do książki, już panując nad jej elementami i z pełnym luzem swobodnej obserwacji, jak to jest zrobione. Oczywiście, nikomu nie zalecałbym podobnej metody czytelniczej, a i sam wolałbym, aby w ten sposób moich książek nie czytano.

środa, 22 czerwca 1960

Wczesnym rankiem depesza od mojej londyńskiej agencji z prośbą o wyrażenie zgody na pertraktacje filmowe dotyczące *Ciemności kryją ziemię*. Na dworze wciąż szaro i bardzo jesienno. Rzadko mi się zdarza – trzy, cztery razy na rok – abym zaniedbał rannego golenia, pilnuję tego obrządku nawet wówczas, gdy jestem

---

<sup>29</sup> Maria Kurecka-Wirpszowa (1920–1989) – pisarka, tłumaczka literatury angielskiej, francuskiej i niemieckiej. Witold Wirpsza (1918–1985) – poeta, prozaik, krytyk, tłumacz literatury niemieckiej.

<sup>30</sup> Znana winiarnia przy Rynku Starego Miasta w Warszawie.

<sup>31</sup> Thomas Clayton Wolfe (1900–1938) – powieściopisarz amerykański. *Nie ma powrotu* (*You Can't Go Home Again*) – powieść z 1940 roku, przekład na język polski Maria Skibniewska, Warszawa 1959.

<sup>32</sup> Elsa Morante (1912–1985) – włoska pisarka i poetka.

<sup>33</sup> *L'isola di Arturo* – powieść z 1957 roku, przekład na język polski Barbara Sieroszewska, Warszawa 1960.

<sup>34</sup> Prawdopodobnie Maria, żona pisarza.

chory – więc dzisiaj właśnie owa rzadka, choć drobna przyjemność golenia zarostu dwudniowego. Łatwiej, prędzej, przyjemniej, jeśli w związku z tą czynnością w ogóle o przyjemności można mówić. O w pół do dwunastej z Krysią Bobińską<sup>35</sup> u Fukiera. Dużo lokalnych, związkowych plotek i przyjemność ujrzenia Krystyny po tyłu miesiącach. Po powrocie do domu napłątany list od agencji norweskiej, teraz jest godzina czwarta, wyrzało trochę słońca, przyniesiono naprawioną lodówkę, wypilem poobiednią kawę, przed chwilą zadzwonił Irek I.<sup>36</sup> prosząc o pożyczenie stu złotych, co – oczywiście w moich obecnych warunkach jest zupełną chimerą, nawet przed samym sobą nie mogę ukryć, że tych głupich i nieważnych notatek nie piszę z potrzeby, w istocie wypełnia mnie od dawna ugruntowany wstręt do wszelkiego składania słów i jeśli tę mało wdzięczną czynność usiłuję uprawiać od powrotu, to tylko dla poddania się pewnej elementarnej dyscyplinie. Każde słowo znajduję opakowane wata, a gdy się ich uzbiera kilka – ważą ciężką tonę. Nie umiem powiedzieć, jak często i w jakim stopniu moi przyjaciele oraz koledzy po piórze przeżywają ów może nie najistotniejszy, lecz szczególnie przykry kryzys pisarski. W Polsce, na skutek różnorodnych okoliczności i to nie od dzisiaj, ani od pozawczoraj, przywykło się mówić o trudnościach pisarskich w ogóle, przez to nic nie znaczące „w ogóle” rozumiejąc opory i trudności na tzw. szczytach, gdzie ceniom sztuki zwykły się ukazywać cienie najogromniejszego kalibru: narodu, historii, służby i obowiązku. Myślę nie bez pustej goryczy, ale i nie bez jałowej, złośliwej przekory (na to nas zawsze stać), że do tych prawideł rządzących polską sztuką normy i wymogi Polski Ludowej niewiele dodały, różniąc się w swych zaleceniach i nakazach nie tyle duchem litery, ile swoistą, do naszych czasów przymierzoną nomenklaturą. Leje się zawsze dużo krwi, i rosną krzywdy i cierpienia, gdy rząd nad starymi słowami obejmuje słowa nowe, ale wbrew kościom spalonym lub rozpadającym się powoli wśród piasków pustyni i szklistych mrozów pustych tajg, zjadliwa treść słów trwa niezmienna ponad dymami krematoriów i ponad ogromnymi lasami, skąd skarga dolatująca przestaje niekiedy być skargą, ważąc mniej niż mysz pisk, słowa – niestety – ponad tym kłębowiskiem ognia, bagien, mrozów i dymów trwają w swych przemianach równie trwałe i ciężkie, jak śmierć, jak żądza, jak marzenie. Nie chce mi się zresztą więcej na ten temat pisać, kłamstwa,

---

<sup>35</sup> Helena Bobińska z Brunów (1887–1968) – powieściopisarka, autorka książek dla dzieci i młodzieży oraz tłumaczka.

<sup>36</sup> Prawdopodobnie Ireneusz Iredyński (1939–1985) – prozaik, dramaturg, poeta, scenarzysta.

szaleństwa i cierpienie, strzał w plecy i długa agonia szklistymi oczyma wpatrzona w mroźne niebo pełne najpiękniejszych gwiazd, zdrada, głód i wiara dręczące bezsennymi nocami stare sumienie, a potem już się bez sumienia obywająca, naga i wszystko zachłannie pożerająca, patos kłamstwa, szalbierstwa nadziei, cynizm frazesu, kłamstwo, zawsze kłamstwo jak kret drążące swoje podziemne korytarze, pieniądze rzucone za wszystko i na nic, głośniki radiowe podobne do miotaczy ognia i harmonie paryskie towarzyszące słodkimi melodiami wszelkiej sprzedajności i wszelkiemu oszustwu, kochanek zabił kochankę, wielkiemu milionerowi porwano syna, jestem głodny, nic dzisiaj nie jadłem, daj mi dwa tysiące franków, żebym mógł coś zjeść, ludzkość jest postępową, przed dwudziestoma laty głodni ludzie zjadali siebie samych wśród przestrzeni, których nigdy jeszcze nie dotknęła ludzka stopa, pierwsi ludzie, którzy tę ziemię ujrzeli, byli jak Adam i jak Ewa wygnani z raju, oni byli tylko uciekinierami z obozu, który przeróżnymi kolejami zgromadził wrogów ludu, i kiedy zostali sami – czekali na czas, który by im pozwolił bezpiecznie pożreć własnych towarzyszy, nędza, wstyd, okrucieństwo, wstyd i nędza i jeszcze wiele innych rzeczy, jeszcze kleiste listeczki kasztanów, gdy marzec wyzwała się z chłodnych prądów powietrza, jeszcze chwila samotności, kiedy w wielkim mieście, wśród tłumów, światła i wszystkiego, co człowiekowi może być użyteczne, serce własne czujesz jak orzeszek i potem, głupi, zagubiony, zaczynasz pić, pić, żeby lepiej myśleć, żeby lepiej czuć, w dziewiątym<sup>37</sup> wydaniu „Paris Soir”<sup>38</sup> mogę odnaleźć wszystkie zbrodnie dnia, dokładny opis zamordowanej dziewczyny i równie szczegółowy opis tragicznego kochanka, właśnie usiadłem w moim małym bistro przy rue de Seine, zjem dwa sandwiche z szynką i napiję się trochę czerwonego wina – wyznaję ze wstydem, że i o tym wszystkim i o mnogości innych rzeczy, które są poda[wane] od rana do wieczora, pisać i nie chcę i nie mogę. Mam gdzieś cenzurę, gdybym wiedział, że to, co piszę, ma naprawdę wartość, żadne przepisy cenzury nie mogłyby mi stanąć w poprzek. Spędziłem przeszło pół roku za granicą i już w czwartym miesiącu byłem złacony mego kraju, jak ktoś, który – z natury zdradliwy – jednej rzeczy pozostał przez całe życie wierny. Trudno mi przyjdzie powiedzieć, że ponad wszystko, co w życiu kochałem, moja głupia i biedna ojczyzna zawsze była wiecznie smutno i beznadziejnie kochaną.

<sup>37</sup> Prawdopodobnie miało być „w dzisiejszym”.

<sup>38</sup> „Paris-Soir” (1923–1944) – dziennik francuski. Myślę, że Andrzejewski się pomylił, mając na myśli dziennik „France-soir” założony w 1944 roku i ogromnie popularny w latach sześćdziesiątych.

czwartek, 23 czerwca 1960

W PIW'ie z okazji imienin Wandy Leopold, dużo ludzi, wychodząc zabrałem teczkę z moimi różnymi artykułami i recenzjami jeszcze przedwojennymi z lat 1932 i 33<sup>39</sup>, ale po powrocie do domu brak odwagi, żeby do tych pisanin zajrzeć. Słabości pamięci, a nade wszystko bieg czasu wciąż przekształcający obraz naszego życia chronią nas w wielu wypadkach przed uczuciami zjadliwego i bezsilnego wstydu. Wobec słów kiedyś napisanych i utrwalonych nie ma ratunku.

W ostatnim numerze „Przeglądu Kulturalnego”<sup>40</sup> Andrzej Kijowski<sup>41</sup> w felietonie *Chwila szczerości* prezentuje swoje prywatne upodobania czytelnicze, stwierdzając, że ma nawet „swoją wymarzoną półkę książek nienapisanych, trochę niezależną od tego, co postuluję programowo”. I dalej: „Tak np. zawsze będę programowo domagał się od Andrzejewskiego nowej powieści, ale tak naprawdę chciałbym mieć na półce gruby dziennik tego pisarza: dziennik lektur, przeżyć, cierpień, wyznań. Myślę, że jest to pisarz, który nie odkrywa się w twórczości i nigdy się w niej nie odkryje. Myślę, że po prostu przerasta swoje książki, że forma literacka jest dla niego kostiumem, maską, a nie wyzwoleniem...”. Rzadko rodzaj krytyczny Kijowskiego trafia mi do przekonania, budząc najczęściej sprzeciw, irytację, a również i podejrzenia mało pochlebne dla jego charakteru i umysłu, ale tym razem, jakby w krótkim przebiegu szczególnie żywej intuicji, dotknął najistotniejszej chyba dla mnie sprawy. Jest właśnie dokładnie tak, jak Kijowski napisał. I moje wzmagające się w ostatnich latach znużenie literaturą, ciągly niedosyt – to jest to: świadomość, że nie znajduję w literaturze, lub znaleźć w niej nie potrafię pełnego wyzycia.

piątek, 24 czerwca 1960

Wieczorem tłumy ludzi u Janków Kottów<sup>42</sup>.

<sup>39</sup> Nie natknęłam się na ten materiał w Muzeum Literatury w Warszawie, gdzie spoczywa większość archiwum Jerzego Andrzejewskiego.

<sup>40</sup> „Przegląd Kulturalny” (1952–1963) – tygodnik wydawany w Warszawie. Redaktorem naczelnym do roku 1955 był Jerzy Andrzejewski.

<sup>41</sup> Andrzej Kijowski (1928–1985) – krytyk literacki, eseista, prozaik i scenarzysta.

<sup>42</sup> Jan Kott (1914–2001) – krytyk i teoretyk teatru, poeta, tłumacz, eseista, krytyk literacki. Lidia Joanna Kott, z domu Steinhaus (1919–2000) – żona Jana Kotta.

Wczoraj wieczorem, gdy Marysia z Agnieszką<sup>43</sup> i Jerzykiem W.<sup>44</sup>, który u nas nocował, poszła do kina na western<sup>45</sup> z Jamesem Stuartem<sup>46</sup>, dość długa rozmowa z Marcinem na temat jego planów pomaturalnych. Po raz pierwszy bez przekonania, natomiast bardzo rzeczowo i rozsądnie mówił o Szkole Filmowej, nie uczyniłem – oczywiście – nic, aby jego słuszne wątpliwości rozwiązać, zgodnie we dwójkę pogrzebaliśmy te od trzech bodaj lat trwające plany, aby się zastanowić nad projektem, którym mnie Marcin w pierwszej chwili zastrześlił: marynarką handlową.

sobota, 25 czerwca 1960

Rano w kawiarni na Starym Mieście z Adolfem R.<sup>47</sup>, którego zresztą widziałem wczoraj u Janków z uroczą Basią<sup>48</sup>.

Lektury ostatnich dni: *Wyspa Artura* Elzy Morante, *Pamiętniki Henrietty* z Działyńskich Błędowskiej<sup>49</sup>, *Toulouse-Lautrec* Perruchota<sup>50</sup>, *Nie ma Albertyny*<sup>51</sup> – tom, którego do tej pory nie znałem, zresztą chyba nieporównanie słabszy od wszystkiego, co go poprzedza.

niedziela, 26 czerwca 1960

Lektura *Faraona*<sup>52</sup>, od wielu lat nie czytanego.

poniedziałek, 27 czerwca 1960

Wciąż, ilekroć wyjdę na miasto, przygnębiające wrażenie biedy i brzydoty, tępe oczy, szare cery, znużone ruchy, wszystko: twarze, domy, ulice pozbawione wdzięku i radości życia.

---

<sup>43</sup> Agnieszka Andrzejewska (1946–2021) – redaktorka, tłumaczka, córka pisarza.

<sup>44</sup> Jerzy Wertenstein-Żuławski (1947–1996) – socjolog, badacz kultury młodzieżowej, publicysta, syn Wandy Wertenstein, przyjaciółki Andrzejewskiego.

<sup>45</sup> *Mściciel z Laramie* (*The Man from Laramie*) – amerykański western z 1955 roku w reżyserii Anthony'ego Manna.

<sup>46</sup> James Maitland Stewart (1908–1997) – amerykański aktor filmowy i teatralny.

<sup>47</sup> Adolf Rudnicki (1909–1990) – pisarz, prozaik i eseista.

<sup>48</sup> Barbara Baranowska (1934) – plastyczka, autorka niektórych okładek książek jej pierwszego męża, Adolfa Rudnickiego.

<sup>49</sup> *Pamiętniki przeszłości. Wspomnienia z lat 1794–1832* – pamiętniki Henriety Błędowskiej, opracowały i wstępem poprzedziły Ksenia Kostenicz i Zofia Makowiecka, Warszawa 1960.

<sup>50</sup> *La vie de Toulouse-Lautrec* – biografia autorstwa Henri Perruchota z 1958 roku, przekład na język polski Krystyna Dolatowska, Warszawa 1960.

<sup>51</sup> *Nie ma Albertyny* – szósty tom cyklu *W poszukiwaniu straconego czasu* Marcela Prousta (1871–1922). Na język polski przełożył Maciej Żurowski (1915–2003), Warszawa 1960.

<sup>52</sup> Bolesław Prus (1847–1912) – pisarz, prozaik, nowelista. *Faraon* – powieść z 1897 roku.

Po południu u Pawła H.<sup>53</sup>, który wieczorem jedzie do Wenecji, a stamtąd na parę miesięcy do Paryża. Dwie książki dla Tonii<sup>54</sup> i Piotra<sup>55</sup> Miłoszów oraz list do Zygmunta H.<sup>56</sup>

Zupełnie nowe i mnie samego zaskakujące wrażenia z lektury *Faraona*. Nic z arcydzieła, za jakie zawsze, od wczesnej młodości, *Faraona* uważałem, nic z bohaterskiego blasku Ramzesa<sup>57</sup>, wydał mi się teraz tylko zarozumiałym głupcem nic nie rozumiejącym z zawilego mechanizmu rządzenia. Pojmuję teraz (szkoda, że tak późno!), dlaczego *Faraon* nie zrobił kariery światowej; tylko nam, Polakom, mógł się Ramzes wydawać wielkim i tragicznym w swej klęsce. W oczach Zachodu prawo do tragiczności płaci się rozumieniem życia, nam wystarczają dobre intencje i szlachetne, brawurą podparte gesty.

wtorek, 28 czerwca 1960

Wstałem przed piątą, żeby pożegnać Agnieszkę<sup>58</sup>, która bardzo wczesnym samolotem leci do Krakowa z małą Toeplitzówną<sup>59</sup> i córką Turbowiczowej<sup>60</sup>. Piękny ranek, puste, jeszcze ciche ulice, świeża zieleń parku naprzeciwko, aż żal, że tę najpiękniejszą porę dnia latem zawsze się przesypia. Później na Dworcu Głównym z Marysią, żeby pożegnać Rutę O.<sup>61</sup> wyjeżdżającą do Helsinek przez Moskwę i Leningrad.

Wieczorem z Marysią i z Marcinem u Witków Wirpszów, gdzie byli również drudzy Witkowie, dawno niewidziani: Woroszyłscy<sup>62</sup>. Z płyt świetne nagranie Carla Orffa<sup>63</sup> *Carmina Burana*<sup>64</sup>, która wydała mi się jeszcze piękniejsza niż przed paroma

---

<sup>53</sup> Paweł Hertz – zob. przypis 21.

<sup>54</sup> Anthony „Tony” Oscar Miłosz (1947) – amerykański informatyk, muzyk, kompozytor i tłumacz. Syn Janiny i Czesława Miłoszów.

<sup>55</sup> Piotr Miłosz (1951) – syn Janiny i Czesława Miłoszów.

<sup>56</sup> Zygmunt Hertz (1908–1979) – współzałożyciel i pracownik Instytutu Literackiego, paryskiej „Kultury”.

<sup>57</sup> Ramzes XIII – tytułowy bohater powieści Prusa *Faraon*.

<sup>58</sup> Agnieszka Andrzejewska – zob. przypis 43.

<sup>59</sup> Zuzanna Izabella Toeplitz (ur. 1951) – psycholożka, nauczycielka akademicka, albo jej siostra Małgorzata Toeplitz-Winiewska (ur. 1946). Obie są córkami Jerzego Bonawentury Toeplitza (1909–1995) – historyka filmu, krytyka filmowego.

<sup>60</sup> Tożsamość postaci nieustalona.

<sup>61</sup> Ruta Osmańczyk – zob. przypis 25.

<sup>62</sup> Wiktor Woroszyłski (1927–1996) – poeta, prozaik, tłumacz i recenzent filmowy. Janina Woroszyłska, z domu Witczak (1925–2002) – doktor biologii, pracowniczka naukowa Uniwersytetu Warszawskiego (do 1969 roku), następnie Instytutu Żywności i Żywnienia, żona Wiktora.

<sup>63</sup> Carl Orff (1895–1982) – niemiecki kompozytor, pedagog i dyrygent.

<sup>64</sup> *Carmina Burana* – utwór z 1937 roku na orkiestrę, chór i głosy solowe.

laty, kiedy ją słyszałem po raz pierwszy w Filharmonii. Z tekstu *Catulla*<sup>65</sup> wynota-  
wałem dwa drobne fragmenty:

Tempus, tempus  
tempus amoris cubiculum  
non est.  
Sublata lucerna  
nulla est fides  
perfides omnia sunt.

Odi et amo, quare id faciam, fortasse requiris,  
nescio, sed fieri sentio et exerucior.

środa, 29 czerwca 1960

W poszukiwaniu lektury zupełnie przypadkowo znalazłem na jednej z półek ostatnią powieść Parnickiego<sup>66</sup> *Słowo i ciało*<sup>67</sup> wydaną i przysланą przez Pax podczas mojej nieobecności. Nie bez trudności przebrnąłem przez pierwszych kilkanaście stronic, ale i nawet przy stronach następnych, coraz pewniej w tekst wchodząc, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, jakiego musi doznawać człowiek wtrącony gwałtownie w sam środek ogromnego i skłębionego tłumu. Pojmuję ambitne intencje Parnickiego, wołałbym przecież znajdować w jego prozie precyzyjniejszą dyscyplinę konstrukcyjną. Wśród nadmiernego zagęszczenia wątków, scen i postaci czytelnik, nawet uważny, nie może się nie zgubić, gubiąc również ważność poszczególnych elementów.

Po południu krótko Jurek S.<sup>68</sup> i cała moja satysfakcja z tego spotkania, iż nie pragnąc go szczególnie natarczywie – mogłem spędzić przyjemną godzinę, już bez dawnych splątanych podtekstów, uboższy wprawdzie o wczorajsze uczucia, uboższy o wczorajsze pragnienia, ale równocześnie i o brak pragnień bogatszy.

Od paru dni myślę o książce, której pomysł wpadł mi do głowy jeszcze przed dwoma bodaj laty, w rozmowie z Heniem Berezą. Pamiętam, że wówczas Henryka

---

<sup>65</sup> *Catulli Carmina* – sceniczna kantata, skomponowana przez Carla Orffa w 1943 roku. Jej tekst został oparty na tekstach rzymskiego poety, Katullusa. Premiera polska odbyła się w Warszawie w 1957 roku.

<sup>66</sup> Teodor Parnicki (1908–1988) – pisarz, autor powieści historycznych i historyczno-fantastycznych.

<sup>67</sup> Powieść z 1958 roku.

<sup>68</sup> Jerzy Skolimowski – zob. przypis 7.

namawiałem, aby zabrał się do tej rzeczy: miałby to być rodzaj obszernej monografii, ale nie tylko autobiografii, zupełny luz formy, wyimaginowana twórczość, również i życie w stosunku do mego własnego częściowo przekształcone.

czwartek, 30 czerwca 1960

Po południu z Heniem Berezą u Fukiera. Do tego czasu powieść Parnickiego.

piątek, 1 lipca 1960

Cały dzień w domu, na dworze zupełna jesień, deszcz i wichura. Na biurku rośnie zaległa korespondencja, nie mogę się zmusić do jej uporządkowania.

sobota, 2 lipca 1960

Po wczesnym obiedzie Marcin do Oliwy, do Janków Abgarowiczów<sup>69</sup>. Pod wieczór u Ewy Fiszer<sup>70</sup>, która dopiero wróciła z Paryża. Marcin Czerwiński<sup>71</sup>, Artur Międzyrzecki<sup>72</sup>, Lenicowie<sup>73</sup> i krótkie pół godziny Andrzej Munk<sup>74</sup>. Wszyscy, chyba prócz jednego Lenicy, zmęczeni i oklapnięci, ale po pewnej ilości wina zrobiło się nawet dość wesoło i przyjemnie.

niedziela, 3 lipca 1960

List od Agnieszki pełen, jak zawsze, realiów, tym razem przede wszystkim krótkie charakterystyki wszystkich dziewcząt i również pani M. O niej najkapitałniej: pani M. na miejsu, ale nic interesującego.

Po południu rodzinny bridż z Anią<sup>75</sup> i Abgarowiczami.

poniedziałek, 4 lipca 1960

Rano rozległa korespondencja krajowa. Pogoda wciąż jesienna z wiatrem i deszczami, i z tym ciężkim kolorytem nieba, który chyba tylko jednemu Paryżowi użyczy urody.

---

<sup>69</sup> Jan Abgarowicz – brat Marii Abgarowicz, żony Andrzejewskiego.

<sup>70</sup> Ewa Fiszer (1926–2000) – poetka oraz tłumaczka literatury anglojęzycznej i francuskiej.

<sup>71</sup> Marcin Czerwiński (1924–2001) – socjolog.

<sup>72</sup> Artur Międzyrzecki (1922–1996) – poeta, tłumacz literatury francuskiej i anglosaskiej.

<sup>73</sup> Jan Lenica (1928–2001) – artysta plastyk, scenarzysta, krytyk sztuki, reżyser filmów animowanych. Teresa Sapetto, z domu Byszewska (1929–2018) – artystka plastyczka, żona artysty Jana Lenicy w latach 1955–1966.

<sup>74</sup> Andrzej Munk (1921–1961) – reżyser filmowy.

<sup>75</sup> Anna Sokołowska – siostra Marii Abgarowicz.

Wiedziałem, że Bernard W. ma ojca Anglika, ale jak się dzisiaj okazało ten ojciec jest pół Anglikiem i pół Japończykiem, natomiast matka Bernarda jest wynikiem koprodukcji niemiecko-włoskiej. Ten nieczęsto spotykany internacjonalizm powoduje, że Bernard jest pozbawiony poczucia jakiegokolwiek przynależności narodowej.

wtorek, 5 lipca 1960

Chcąc odsunąć od siebie nie tylko konieczność pisania, ale również samo o pisaniu myślenie zachodzę do pustych pokojów Marcina i Agnieszki, aby spośród ich książek wybrać dla siebie do odczytania te najłatwiejsze, które po prostu pozwolą mi ogłupić się i spędzić czas z pozornym przeświadczeniem, że coś robię. Tak więc dzisiaj, tkwiąc cały dzień w swoim fotelu za biurkiem i przy świetle przyćmionym dzięki zsuniętym u okna zasłonom przeczytałem starej Rodziewiczówny<sup>76</sup> *Strasznego dziadunia*<sup>77</sup> oraz dość uroczą książkę Edith Nesbith<sup>78</sup> *Feniks i dywan*<sup>79</sup>, którą wybrałem dlatego przede wszystkim, iż przełożyła ją Irena Tuwim, zawsze we wdzięcznej pamięci przechowana, jako tłumaczka *Kubusia Puchatka*<sup>80</sup>. Z tym wszystkim stan zupełnego odrętwienia, zastanawiam się chwilami nad śmiercią bohatera mojej przyszłej książki, jego śmierć, jej rodzaj wydaje mi się kluczem do całości, ale sam coraz częściej i to w różnych okolicznościach ogarnięty zostaję ostateczną nieruchomością własnego ciała i to są stany tak przerażającego strachu i również wstrętu, iż w tych właśnie momentach nie istnieje we mnie nic, co by się tej mojej zagładzie i memu nieistnieniu mogło skutecznie przeciwstawić. Czuję wówczas tylko moje nieistnienie, tylko martwe ciało zamknięte w trumnie i przesypane ogromnym ciężarem ciała. Strach nieobecności, strach, że mnie nie ma. Źle i głupio przeżyłem swoje życie. A gdyby mnie ktoś spytał – czy i w jaki sposób potrafię to naprawić, nie umiałbym odpowiedzieć. Już nawet nie rozpacz, tylko zmęczenie, ciężkie, głupie zmęczenie.

---

<sup>76</sup> Maria Rodziewiczówna (1864–1944) – pisarka.

<sup>77</sup> Powieść z 1887 roku.

<sup>78</sup> Edith Nesbit (1858–1924) – brytyjska pisarka i poetka, znana głównie jako autorka powieści dla dzieci.

<sup>79</sup> *Feniks i dywan* – powieść fantastyczna z 1904 roku, przekład Irena Tuwim, ilustracje Maria Orłowska-Gabryś, Warszawa 1959.

<sup>80</sup> *Winnie-the-Pooh* – powieść brytyjskiego pisarza Alana Milne'a (1882–1956) przekład Irena Tuwim, Warszawa 1945. Irena Tuwim (1898–1987) – poetka, prozaiczka, tłumaczka literatury dla dzieci i młodzieży, siostra Juliana Tuwima.

środa, 6 lipca 1960

Wczoraj już o dziewiątej w łóżku, zasnąłem prawie natychmiast, aby obudzić się koło drugiej z dokuczliwym biciem serca. Poszukałem w łazience kropli uspokajających i po nich, z częstymi przerwami, ale wciąż wśród snów wymagających ode mnie nadmiernego pośpiechu, spałem aż do godziny ósmej.

Przez całe przedpołudnie w poszukiwaniu najrozmaitszych czynności włączanie ze skracaniem nazbyt przydługich włosów oraz myciem głowy, wciąż jednak wśród natarczywych myśli krążących leniwie i bezładnie wokół projektowanej książki. I to, co zawsze: po olśnieniu pierwszym pomysłem – wzrastająca niewiedza umacniana poczuciem zupełnej bezsilności, odkładanie tej ostatecznej chwili, kiedy – tylko o decyzję mądrzejszy – piszę pewnego dnia pierwsze zdania, zdając sobie sprawę, że odnajdę dalsze, jeśli te początkowe, na podobieństwo różdżki czarodziejskiej, istotnie dotknęły czułego źródła.

Po południu z Marysią i z Anią na Osiedlu Młodych, u młodych Szulczewskich<sup>81</sup>, potem w deszcz szukanie odległej taksówki, żeby zdążyć przed siódmą do Teatru Współczesnego, gdzie byłem umówiony z Irenką S. Normalny, premierowy tłum znajomych i nudna, stara komedia Jules Renarda<sup>82</sup> *Knock*, czyli tryumf medycyny, odegrana ponadto w naszym polskim, powolnym tempie i wspomagana w tej celebrowanej ślamazarności przez upał i duchotę panujące na sali<sup>83</sup>. Wyszedłem dostatecznie zmęczony, żeby zrezygnować ze SPATIF-u<sup>84</sup> i na Mokotowskiej pożegnać się z Ireną i Michałowskimi<sup>85</sup>, najpierw zamierzając zejść do Kameralnej<sup>86</sup>, żeby coś zjeść i wypić parę kieliszków wódki, ale potem i ten zamysł, nigdy nie wiadomo jakim końcem zamknięty, wydał mi się nazbyt uciążliwy, więc tylko doszedłem pułkowskiej Nowym Światem do Świętokrzyskiej i tam wsiadłem w pospieszny autobus, zatrzymujący się teraz kilka kroków od naszego domu. Ale jeszcze przed

<sup>81</sup> Jerzy Szulczewski i jego żona Aleksandra. On był korepetytorem matematyki obojga dzieci Andrzejewskich.

<sup>82</sup> Jules Renard (1864–1910) – pisarz francuski, autor powieści i sztuk teatralnych. Andrzejewski podał jego nazwisko omyłkowo. W rzeczywistości autorem sztuki, o której mowa, był Jules Romains (1885–1972) – francuski pisarz, dramaturg, nowelista.

<sup>83</sup> *Knock czyli Triumf medycyny* (Jules Romains), Teatr Współczesny w Warszawie, data premiery 30 czerwca 1960, reżyseria Erwin Axer, przekład Edward Woroniecki

<sup>84</sup> Klub Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu w Alejach Ujazdowskich pod numerem 45.

<sup>85</sup> Prawdopodobnie Kazimierz Michałowski (1901–1981) – archeolog, egiptolog, historyk sztuki i Krystyna Baniewicz Michałowska (1911–2010) – córka Tadeusza Baniewicza, jednego z założycieli Podkopy Leśnej, i żona profesora Michałowskiego. Studiowała malarstwo.

<sup>86</sup> Kameralna dzieliła się na trzy części: Kameralna dzienna pierwsza (przy ulicy Foksal), Kameralna dzienna (przy ulicy Kopernika, naprzeciwko kina Skarpa) i Kameralna (także przy ulicy Foksal).

tym, gdzieś mniej więcej w połowie drogi między Chmielną i Warecką, zapragnąłem przez kilka chwil nie wracać jeszcze do domu i dać się pociągnąć niewiadomej przygodzie, a to wówczas, gdy mijał mnie młody, wysoki chłopiec o jasnych, krótko przystrzyżonych włosach, spojrzeliśmy na siebie, ja się po chwili odwróciłem, on w tym samym momencie uczynił to samo, szedłem jednak dalej, w istocie pragnąc zawrócić, szedłem bardzo wolno, jakbym tą powolnością kroku zamierzał pogodzić sprzeczność pragnień i rozsądku, do autobusu wsiadłem bez zadowolenia, ale także i z pewnym uczuciem ulgi.

czwartek, 7 lipca 1960

Wstrzymując się od prosków zasnąłem gdzieś pomiędzy pierwszą a drugą, męczony dokuczliwym swędzeniem całego ciała oraz mglistym myśleniem o książce. Wciąż nie potrafię odpowiedzieć sobie na kilka zasadniczych kwestii: czy ma to być tzw. pełna biografia, napisana przez określoną indywidualność, czy też raczej beznamiętne, rzeczowe materiały do projektowanej biografii; konieczność stworzenia całkowicie nowej twórczości jest oczywista, natomiast mniej oczywista wydaje mi się sprawa wierności autobiograficznej, a więc zachować tę wierność, czy zdecydować się na odejście od niej, a jeśli tak, to w jakim kierunku, jakie to ma być życie i co przede wszystkim mogę w podobnym wypadku uzyskać? Jeśli materiały do przyszłej monografii, to chyba ułożone najprościej, po prostu chronologicznie, według lat postępujących. Przychodzi mi przecież w tej chwili pomysł, że można jeszcze pójść drogą trzecią, łączącą niejako obie propozycje: przekształcać, mianowicie, charakter samej relacji, a to dzięki wzrastającemu zaangażowaniu narratora w sprawy osobiste związane z przeszłością.

Jeszcze w związku z wczorajszym przedstawieniem: prawie wszystkim aktorom udało się znakomicie być Francuzami, duch małej prowincji galicyjskiej i to sprzed pierwszej wojny unosił się czarodziejsko ponad sceną.

O jedenastej umówione wczoraj telefoniczne spotkanie z Mrożkiem<sup>87</sup>, żeby mu oddać paryską umowę na *Policjantów*<sup>88</sup> wręczoną mi na odjeźdźnym przez

---

<sup>87</sup> Sławomir Mrożek (1930–2013) – pisarz oraz rysownik.

<sup>88</sup> *Policja (Policjanci)* – debiutancki dramat Sławomira Mrożka z 1958 roku. Opublikowany został w numerze 6 miesięcznika „Dialog”, wystawiony zaś po raz pierwszy w Teatrze Dramatycznym w Warszawie. Przedstawienie francuskie *Les policiers* w adaptacji Evy Goriély, w reżyserii Sergio Gersteina, Théâtre du Tertre w Paryżu.

Ewę Goriély<sup>89</sup>. Mimo dość sympatycznego śniadania zjedzonego razem z nią na tydzień przed moim odjazdem – upalna niedziela w opustoszałym Paryżu, śniadanie w nieznanej mi do tej pory restauracji przy końcu rue St. Benoit – nie mogę wzbudzić w sobie cieplejszych uczuć dla tej osoby, nie będąc zresztą pewien, czy jej układność z ostatniego spotkania nie była podyktowana tym przede wszystkim, iż po moim nie najgrzeczniejszym telefonie poczuła się zagrożona w swoich możliwościach tłumaczki. Możliwe zresztą, że ją krzywdzę, ale że jest antypatyczna, zarozumiała i wściekle interesowna – to zdanie wszystkich, którzy znają mnie i znają ją. Z Mrożkiem umówiliśmy się w „Dziekance”<sup>90</sup>, okazała się jednak zamknięta, zaszliśmy więc do parterowej kawiarni w „Bristolu”<sup>91</sup>, skąd zniknęły owe osławione luksusowe meble, nazywane w swoim czasie stylem Louis Bierut, ciekawe, gdzie je umieszczono. Mrozek – mimo auta i żony – ten sam, którego widywałem kilkakrotnie jeszcze przed kilkoma laty w Krakowie, gdy cierpiał na kompleks pisarza prowincjonalnego: zneurastenizowany i pielęgnujący wszystkie swoje stany oraz trudności, ale równocześnie dość trzeźwy, aby rozsądnie nimi gospodarować, z pełną świadomością, że właśnie dzięki rozlicznym swoim słabościom jest piekielnie silny. Nie sądzę, aby ze szczególną troską należało myśleć o jego przyszłości, to swego rodzaju „koń niepokonany”, czego nie powiedziałbym o Andrzej Munku, którego zaraz po rozstaniu z Mrożkiem spotkałem na Krakowskim Przedmieściu. Poszliśmy na parę wermutów do pobliskiej kawiarni i w ciągu godziny mieliśmy możliwość swobodnego wypapraszania ze siebie całych gór bezradnego i w gruncie rzeczy jałowego pesymizmu. Coraz mocniej ugruntowuję się w przekonaniu, że znużenie, stan zagubienia oraz brak perspektyw na przyszłość, a więc myśli i uczucia, które zdają się być obecnie udziałem prawie wszystkich ludzi sztuki usiłujących myśleć uczciwie i samodzielnie, nie są rezultatem ciężkiej sytuacji panującej u nas w kraju od wielu miesięcy, a zaprzeczającej tym nadziejom, które niósł wielu jednostkom Październik<sup>92</sup>, lecz wynikają z racji o wiele rozleglejszych niż nawet najbardziej dokuczliwe prze-

<sup>89</sup> Ewa Goriély – tłumaczka literatury polskiej na francuski. W jej tłumaczeniu opowiadanie Andrzeja Wielkiego *Wielki Tydzień*, Lyon 1958.

<sup>90</sup> Krakowskie Przedmieście 56, gdzie w budynku tuż za pomnikiem Adama Mickiewicza znajdowała się Dziekanka.

<sup>91</sup> Hotel Bristol – pięciogwiazdkowy hotel w Warszawie znajdujący się przy ulicy Krakowskie Przedmieście 42/44, w bezpośrednim sąsiedztwie Pałacu Prezydenckiego.

<sup>92</sup> Umowna nazwa okresu odwilży po latach stalinowskich, którego ważnym momentem była rehabilitacja Władysława Gomułki i powierzenie mu w październiku 1956 roku funkcji I sekretarza PZPR.

jawy naszego życia tutaj, po tej stronie świata określającego poprzez slogany przywódców, jako świat pokoju, wolności i socjalizmu. Oczywiście, odgrywa pewną rolę fakt godny pożałowania, iż tak, jak żołnierz maszerujący w swojej kolumnie, musimy wyrównywać naszą sztukę w stosunku do naszych sąsiadów, to znaczy musimy się cofać, aby i w tej dziedzinie zachować wzorową postawę szeregowca podążającego posłusznie i z szacunkiem za swoim dowódcą. Ale nawet te wszystkie niesprzyjające okoliczności uwzględniając i bynajmniej ich nie lekceważąc, choćby z tego względu, iż one kształtują tę niejako pierwszą warstwę ograniczenia i nacisku – niepodobna w zjawisku kryzysu, przenikającego sfery humanistyczno-filozoficzne, nie dojrzeć skazy, której zasięg wydaje się powszechny, nie związany z formami ustrojowymi, natomiast ściśle powiązany z współczesnym kształtem świata i z tymi perspektywami, ku którym ludzkość dwudziestego wieku w sposób nieunikniony, jak się wydaje, zdąża, i znów bez względu na dzielące ją różnice społeczno-gospodarcze. Ideologie – te na razie należą do przeszłości, bezsilność wszystkich wyrównuje szanse wszystkich, nawet tych, które usiłują nadać sobie pozory życia, natomiast ich funkcje przyjmuje całkowicie i coraz wyraźniej pewien określony typ cywilizacji, jeszcze nie wszędzie w swym procesie rozwojowym jednakowy, przeciwnie – jaskrawo zróżnicowany, lecz w zasadzie: w tymczasowych osiągnięciach i w zamierzeniach przeniknięty tym samym duchem, jeśli wolno tego sponiewieranego pojęcia użyć dla określenia miary tak wszelkiego pierwiastka duchowego pozbawionej.

Wieczorem na kolacji Kajutkowie Malinowscy<sup>93</sup> i pani Bronia Littauerowa<sup>94</sup>, przyjaciółka Marysi jeszcze z dawnych lat zakopiańskich<sup>95</sup>.

---

<sup>93</sup> Kazimierz Malinowski (1907–1977) – profesor nauk humanistycznych, muzeolog. W latach 1948–1956 i 1966–1977 dyrektor Muzeum Narodowego w Poznaniu. Loda – jego żona

<sup>94</sup> Trzecia żona Stefana Litauera (1892–1959) polskiego dziennikarza, radcy prasowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, podejrzanego o współpracę z wywiadem sowieckim. O jego ostatniej żonie udało się ustalić jedynie to, że wzięła z nim ślub w 1954 roku i jest uwidoczniiona na portrecie Witkacego z 1938 roku.

<sup>95</sup> Maria Abgarowicz pod koniec studiów muzycznych zachorowała na gruźlicę i leczyła się długo w Zakopanem, co zламаło jej karierę pianistki.

piątek, 8 lipca 1960

Całe przedpołudnie z *Wybrańcem* Tomasza Manna<sup>96</sup>. Mówiła mi Irenka Sz., o zazdrośnym podziwie pani Marii D.<sup>97</sup> wobec twórczości Manna i to szczególnie tej z ostatnich lat życia, od *Dr. Faustusa* począwszy (może *Lotty w Weimarze*) i na *Oszukanej* i *Wybrańcu* kończąc. „To jest jej rana” – powiedziała Irena. I słusznie. Mann jest raną dla każdego współczesnego pisarza, bez względu na to, czy się o tym wie, czy nie i czy się lubi Manna, czy też zachowuje się wobec niego stosunek niechęci lub chłodnej obojętności. Aby uśmierzyć tę nadto dokuczającą ranę czytałem przez resztę dnia *Małego lorda*<sup>98</sup> oraz krótkie nowele Conan Doyle’a<sup>99</sup>.

sobota, 9 lipca 1960

Na pół do dziewiątej do Filmu Polskiego<sup>100</sup>, na umówione spotkanie z Zaorskim<sup>101</sup>. Rozmowa nie długa, przebiegła zgodnie z moimi oczekiwaniami, to znaczy w atmosferze przyjaznej serdeczności i wzajemnego zrozumienia, wyłożyłem wszystkie powody, dla których nie chcę i nie zamierzam dobrowolnie zrezygnować ze stanowiska kierownika literackiego, oczekując, aby w istniejącej obecnie sytuacji mnie wymówiono, a nie, żebym ja manifestował uczucia, przyjmując na siebie inicjatywę nie do mnie w tym wypadku należącą. W parę godzin później jakby łaskawy los pragnął wynagrodzić mi depresję materialną, dowiedziałem się w PIW’ie, że na kolegium redakcyjnym dopiero co zakończonym zdecydowano wznowienie w przyszłym roku tomu *Niby gaj*<sup>102</sup> i z tego tytułu otrzymam niebawem czterdziestoprocentową zaliczkę, więc możliwość paru spokojnych miesięcy,

<sup>96</sup> Tomasz Mann (1875–1955) – niemiecki prozaik i eseista, laureat literackiej Nagrody Nobla z 1929 roku. *Wybrańiec* – powieść z 1951 roku, przekład na język polski Anna Maria Linke (1916–1989), Warszawa 1960.

<sup>97</sup> Maria Dąbrowska, z domu Szumska (1889–1965) – powieściopisarka, eseistka, dramatopisarka, tłumaczka dzieł literatury duńskiej, angielskiej i rosyjskiej; jedna z najważniejszych polskich powieściopisarek XX wieku.

<sup>98</sup> *Mały Lord* (*Little Lord Fauntleroy*) – powieść angielskiej pisarki Frances Hodgson Burnett (1849–1924), będąca jej pierwszym utworem, skierowanym do młodych czytelników.

<sup>99</sup> Arthur Ignatius Conan Doyle (1859–1930) – szkocki pisarz, lekarz, wolnomularz, spirytysta, czołowy przedstawiciel nurtu powieści detektywistycznych, twórca postaci Sherlocka Holmesa.

<sup>100</sup> Przedsiębiorstwo Państwowe „Film Polski” – istniejące w latach 1945–1952, następnie przemianowane na Naczelny Zarząd Kinematografii Ministerstwa Kultury i Sztuk, którego zadaniem była produkcja i dystrybucja filmów oraz organizacja życia kulturalnego.

<sup>101</sup> Tadeusz Zaorski (1917–1993) – szef kinematografii polskiej w latach 1957–1968, w latach sześćdziesiątych także wiceminister kultury i sztuki.

<sup>102</sup> *Niby gaj: opowiadania 1933–1958*, pierwsze wydanie w 1959 roku.

a przede wszystkim ulga, że weksle pobrane w ZAIKS'ie przed moim wyjazdem do Paryża i żyrowane przez Słonimskiego<sup>103</sup>, będą mogły być spłacane w terminach.

Przed PIW'em długa rozmowa z Ireną S. w kawiarni „Czytelnika”<sup>104</sup>, między innymi o mojej planowanej książce. Nie po raz pierwszy odczuwam tę potrzebę, a nawet konieczność, aby nim zacząć pisać – opowiadać o swoich zamierzeniach co najmniej kilku osobom, z których zdaniem szczególnie się liczę. I nie chodzi mi w podobnych wypadkach tylko o akceptację moich zamierzeń, bardziej jest mi potrzebne samo mówienie, ponieważ opowiadając sam sobie wiele rzeczy wyjaśniam i zdarza się niekiedy, jeśli nie zawsze, że w trakcie opowiadania, osaczony lukami i niepewnościami, a chcąc moją myśl wyrazić możliwie najpełniej i najjaśniej, przychodzą mi do głowy pomysły, których, być może, nie uchwyciłbym w samotności, w dialogu z samym sobą. I tak np. dzisiaj w rozmowie z Ireną nie tylko bardzo dokładnie zarysował mi się początek książki, ale również konieczność odejścia w wielu sprawach od wiernej autobiografii. Pierwsze zdania towarzyszyły mi przez cały czas, gdy jak żółw wolno się wlokąc 4-ką jechałem rano do Filmu, ale możliwości wynikające z tych zdań wyklarowały mi się dopiero w obecności Ireny. Wracałem do domu już prawie pewien, że tę książkę muszę napisać. Niewygodnie mi pisać „książka”, więc nie znajdując na razie tytułu ostatecznego umówimy się, że prowizorycznie ma się ta rzecz nazywać „Portret”, choć to tytuł bardzo niedobry. Poza tym trochę o Eli Cz.<sup>105</sup>, w której kocha się obecnie Jurek S.<sup>106</sup> i na dodatek całkiem zaskakujące szczegóły dotyczące intymnego życia B.<sup>107</sup> Któż by mógł przypuścić, że ta ogromna kupa mięsa potrafi być jeszcze kimś innym niż wygodnym oportunistą! Natomiast charakterystyka Eli Cz. nakreślona przez Irenę natychmiast podsunęła mi pomysł, aby w „Portrecie” wszystkie historie sprzed kilku lat, związane z osobą Marka, związać z postacią młodziutkiej aktorki, wykorzystując bardzo dla mnie przekonujące uwagi

---

<sup>103</sup> Antoni Słonimski (1895–1976) – poeta, dramaturg, prozaik, felietonista, tłumacz.

<sup>104</sup> Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” – wydawnictwo literackie założone w 1944 roku w Lublinie z inicjatywy Jerzego Borejszy, w 1945 roku po półrocznej działalności w Łodzi przeniesione ostatecznie do Warszawy na ul. Wiejską 12. Kawiarnia przy wydawnictwie była bardzo popularnym miejscem spotkań artystów, a w rezultacie ośrodkiem kultury i kontrkultury.

<sup>105</sup> Elżbieta Czyżewska (1938–2010) – aktorka filmowa i teatralna, od 1968 roku na emigracji w Stanach Zjednoczonych.

<sup>106</sup> Jerzy Skolimowski – zob. przypis 17.

<sup>107</sup> Postać nierozpoznana.

Andrzeja K.<sup>108</sup> w jego szkicu o Holoubku<sup>109</sup> i motywach jego genialnego aktorstwa. Lubię te chwile, zresztą nie częste, kiedy niemal wszystko, co się dokoła mnie dzieje: rozmowy, pejzaż, luźne skojarzenia zdąża powolnie i niejako bez mojego udziału ku wyłaniającym się z ciemności kształtom projektowanej książki. To szczególne uczucie wobec wypełniania się pustych przed chwilą przestrzeni, wypełniania jeszcze fragmentarycznego, lecz już w tej częściowości niosącego zapowiedź kształtów ostatecznych.

Z tym wszystkim dużo przez cały czas myślenia o *Wybrańcu*, po powrocie do domu przeglądanie egzemplarza po raz drugi i wobec coraz to nowych piękności schronienie się z wiadomych powodów w krzyżówkę „Przekroju”<sup>110</sup>.

Po południu bridż rodzinny. Burza pod wieczór i ulewny deszcz do później nocy. Przed spaniem, już w łóżku, dwie nowele Conan Doyle’a.

niedziela, 10 lipca 1960

Żałosna jałowość prasy codziennej, a również i tygodniowej. Dużo papieru, kiedy piątkowa i sobotnia poczta przynosi spełnienia wieloosobowych kolegiów i komitetów redakcyjnych, na pierwszy rzut oka wygląda to nawet dość obficie i kusząco, ale wystarczy powąchać teksty, aby zapachniało dokoła ową szczególną wonią, która wydaje się być połączeniem zapachów starzyzny z zapachami kosmetyków. Kilka nazwisk, między innymi Kotta, Berezy, często Wyki<sup>111</sup> i zawsze, gdy się pojawia: Dygata<sup>112</sup> – czyta się z ową satysfakcją, której używa nawet najkrótsza chwila obcowania z człowiekiem interesującym dzięki swej urodzie. Lecz, kiedy tę skleconą z wdzięcznej materii, można spotkać wszędzie: na ulicy, w tramwaju, autobusie, przechodząc mimo, lub twarzą odnajdując twarz, tamtą – intelektualną – jakże trudno spotkać, a nawet, jeśli się spotka, jak trudno ją utrwalić w sobie, aby w niej zasmakować i poddać się jej urokowi. Gdy się to jednak raz stanie, wówczas ponowne spotkania mają w sobie coś z owego rozkosznego dreszczu, który towarzyszy miłosnemu oczekiwaniu. W jednym z tego-

---

<sup>108</sup> Andrzej Kijowski (1928–1985) – krytyk literacki, eseista, prozaik i scenarzysta.

<sup>109</sup> Gustaw Holoubek (1923–2008) – aktor teatralny i filmowy, reżyser i dyrektor teatrów, pedagog.

<sup>110</sup> „Przekrój” – czasopismo społeczno-kulturalne wydawane w latach 1945–2013 w Krakowie (w latach 2002–2009 w Warszawie) jako tygodnik i ponownie od 2016 roku w Warszawie jako kwartalnik.

<sup>111</sup> Kazimierz Wyka (1910–1975) – historyk i krytyk literatury, eseista.

<sup>112</sup> Stanisław Dygat (1914–1978) – autor powieści i opowiadań, felietonista, dramaturg oraz scenarzysta filmowy.

rocznych „Dialogów”<sup>113</sup> wyjątkowej piękności esej Janka Kotta o szekspirowskiej *Burzy*, a mówiła mi wczoraj Irena, że rozdział, który teraz Janek pisze o *Królu Lirze* przerasta tamten swoją mądrością<sup>114</sup>. Cieszę się na tę lekturę. I byłbym również niewdzięczny, gdybym wśród tych utyskiwań na naszą prasę nie zanotował wielkiego wrażenia, podziwu i zachwytu, jakie wzbudziła we mnie lektura notatek z podróży po Związku Radzieckim Zbyszka Bieńkowskiego<sup>115</sup> w majowym numerze „Twórczości”<sup>116</sup>. Najwięcej podziwu dla autentyczności tych zapisków, czytałem je z takimi samymi uczuciami, jak bym był w Oborach i wieczorem, po kolacji, szedł razem ze Zbyszkciem na spacer w stronę Skolimowa i on opowiadał, to nie często się zdarza, aby w tekście pisanym słyszało się te same akcenty, które charakteryzują człowieka żywego.

Notuję te dość przypadkowe spostrzeżenia nie tyle, oczywiście, z potrzeby ich utrwalenia, ile z obawy, aby znalazłszy się bez żadnego zajęcia, bodaj namiastkowego, nie ujrzeć się zmuszonym do otworzenia dolnej szafki w moich półkach bibliotecznych, gdzie przechowywane są wszystkie tzw. moje rękopisy i notatki, czynność, którą staram się odwlec o jeszcze kilka dni, bardzo już całą aferą „Portretu” zaabsorbowany, lecz wciąż sparaliżowany lękiem, gdy już nie przypadki, lecz ja sam, świadomie, mam podjąć pewne kroki decydujące.

poniedziałek, 11 lipca 1960

Namiętni kochankowie wszelkich ideologii oraz religii stają się bardzo często heretykami, odszczepieńcami i frakcjonistami. Tadeusz Breza<sup>117</sup> nie jest namiętym i w ogóle nie jest kochankiem rzymskiego Kościoła, więc nie grozi mu ani herezja, ani odszczepieństwo. Natomiast nie wierzący i na niebezpieczeństwo stanu miłosnego uodporniony korzysta w całej pełni z owych rozkosznych i przewrotnych uczuć, z których swobodnie korzystać może człowiek właśnie nie zakochany, lecz tylko oczarowany. Boże miły, jak temu niedoszłemu benedyktowi z nie największym tytułem hrabiowskim imponuje Rzym<sup>118</sup> i to nie

<sup>113</sup> „Dialog” – czasopismo literacko-artystyczne, którego tematyką jest dramaturgia współczesna (teatralna, radiowa i telewizyjna). Miesięcznik powstał w 1956 roku, wydawany jest w Warszawie.

<sup>114</sup> W 1961 roku wyszedł zbiór esejów Kotta poświęconych Szekspirowi: *Szkice o Szekspirze*.

<sup>115</sup> Zbigniew Bieńkowski (1913–1994) – poeta, krytyk literacki, eseista, tłumacz.

<sup>116</sup> *Dziennik rosyjski*, „Twórczość” 1960, nr 5.

<sup>117</sup> Tadeusz Breza (1905–1970) – powieściopisarz i eseista, dyplomata w służbie II Rzeczypospolitej Polskiej oraz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

<sup>118</sup> Andrzejewski czyni tu aluzję do *Spiszonej Bramy*, książki Brezy z 1960 roku.

w swojej sferze mistycznej, religijnej, ale właśnie we wszystkich swoich manifestacjach zewnętrznych. Podziw dla każdej doskonale ujawnionej osobowości umysłowej lub fizycznej uwalnia mnie całkowicie od potrzeby wartościowania. Uwielbienie Brezy jest doskonale i właściwie powinienem mu podziękować, że bez zastrzeżeń mogę je podziwiać z ową szczególnie lekką i zachwycającą radością uczuć, która dana nam bywa przy oglądaniu bezbłędnych dzieł sztuki. Naiwni prostaczkowie uwielbiają bez zastrzeżeń, karierowicze – służalczo. Breza, będąc człowiekiem bystrym, a ponadto obdarzony dobrym smakiem, zdaje sobie sprawę, iż uwielbienie bezkrytyczne ośmiesza, gdy jest ślepe i z naiwnej kondycji wynikające, budzi natomiast niesmak, jeśli jest pretekstem dla interesownych zamysłów. Breza uwielbia z pozycji swobodnej i niewymuszonej wolności, a jeśli nawet swoboda i niewymuszoność owej wolności bywają nieraz co najmniej dwuznaczne – potrafi ową nienajlepszą z punktu widzenia towarzyskiego sytuację pokryć subtelną ironią oraz ukłonem zwróconym we właściwą stronę. Wydaje mi się, że Breza byłby szczególnie usatysfakcjonowany, gdyby razem z Zosią (właśnie razem z Zosią<sup>119</sup>) kroczył wśród orszaku zdetronizowanych królów oraz książąt krwi asystujących przy koronacji Jana XXII<sup>120</sup>. Zdając sobie jednak sprawę z niestosowności podobnej sytuacji, jak najśluszniej czyni ironizując obiekt uwielbienia. Breza jest zbyt dobrze wychowany, aby pozwolić sobie na luksus bezwstydu. Zna siebie, zna swoje naturalne granice, nie najgorzej orientuje się w świecie, w którym przyszło mu spędzić życie i tylko zaszczyt mu przynosi, że wśród tej przeciętności, stać go na uczucie tak ludzkie, jak uwielbienie. Znałem do tej pory tylko fragmenty *Spiżowej bramy*, drukowane w swoim czasie w „Nowej Kulturze”<sup>121</sup>, dzisiaj pełna satysfakcja z przypomnienia sobie rozdziałów już czytanych i tych jeszcze nieznanych. Tylko człowiek, wypełniony do końca palców oczarowaniem i uwielbieniem, potrafi obiekt swoich uczuć uczynić tak porywająco interesującym, jak to zrobił na przeszło trzystu stronicach Breza opisując, relacjonując, plotkując i zawsze myśląc, ponieważ właśnie bystro i inteligentnie powinien myśleć dobrze wychowany człowiek, jeśli znalazłszy się na świetnym przyjęciu krąży wokół osoby ze wszystkich obecnych najświetniej-

<sup>119</sup> Być może chodzi o Zofię Necz (1903–1991) – pierwszą żonę Brezy, poślubioną w 1920 roku.

<sup>120</sup> Jan XXIII – właściwie Angelo Giuseppe Roncalli (1881–1963) – włoski duchowny rzymskokatolicki, papież i Suweren Państwa Watykańskiego w latach 1958–1963.

<sup>121</sup> „Nowa Kultura” (1950–1963) – tygodnik społeczno-literacki wydawany w Warszawie. Pismo powstało z połączenia dwóch tygodników, „Odrodzenie” (1944–1950) i „Kuźnica” (1945–1950).

szej. Marzyłem jakoby, według urojonej relacji Brezy, aby po ukazaniu się *Ładu serca*<sup>122</sup> „Osservatore Romano”<sup>123</sup> skwitował tę powieść ciepłą notatką, niestety, nie doczekawszy się jej wówczas – obdarowany nią zostałem aż po dwudziestu latach w okolicznościach całkowicie odmiennych, gdy wystąpiłem z Partii. Nie przypuszczam, aby *Spizowa brama* doczekała się ciepłej notatki w watykańskim dzienniku, natomiast jestem prawie pewien, że z opinii mówionej i osoba Brezy i jego książka cieszą się w kołach Watykanu opinią jak najlepszą. Ludzie mądrzy i przewidujący zawsze wyżej sobie cenią świadectwo uwielbienia niż zaklęcia miłosne.

wtorek, 12 lipca 1960

Wczoraj wieczorem u Ch.<sup>124</sup>, pierwszy raz w jego mieszkaniu na osiedlu Praga II, choć mieszka tam od sześciu co najmniej lat. Nawet znając wszystkie dziwactwa Ch. i jego skłonność do abnegacji, co wcale nie znaczy, że nie lubi wygody i pewnego luksusu, nie przypuszczałem, że po tylu latach wciąż raczej koczuje niż mieszka. Że niewielki pokój i ciasny korytarzyk, to by mi nie przeszkadzało, ale ta więcej niż biedna nagość ścian, półki przysłonięte żółtymi zasłonami, pełne książek złożonych jedno na drugim, jakby w oczekiwaniu na uporządkowanie, lub przeprowadzkę, prosty stół, dziwne, staroświeckie łóżko przykryte pledem – nie, nie chciałbym w takich czterech ścianach żyć i pracować. Ale dla człowieka, który ostatecznie ma być „autorem” mojej książki, to otoczenie wcale nienajgorsze. Za oknem ogromne podwórze otoczone monotonnymi blokami, z których jeszcze nie wszystkie zdążono obłożyć piaskowcem, i – oczywiście – mrowie dzieci, jak na wszystkich podwórkach.

Ch. nawet nie tyle podstarzały, ile w trochę zaskakujący sposób roztyty, wcale nie tą normalną, zdrową obfitością ciała, która przychodzi często w pewnym wieku, ale powiększony, a raczej rozdęty czymś, co sprawia wrażenie opuchlizny i przysparzając ciała czyni je równocześnie rozlazłym i miękkim. To jest ta tłustość, która lubi wygodne, domowe pantofle i domaga się od spodni dużych luzów. Czyniąc

<sup>122</sup> Pierwsza powieść Andrzejewskiego, opublikowana w 1937 roku.

<sup>123</sup> Powstała w 1851 „L'Osservatore Romano” (z włoskiego: Obserwator Rzymski) – gazeta informująca o aktywności papieża, wypowiedziach najważniejszych hierarchów Kościoła i dokumentach przygotowywanych w Kurii Rzymskiej.

<sup>124</sup> Józef Chudek (1908–1996) – poeta, bibliofil, kolekcjoner, bliski przyjaciel Jerzego Andrzejewskiego z czasów studenckich i przedwojennych.

podobne obserwacje myślałem nie bez satysfakcji, że mimo rozlicznych braków własnego ciała zachowałem przecież jego szczupłość, więc coś w rodzaju fasady, która pod pozorami młodości ukrywa na pierwszy rzut oka niedobory lat.

Ch., jak skąpiec gromadzący bogactwa, nie dba o to, aby jego księgozbiór był przez kogokolwiek oglądany, zresztą również i sam nie odczuwa, jak mi się wydaje, potrzeby cieszenia oka widokiem książek jawnie się prezentujących na półkach, wystarcza mu świadomość, że posiada rzadkie pierwsze wydania oraz umiejętnie dobrane kolekcje. Nie sądzę nawet, aby często zaglądał do swoich rozlicznych i rzeczywiście pięknych albumów Picassa<sup>125</sup>, zebrał również kilkadziesiąt różnych pozycji Cocteau<sup>126</sup>, lecz wiele z nich, gdy mi je pokazywał, były nierozcięte. Nie mogę jednak nie przyznać, że bardzo ładnie i mądrze mówił o sensie wszelkiej pasji kolekcjonerskiej i zawierającym się w niej elemencie twórczym. Poza tym, jakież bezpieczeństwo w owym obcowaniu z przedmiotami martwymi!

środa, 13 lipca 1960

Ostateczna nędzą pogody, zimno, pochmurnie, pod wieczór monotonny deszcz. Cały dzień w domu ze *Spizową bramą*, a potem z *Polską Piastowską*<sup>127</sup> Jasienicy<sup>128</sup>.

Wczoraj po południu i do późnego wieczora u Wilka M.<sup>129</sup>, który jutro wyjeżdża do Bułgarii razem ze Stefanami O.<sup>130</sup> Dawno niewidziana Ewa zawsze uroczą i mądra, bardzo jednak zmęczona rozpaczliwym stanem nerwowym Stefana. Przyszli trochę później Kazikowie B.<sup>131</sup> a już przed samym ich odjazdem Andrzej Wajda, żeby się razem z nimi zabrać do Obór<sup>132</sup>, ale mimo ożywionej rozmowy, a może właśnie dlatego, dokuczało mi przez cały czas martwe milczenie Stefana i ta trochę upokarzająca świadomość, którą odczuwa się w obecności człowieka

<sup>125</sup> Pablo Picasso (1881–1973) – hiszpański malarz, rzeźbiarz, grafik, ceramik..

<sup>126</sup> Jean Cocteau (1889–1963) – francuski poeta, dramaturg, reżyser filmowy, scenarzysta, malarz.

<sup>127</sup> *Polska Piastów* – książka historyczna wydana w 1960 roku.

<sup>128</sup> Paweł Jasienica, właściwie Leon Lech Beynar (1909–1970) – historyk, eseista i publicysta.

<sup>129</sup> Wilhelm Mach – zob. przypis 5.

<sup>130</sup> Stefan Otwinowski (1910–1976) – prozaik, dramaturg i publicysta. Jego żona Ewa (1916–1999) – pisarka.

<sup>131</sup> Kazimierz i Maria Brandysowie – zob. przypisy 14 i 16.

<sup>132</sup> Dwór w Oborach – świecka rezydencja wiejska z XVII wieku w województwie mazowieckim, w powiecie piaseczyńskim, w gminie Konstancin-Jeziorna, we wsi Obory. Po drugiej wojnie światowej znajdował się tam przez dziesięciolecia Dom Pracy Twórczej Związku Literatów Polskich, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Polskiego Pen Clubu, dokąd polscy autorzy mogli udawać się na twórczy wypoczynek.

chorego, świadomość zawstydyzenia tym dotkliwsza, iż znając Stefana od tak wielu lat wiem doskonale, jak bywał świetny i błyskotliwy w najróżniejszych sytuacjach i w różnych okresach życia. Natomiast Kazik w przeciwieństwie do Stefana wydaje się być w znakomitej formie, może w gruncie rzeczy smutny, ale świadomy, co z tym smutkiem i innymi niedostatkami zrobić, bardzo chyba pokrzepiony swymi ostatnimi i jak najbardziej zasłużonymi sukcesami. Szkoda, że Wilek wyjeżdża na dłuższy okres. Nie widzimy się często, ale od czasu, gdy nieporozumienia sprzed kilku lat wydały nam się obu ostatecznie nieważne<sup>133</sup>, lubię samą świadomość, że mogę do niego zadzwonić, zobaczyć go i szczerze o wszystkim porozmawiać. Na palcach jednej ręki mógłbym zliczyć ludzi, z którymi mógłbym rozmawiać w sposób równie zaspokajający potrzebę dojrzałej przyjaźni, jak właśnie z Wilkiem.

Gdy wyszedłem przed jedenastą, padał drobny, ciepły deszcz, wstąpiłem na chwilę do „Kameralnej”, żeby się napić piwa, udało mi się potem złapać ostatni autobus pospieszny, niestety, mając klucze, musiałem obudzić Marysię dzwonieniem, ponieważ zaciął się zamek i mimo usilnych starań nie potrafiłem sobie z nim poradzić.

czwartek, 14 lipca 1960

Pomimo kilku godzin dobrego snu bez proszków – rano zupełnie do niczego, zdechnięte samopoczucie i na dodatek niemiła zapowiedź możliwości postrzałów, gdy zamykałem okno, ból w tym samym miejscu, co zawsze, oczywiście daleki od tego, który mnie uwięził na dobrych kilka dni w ubiegłym roku o tej samej mniej więcej porze, ale wystarczający, żebym go czuł i nasłuchiwał, czy się nie zaostrza. Podła pogoda bez zmian, na ogół wszyscy się uskarżają na różne dolegliwości: katary, bóle reumatyczne, ciśnieniowe sensacje itp.

Po południu z Marysią w Ambasadzie Francuskiej, dzięki nieoczekiwanej pogodzie przyjęcie<sup>134</sup>, na szczęście, na świeżym powietrzu.

---

<sup>133</sup> W połowie lat pięćdziesiątych Mach i Andrzejewski równocześnie zabiegali o względy pisarza Marka Hłaski (1934–1969).

<sup>134</sup> Z okazji święta narodowego Francuzów przypadającego 14 lipca.

piątek, 15 lipca 1960

Z Londynu dwa egzemplarze angielskiego tłumaczenia *Ciemności kryją ziemię*<sup>135</sup> pod zmienionym, ale dobrym tytułem *Inkwizytorzy*. Poza tym wciąż co kilka dni recenzje przesyłane przez uczynnego Grydzewskiego.

Po raz drugi *Wybraniec* Manna. Upał.

sobota, 16 lipca 1960

Zbieranie notatek do „Portretu”. Niechętnie posługuję się tym niedobrym tytułem.

Po południu młody Józef Gielo<sup>136</sup>, który z początkiem tygodnia przyniósł mi do oceny swoją prozę. Zastanawiające, jak w tym pokoleniu najmłodszych odżywają stare rekwizyty modernistyczne.

niedziela, 17 lipca 1960

Cały dzień praca, męczący upał, wyszedłem dopiero po kolacji. Jeszcze raz na Zamku ze spotkanym przypadkowo Antonim T.<sup>137</sup>, potem przy nieustępującej wraz z nocą duchocie piechotą w stronę domu, małe piwo przy Dworcu Wileńskim<sup>138</sup>. Heniek.

poniedziałek, 18 lipca 1960

Wieczorem u Ewy Fiszer, żeby zobaczyć się z uroczą Baitsy Blair<sup>139</sup>, która tydzień wraz ze swoją córką była w Warszawie i jutro wraca do Paryża. Był prócz mnie tylko Marcin Cz.<sup>140</sup>, odprowadził mnie potem do domu, dopiero nad ciemną i szeroko rozlaną Wisłą mogliśmy odetchnąć powietrzem trochę świeższym, Marcin wyjeź-

---

<sup>135</sup> Powieść Andrzejewskiego z 1957 roku. Przetłumaczona na angielski przez Konrada Syropa (1914–1998) jako *The inquisitors*, ukazała się w Londynie w 1960 roku.

<sup>136</sup> Józef Gielo (1934–1981) – poeta i powieściopisarz.

<sup>137</sup> Postać niezidentyfikowana.

<sup>138</sup> „Dworzec Wileński, nazywany pierwotnie Petersburskim, powstał w 1863 jako stacja początkowa Kolei Warszawsko-Petersburskiej, czyli linii kolejowej z Warszawy do Petersburga (przez Wilno). W 1915 wycofujący się z Pragi Rosjanie wysadzili budynek dworca w powietrze, a na jego miejscu wybudowano w latach 1927–1928 istniejący do dziś gmach Dyrekcji Polskich Kolei Państwowych, obecnie siedziba spółki PKP Polskie Linie Kolejowe. Funkcje dworcowe przejął prowizoryczny budynek. Z powodu znacznego ograniczenia odjazdów pociągów do Petersburga (nazywanego już Leningradem), dworzec zaczął być nazywany Wileńskim. Ciasny budynek dworca przetrwał jednak wiele lat, a swój żywot skończył w latach 50. XX wieku. Wtedy właśnie zaadaptowano na dworzec dawne budynki magazynowe znajdujące się po drugiej stronie torów kolejowych od strony ulicy Białostockiej” [cytat za: <https://przegladpraski.pl/dworzec-wilenski/>].

<sup>139</sup> Betsy Blair, właściwie Elizabeth Winifred Boger (1923–2009) – aktorka amerykańska.

<sup>140</sup> Marcin Czerwiński – zob. przypis 71.

dża do Rzymu w przyszłą niedzielę, zastanawialiśmy się m.in. nad przyczynami żywego zainteresowania, jakim wielu cudzoziemców z Zachodu obdarza Warszawę i w ogóle Polskę.

wtorek, 19 lipca 1960

Rano, po bardzo niedobrej nocy, w PIW'ie, aby podpisać umowę na drugie wydanie *Niby gaju*. Na kolacji z Marysią u Bieńkowskich<sup>141</sup> i jeszcze przed zmierzchem razem z nimi autem do parku Morysińskiego<sup>142</sup>, gdzie żadne z nas, ani Marysia ani ja, nigdy jeszcze nie byliśmy. Park? raczej puszcza! Bardzo to piękne, szczególnie o tej porze mroczniejącej, kiedy wśród gęstowi świecą robaczki świętojańskie, ale przy całym uroku tego szczególnego rezerwatu jeszcze raz mogłem się przekonać, że lasu nie lubię i mimo interesującej rozmowy z Florą dobrze się poczułem wówczas dopiero, kiedy wyszliśmy na łąki.

Po herbacie zaparzonej przez B. nie spałem prawie do czwartej. Ale herbata była rzeczywiście znakomita.

środa, 20 lipca 1960

Rozczarowanie filmem Bergmana *Tam, gdzie rosną poziomy*<sup>143</sup>, cieszącym się opinią arcydzieła. Niestety, nie mogłem się w nim dopatrzyć śladów nieprzeciętności. Zła literatura, mdła i nudna, spóźnione echa modernizmu, filmowo nieciekawie. Wciąż to samo: jak filmy, nawet te najlepsze, opóźnione są w stosunku do literatury. Tylko jeden Chaplin<sup>144</sup> wychodzi z tej próby zwycięsko, zawsze odkrywczym i prawdziwym.

Agnieszka wróciła wieczorem z Orawki, świetnie wyglądająca i opalona mimo trzech pogodnych dni na całe trzy tygodnie. W piątek jedzie razem z Anią do Oliwy. Od Marcina, poza jedną kartką krety, lakoniczną, że jest na jeziorach mazurskich, żadnej wiadomości.

---

<sup>141</sup> Władysław Bieńkowski (1906–1991) – publicysta, socjolog i polityk, w latach 1945–1946 podsekretarz stanu w Ministerstwie Oświaty, w latach 1948–1956 dyrektor Biblioteki Narodowej, w latach 1956–1959 minister oświaty, poseł do Krajowej Rady Narodowej, na Sejm Ustawodawczy oraz na Sejm PRL II, III i IV kadencji. Flora Bieńkowska, z domu Zaborowska (1914–1990) – poetka, pisarka, autorka sztuk scenicznych, żona Władysława Bieńkowskiego.

<sup>142</sup> Park będący przedłużeniem Wilanowa, znajdujący się po drugiej stronie Jeziora Wilanowskiego.

<sup>143</sup> Ernst Ingmar Bergman (1918–2007) – szwedzki reżyser filmowy i teatralny. *Tam, gdzie rosną poziomy* – dramat z roku 1957, w Polsce na duży ekran wszedł po raz pierwszy w roku 1960.

<sup>144</sup> Charlie Chaplin (1889–1977) – brytyjski aktor i reżyser okresu kina niemego, później także filmów udźwiękowionych.

Z Prologu *Burzy*<sup>145</sup>:

Już czary moje moc straciły... (przekład Paszkowskiego)

Teraz mnie wszystkie czary opuściły... (przekład Siwickiego)

czwartek, 21 lipca 1960

Może to właśnie poszukiwany tytuł? Słyszę całe duże fragmenty, ale zanotować ich nie potrafię. Wczoraj list od Romka Polańskiego<sup>146</sup>, że Basia<sup>147</sup> po ośmiodniowych zdjęciach próbnych w Rzymie otrzymała rolę w nowym filmie Clementa, jako partnera mając uroczego [nieczytelne]<sup>148</sup>. Cały dzień zupełnie pokonany z francuskim przekładem *Doktora Faustusa*<sup>149</sup>.

środa, 27 lipca 1960

Po południu Maryla W.<sup>150</sup> po powrocie z Zakopanego. Opowiedziała nam jedną z tzw. zabaw towarzyskich właśnie namiętnie uprawianą w naszej „Astorii”<sup>151</sup>, a polegającą na tym, że gdy jeden z dwóch partnerów zadaje sobie po cichu pytanie: co to jest? – drugi, również myśli, konkretyzuje odpowiedź. Już po wyjściu Maryli zabawiliśmy się z Marysią tą grą i wyszły nam odpowiedzi tak nieprawdopodobne, iż nie chcemy się wierzyć, że wyniknęły one tylko dzięki zabawie niedopowiedzenia i milczenia.

Od kilku dni pogoda zupełnie jesienna, zimno, deszcze, gwałtowne wiatry, na południu Polski powodzie. Dwa dni temu napisałem pierwsze dwie stronicę mojej książki. Niestety, ze strachu, robię wszystko, aby nie musieć pracować regularnie.

<sup>145</sup> *Burza* (*The Tempest*) – sztuka autorstwa Williama Szekspira.

<sup>146</sup> Roman Polański (ur. 1933) – polsko-francuski twórca filmowy, reżyser, scenarzysta, aktor oraz producent filmowy.

<sup>147</sup> 9 września 1959 roku Polański ożenił się z aktorką Barbarą Kwiatkowską (1940–1995).

<sup>148</sup> W 1959 Kwiatkowska była członkinią polskiej delegacji na 7. Międzynarodowym Festiwalu Młodzieży w Wiedniu. Zagrała w filmie René Clémenta *Quelle joie de vivre* (*Radość życia*) jako partnerka aktora Alaina Delona. Film wszedł na ekrany kin w 1961 roku.

<sup>149</sup> Thomas Mann, *Le Docteur Faustus: la vie du compositeur allemand Adrian Leverkühn racontée par un ami*, tłumaczenie Louise Servicen, Paryż 1950. Zastanawiające jest, dlaczego Andrzejewski czytał wówczas tłumaczenie na francuski, choć istniało tłumaczenie na polski autorstwa Marii Kureckiej i Witolda Wirpszy (jego przyjaciół), Warszawa 1960.

<sup>150</sup> Maria Kurecka-Wirpsza – zob. przypis 29.

<sup>151</sup> „Willa Astoria została oddana do użytku ok. roku 1922. Początkowo mieścił w niej się pensjonat. W latach 30. – w Astorii często gościła m.in. znana wówczas pianistka Maria Ray Chazen i jej przyjaciel Bruno Schulz. Prawdopodobnie odwiedzał ich również wtedy zaprzyjaźniony z nimi Witkacy. 30 lat później willa została odkupiona przez Skarb Państwa i oddana do użytku Związkowi Literatów Polskich. Od 1952 roku mieści się w niej Dom Pracy Twórczej im. Stefana Żeromskiego. Na przestrzeni lat przyjeżdżało tu liczne grono osób ze świata literackiego, dziennikarskiego i artystycznego, aby odpocząć i jednocześnie popracować w zaciszu tatrzańskiej przyrody” [cytat za: <https://astoria-willaliteratow.pl/willa-astoria/villa-astoria-historia/>].

Nareszcie list z Oliwy od Agnieszki, z którego dowiedzieliśmy się, że Marcin wciąż jest na jeziorach mazurskich, ale gdzie dokładnie, tego nikt nie wie.

Piątek, 29 lipca 1960

Rano, na dziesiątą, chcieliśmy się wybrać z Marylą na *Siódmą pieczęć*<sup>152</sup> Bergmana, ale już na miejscu, przy kinie „Wiedza” w Pałacu Kultury okazało się, że właśnie od dzisiaj idzie już inny film, zadzwoniliśmy więc do Marysi i razem we trójkę wybraliśmy się do Muzeum Narodowego na retrospektywną wystawę Makowskiego<sup>153</sup>. Niestety, wrażenie o wiele mniejsze niż przed kilkoma laty, kiedy oglądałem Makowskiego w mniejszej ilości jego obrazów i to tych przeważnie najlepszych. Chyba tylko ci najwięksi mogą przemawiać całością swej twórczości, natomiast średni ponoszą klęskę jako artyści i jeśli czym przejmują, to swymi poszukiwaniami i porażkami.

W drodze powrotnej, korzystając z pierwszego od wielu dni słońca, połączyliśmy trochę po mieście, wstępując do „Pragi”<sup>154</sup>, żeby coś zjeść, potem do PIW’u na kawę, wreszcie w księgarni na Nowym Świecie wykupiliśmy zaległe tomy Wyspiańskiego oraz drugi i trzeci tom Słownika Języka Polskiego.

Wieczorem z Marysią w Teatrze Dramatycznym na *Panu Bogu i diable*<sup>155</sup>, aby jeszcze raz się przekonać, że nawet mimo obecności znakomitego Holoubka i interesującej inscenizacji jest to sztuka bardzo zła, szczególnie w drugiej części. Już chyba nigdy się nie przekonam do instytucji zwanej Sartrem<sup>156</sup>. Nudny belfer objawiający z wielkim hałasem prawdy przez wielu i to lepiej powiedziane. Myślę, że uparci teoretycy bardzo niefortunnie krzyżują się z artyzmem.

Natomiast po powrocie do domu, przed zaśnięciem, piękne opowiadanie Czechowa<sup>157</sup> *Duszka*. Muszę poczytać Czechowa.

---

<sup>152</sup> Film z 1957 roku.

<sup>153</sup> Tadeusz Makowski (1882–1932) – malarz działający w Paryżu. W Polsce odkrycie artysty nastąpiło w 1960 roku dzięki wystawie retrospektywnej zorganizowanej w Warszawie przez profesor Władysławę Jaworską.

<sup>154</sup> Bar „Praga” w Alejach Jerozolimskich pod numerem 11.

<sup>155</sup> *Diabeł i Pan Bóg* – utwór Jean-Paula Sartre’a z 1951 roku, reżyseria Ludwik René, przekład Jan Kott, adaptacja w Teatrze Dramatycznym w Warszawie, premiera 28 maja 1960 roku.

<sup>156</sup> Jean-Paul Sartre (1905–1980) – powieściopisarz, dramaturg, eseista i filozof francuski, przedstawiciel egzystencjalizmu.

<sup>157</sup> Anton Pawłowicz Czechow (1860–1904) – rosyjski nowelista i dramatopisarz, klasyk literatury rosyjskiej.

sobota, 30 lipca 1960

Rano w kawiarni PIW'u z Bogdanem Wojdowskim<sup>158</sup>, potem krótko z Danutą Staszewską<sup>159</sup>, która umówiła się ze mną, żeby mi pokazać swoją okładkę do *Bram raju* odrzuconą przez Michalskiego<sup>160</sup>, jako nazbyt efektowną, a poza tym politycznie podejrzaną, bo mogącą nasuwać niewłaściwe skojarzenia. Okładka, zgodnie z tym, co mi o niej mówiono, rzeczywiście wyjątkowej urody, prosta, w dwóch kolorach: czarnym i fioletowym, a pośrodku tego pasa fioletowego reprodukcja akwareli Goyi<sup>161</sup>: *Saturn pożerający własne dzieci*. Oczywiście Saturn został odczytany jako socjalizm. Boże, jak zapaskudzoną wyobraźnię i nieczyste sumienia mają ci wszyscy ludzie: ci na górze, i ci nieco niżej postawieni, tamtych się lękający. Wszędzie wietrzą aluzje, wszędzie doszukują się ataku na siebie. Jak gdyby kłęski ludzkie i nieszczęścia nie przydarzały się na świecie przed socjalizmem. Z tym wszystkim, doceniając żalną śmieszność tej całej historii, żal mi i okładki, i nakładu, tak mizernego, który, jak sędzę, w kilka dni się rozejdzie, aby potem pozostawić po sobie tylko milczenie.

Po południu z Marysią w nowym kinie „Skarpa”<sup>162</sup> na uroczym i inteligentnym filmie Monicellego<sup>163</sup> *Dwa pokolenia*<sup>164</sup>. Oczywiście, nie arcydzieło, ale z jakim smakiem, dowcipem i sercem zrobione. Mały chłopaczek prawie genialny, i sceny z nim i z Mastroinianim<sup>165</sup> naprawdę wzruszające, o krok od tandety, ale nie tandetne. Później, już koło dziesiątej, nad Wisłę, żeby zobaczyć nadciągającą wielką falę powodziową<sup>166</sup>. Na moście tłumy ludzi, woda żółta i spieniona, niosąca na powierzchni strzępy drzew i belek, ludzie przy poręczach mostu milczący i jakby zahipnotyzowani, ale z tym szczególnym wyrazem głodu i nienasycenia w oczach, który mimo wszystko spragniony jest wrażeń jeszcze silniejszych. Podejrzewam, że prawie każdy z tych zapatrzonych w spieniony przed sobą żywioł, bezpieczny wobec niego, po-

<sup>158</sup> Bogdan Wojdowski, pierwotnie Dawid Wojdowski (1930–1994) – pisarz, krytyk literacki i teatralny oraz publicysta.

<sup>159</sup> Anna Staszewska (1920–1995) – malarka.

<sup>160</sup> Hieronim Michalski (1913–1986) – krytyk literacki, edytor, w latach 1958–1960 redaktor naczelny PIW.

<sup>161</sup> Francisco José de Goya y Lucientes (1746–1828) – hiszpański malarz, grafik i rysownik.

<sup>162</sup> „Skarpa” – kino działające w latach 1960–2003 przy ulicy Kopernika 5 w Warszawie. Zostało wyburzone w 2008 roku.

<sup>163</sup> Mario Monicelli (1915–2010) – włoski reżyser i scenarzysta.

<sup>164</sup> Film z 1957 roku.

<sup>165</sup> Marcello Vincenzo Domenico Mastroianni (1924–1996) – włoski aktor filmowy.

<sup>166</sup> Gwałtowne podniesienie się poziomu wody w Wiśle latem 1960 roku było spowodowane dużą ilością opadów w lipcu. Do prawdziwej powodzi w Warszawie jednak nie doszło.

czułby się prawdziwie usatysfakcjonowany wówczas dopiero, gdyby wezbrana Wisła wtargnęła w miasto. Nie doceniamy w ludziach ich potrzeby katastrofy.

Potem, idąc Nowym Światem, uświadomiłem sobie nagle, na czym polega to szczególne nieprzystosowanie, które odczuwa się tu, w naszym świecie, po dłuższym pobycie za granicą. Oczywiście, jak w kinie sprawa akomodacji oczu, a więc widzenia. Kiedy ogląda się film na szerokim ekranie i jeszcze do tego kolorowy, a potem, natychmiast, zostaje nam sprezentowany film czarno-biały na starym, małym płótnie – odczuwamy to gwałtowne przejście, jak szok, czujemy się zubożali i nienasycony, trzeba pewnego czasu, aby oswoić się z tą nową propozycją. Czy to znaczy, że jest gorsza? Możliwe, że nie. Jest inna. I moment oswojenia oczu bywa zazwyczaj nieuchwytny. Dopiero teraz, notując te wrażenia, zdałem sobie sprawę, że od dobrych paru tygodni już nie dostrzegam wśród otaczających mnie ludzi oczu śmiertelnie zmęczonych, bieda nie dopada mnie w sposób szokujący, brzydota mnie nie rani, przeciwnie – coraz częściej przychwytyuję się na odnajdywaniu uroków ulic i ludzi. Moje oko, przez pół roku, przyzwyczajone do ekranu szerokiego i koloru, już odnalazło zwykłe możliwości widzenia ekranu czarno-białego. Podkreślam – nie chcę w tej chwili wartościować, co jest lepsze. Tu świat sprezentowany jest inaczej niż tam. To wszystko. Gdybym w tym momencie znalazł się nagle na St. Germain<sup>167</sup> – również musiałbym swoje oczy przyzwyczajać. Już nie widzę tamtych pejzaży, już stały się wspomnieniem, a więc fikcją, ponieważ wszystko, co przechowuje nasza pamięć, jest mitologią. Jesteśmy bez przeszłości, zawsze z nią i bez niej takiej jaka była naprawdę. Wszystko minione wciąż się i na nowo staje. Ale to jest moment, chwila, właśnie teraz.

Wróciłem do domu raczej późno, bo dobrze po trzeciej. Nie czuję się na siłach zdać sprawozdania z tych kilku godzin nocy, począwszy od chwili, kiedy tuż przed Chmielną jeden z dwóch młodych chłopców idących tuż obok mnie zwrócił się nagle do mnie, przypominając, że akurat przed rokiem poznał mnie był, gdy odśługiwał służbę wojskową i był w towarzystwie Henia Berezy, aż po odległą chwilę, kiedy czekałem przy Trasie na nocny tramwaj. Byliśmy najpierw w Kameralnej, trochę wódki, obok zupełnie pijany Bogdan Wojdowski, potem na zabawie w Dziekance, gdzie nagle się objawił Kuba Morgenstern<sup>168</sup>.

---

<sup>167</sup> Saint-Germain-des-Prés – historyczna dzielnica Paryża, jednocześnie najstarszy zamieszkaný rejon lewobrzeżnej części miasta.

<sup>168</sup> Janusz „Kuba” Morgenstern (1922–2011) – reżyser i producent filmowy.

niedziela, 31 lipca 1960

Kilka opowiadań Czechowa, znakomity *Pojedynek* i *Anna na szyi*.

poniedziałek, 1 sierpnia 1960

Wymówienie z filmu nie przyszło, teraz ja jestem w kropce, zupełnie jak zabawa psotnych i strasznych dzieci.

Rano telefon, a potem wizyta niejakiego Romualda G. (wypadło mi z głowy jego nazwisko), który chciał mi pokazać swoje wiersze, co nie jest ostatecznie rzeczą dziwną, natomiast nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło, aby odwiedził mnie ktoś, kto tego samego dnia zamierza popełnić samobójstwo. Wyszliśmy naprzeciwko do parku, ponieważ mimo wszystko rozmowa w podobnej sytuacji bardziej jest krępująca w pokoju niż na dworze. Wiersze raczej niedobre, świadczące jednak o jakimś tam talencie, zresztą większość z nich, co łatwo poznać po charakterze pisma, pisana po pijanemu. Na koniec okazało się, że młody człowiek popełnił jakąś malwersację i grozi mu dziesięć lat więzienia. Możliwe zresztą, że cała ta historia została zbudowana, tylko nie bardzo wiem w jakim celu.

Po południu opowiadania Czechowa, a pod wieczór na kolacji Andrzej Bonarski<sup>169</sup>, potem z nim na mieście i nocleg u niego, na Sadybie<sup>170</sup>. Arika<sup>171</sup>, której jeszcze nie widziałem po powrocie z Paryża, jest w Zakopanem. Cóż za uroczy człowiek z tego Andrzeja!

wtorek, 2 sierpnia 1960

Kartka z Zakopanego od Sidre'a<sup>172</sup>, że przetłumaczył *Paszportową żonę*<sup>173</sup>, z zabawnym komentarzem, że „jak tamci Francuzi nie polubią tego opowiadania, to okaże się, że są najgłupszym na świecie narodem”.

Po południu na bardzo pięknym filmie Antonioniego<sup>174</sup> *Krzyk*<sup>175</sup>. W domu list od Marcina, który zjawił się wreszcie z jezior w Oliwie; *Nieprzyjemna sprawa Czechowa*; przez radio przypadkiem wychwycone nagranie IV symfonii Szymanowskiego<sup>176</sup>

<sup>169</sup> Andrzej Bonarski (ur. 1932) – pisarz, scenarzysta filmowy.

<sup>170</sup> Sadyba – osiedle w dzielnicy Mokotów w Warszawie.

<sup>171</sup> Arika Madeyska (1920–2004) – malarka, przyjaciółka Andrzeja Bonarskiego.

<sup>172</sup> Georges Sidre (1927–2005) – dyplomata, pisarz, tłumacz, sekretarz Ambasady Francji w Polsce w latach 1955–1960. Nie udało się ustalić, czy jego tłumaczenie *Paszportowej żony* się ukazało.

<sup>173</sup> Jedno z opowiadań napisanych przez Andrzejewskiego w 1944 roku.

<sup>174</sup> Michelangelo Antonioni (1912–2007) – włoski reżyser filmowy, scenarzysta i montażysta.

<sup>175</sup> Film z 1957 roku.

<sup>176</sup> Karol Szymanowski (1882–1937) – kompozytor, pianista, pedagog i pisarz.

w wykonaniu Rubinsteina<sup>177</sup> i orkiestry filharmonicznej Los Angeles. Bardzo duże wrażenie, bo jakby na nowo ta symfonia usłyszana, odludowiona i pełna wspianiałej muzyki.

środa, 3 sierpnia 1960

Wciąż i z coraz większą satysfakcją opowiadania Czechowa. Wieczorem na kolacji młodzi Abgarowiczowie i Andrzej Wyśński<sup>178</sup> z żoną.

niedziela, 7 sierpnia 1960

Wieczorem krótko w barze w Bristolu. Władysław Bielański<sup>179</sup>.

W ciągu ostatnich dni parę razy w kinie: Nieprzekonywujące *U progu ciemności*<sup>180</sup> i *Bulwar zachodzącego słońca*<sup>181</sup>. Szkice do jednej z ostatnich książek mojego bohatera. Ostatnie chwile życia Leonarda da Vinci<sup>182</sup>.

poniedziałek, 8 sierpnia 1960

Uroczy list od Betrandu, którego poznałem w pociągu wracając z Paryża. Wieczorem z Marysią na brydżu u Ewy Fiszer. Irenka Szymańska, potem jeszcze Roman Zimand<sup>183</sup>.

wtorek, 9 sierpnia 1960

Ciągle notatki.

środa, 10 sierpnia 1960

Z dawno niewidzianą Krystyną Bobińską u Fukiera na winie. Notatki.

---

<sup>177</sup> Artur Rubinstein (1887–1982) – pianista, jeden z najwybitniejszych wirtuozów fortepianu XX wieku.

<sup>178</sup> Kazimierz Wyśński (1929–2014) – wieloletni pracownik „Pamiętnika Teatralnego”, redaktor „Almanachu Sceny Polskiej” i autor dwóch publikacji o Związku Artystów Scen Polskich.

<sup>179</sup> Postać nierozpoznana.

<sup>180</sup> *Yield to the Night* – angielski film fabularny z 1956 roku w reżyserii Johna Lee Thompsona (1914–2002).

<sup>181</sup> *Bulwar Zachodzącego Słońca* (*Sunset Boulevard*) – film amerykański z 1950 roku w reżyserii Billy’ego Wildera (1906–2002) – amerykańskiego reżysera scenarzysty i producenta filmowego.

<sup>182</sup> Leonardo da Vinci (1452–1519) – włoski renesansowy artysta i uczony: malarz, rzeźbiarz, architekt, inżynier, odkrywca, matematyk, anatom, filozof, muzyk, pisarz.

<sup>183</sup> Roman Zimand (1926–1992) – krytyk literacki, historyk literatury i publicysta.

sobota, 13 sierpnia 1960

Z okazji pojutrzejszych imienin Marysi<sup>184</sup> wielkie zbiegowisko: Irenka Szymańska, Ewa Fiszer, Julek Żuławski<sup>185</sup>, Strykowski<sup>186</sup>, Henio Bereza i Henio Krzeczowski<sup>187</sup>, Maryla Wirpszowa, Littauerowa, Sidre z Mirką, jak zawsze uroczą i ładną, Arturowie Międzyrzeccy<sup>188</sup>, Julia w ślicznej sukni i najładniejszy znalazłszy bukiet, Leszek Kołakowski<sup>189</sup>, Ważyk<sup>190</sup> w świetnej formie, również po raz pierwszy u nas na przyjęciu Czyże, zdaje się bardzo z tego przyjęcia zadowolony, Andrzej Bonarski z Ariką, on niestety chory, jakieś komplikacje z trzustką, już koło dziesiątej Jurek Skolimowski z Elżbietą Czyżewską, ona, półtora roku, kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłem w Oborach, jakoś się rozrosła i roztyła, Jurek ładniejszy niż kiedykolwiek przedtem, ale żadnych w związku z nim sprzecznych uczuć, tylko dużo sentymentu i przyjaźni, dużo róż, trzydzieści sześć naliczyliśmy ich z Marysią, bardzo piękne, żółte od Sidre'a, zdaje się, że było przyjemnie. Wszyscy żalowaliśmy, że nie przyszedł Jarosław<sup>191</sup>, znów chory na jakieś dolegliwości żołądkowe. Ale ciągle myślę o twórczości mojego bydlaka. Duże, nieskończone opowiadanie rozgrywane się w Paryżu.

poniedziałek, 15 sierpnia 1960

Wieczorem Frankowie z Ewą i Łukaszem<sup>192</sup>.

wtorek, 16 sierpnia 1960

Zupełna jesień, ziąb, deszcz. Żeby tyłem się do tego wszystkiego odwrócić cały dzień w łóżku z *Wyznaniami hochsztaplera Feliksa Krulla*<sup>193</sup>.

---

<sup>184</sup> Marii, żony pisarza.

<sup>185</sup> Juliusz Żuławski (1910–1999) – poeta, prozaik, tłumacz poezji anglojęzycznej.

<sup>186</sup> Julian Strykowski (1905–1996) – prozaik, autor opowiadań, dramaturg i dziennikarz.

<sup>187</sup> Henryk Krzeczowski (1921–1985) – tłumacz, pisarz, publicysta.

<sup>188</sup> Artur Międzyrzeczki – zob. przypis 72. Julia Hartwig-Międzyrzeczka (1921–2017) – poetka i eseistka, tłumaczka literatury pięknej z języka francuskiego i angielskiego.

<sup>189</sup> Leszek Kołakowski (1927–2009) – filozof zajmujący się głównie historią filozofii, historią idei oraz filozofią religii, eseista, publicysta i prozaik.

<sup>190</sup> Adam Ważyk (1905–1982) – poeta, prozaik, eseista, tłumacz.

<sup>191</sup> Jarosław Iwaszkiewicz – zob. przypis 24.

<sup>192</sup> Brat Marii Abgarowicz z żoną Anną i dwojgiem dzieci.

<sup>193</sup> Ostatnia powieść Tomasza Manna, napisana w 1954 roku. W 1957 roku przełożona na polski przez Andrzeja Rybickiego (1897–1966).

środa, 17 sierpnia 1960

Różne notatki do powieści, wieczorem z Marysią w Teatrze Dramatycznym na *Uczcie morderców* Wydrzyńskiego<sup>194</sup>. Wtórne i często pretensjonalne, ale ostatecznie nie takie złe, jak z rzadką jednomyślnością orzekła prawie cała nasza krytyka. Natomiast Elżbieta Czyżewska rzeczywiście bardzo dobra, inteligentna, świetnie poruszająca się na scenie i z głosem, który z początku wydaje się nie- miły, nazbyt ostry, a potem całkowicie podbija. W większym stopniu niż twarz – głos i ruchy tworzą aktora teatralnego.

czwartek, 18 sierpnia 1960

Wieczorem Józef Chudek. Zdecydowałem się ostatecznie na pisanie tygodniowych felietonów dla „Polityki”, oczywiście kierując się w tym wyborze tygodnika nie na skutek szczególniejszej sympatii dla tego pisma, lecz po prostu zdając sobie sprawę, że z Miciem Rakowskim<sup>195</sup> i z Drewnowskim<sup>196</sup> lepiej mogę dojść do jakiegoś porozumienia niż z kimkolwiek innym.

piątek, 19 sierpnia 1960

Zaczęty pięćdziesiąty drugi rok. Szenicy *Pitval wielkopolski*<sup>197</sup> oraz wspomnienia<sup>198</sup> Sabiny Sebyłowej<sup>199</sup> z interesującym materiałem lat międzywojennych i dość naiwnymi komentarzami. Po południu Witkowie Wirpszowie.

sobota, 20 sierpnia 1960

Niestety, z umówionego na dwunastą spotkania z Rakowskim i z Drewnowskim nic nie wyszło, ponieważ obudziłem się ze spuchniętym i bolącym gardłem, zresztą żadnej podwyższonej temperatury. Rewelacyjne dla mnie opowiadanie

---

<sup>194</sup> Andrzej Wydrzyński (1921–1992) – pisarz, publicysta i reżyser teatralny.

<sup>195</sup> Mieczysław Rakowski (1926–2008) – po likwidacji przez władze pisma „Po prostu” i wprowadzeniu na rynek mającej być mniej krytyczną wobec władz „Polityki”, od 1958 do 1982 pozostawał związany z tym pismem jako zastępca, a później redaktor naczelny.

<sup>196</sup> Tadeusz Drewnowski (1926–2018) – filolog, dziennikarz, literaturoznawca i krytyk literacki, profesor nauk humanistycznych, nauczyciel akademicki Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 1960–1982 kierownik działu kultury tygodnika „Polityka”. Współpraca Andrzejewskiego z „Polityką” trwała bardzo krótko. Za jeden z felietonów, w których pisarz pozwolił sobie na dygresję w sprawie procesów poszłakowych, jego *Notatki* zostały z pisma usunięte, Andrzejewskiego zaś przez pewien czas objęła cenzura.

<sup>197</sup> Stanisław Szenic (1904–1987) – prawnik, pisarz, varsavianista. Mowa o jego publikacji z 1960 roku. Chodzi prawdopodobnie o książkę wspomnieniową *Okladka z pegazem* z 1960 roku.

<sup>199</sup> Sabina Maria Sebyłowa, z domu Krawczyńska (1900–1980) – pisarka i autorka wspomnień.

Czechowa *Nudna historia*. Dopiero co wydana książka Manturzewskiego *Niebezpieczne ulice*<sup>200</sup>. Trochę nowych notatek.

niedziela, 21 sierpnia 1960

Przyjechały dzieci. Marcin ogolił się po raz pierwszy. Tołstoja<sup>201</sup> *Śmierć Iwana Iljicza*. Z gardłem trochę lepiej, ale w ogóle czuję się pod psem.

Do druku podała i opracowała

Anna Synoradzka

---

<sup>200</sup> *Niebezpieczne ulice: u źródeł chuligaństwa: materiały i refleksje* – publikacja Czesława Czapowa i Stanisława Manturzewskiego z 1960 roku.

<sup>201</sup> Lew Nikolajewicz Tołstoj (1828–1910) – rosyjski intelektualista: powieściopisarz, dramaturg, krytyk literacki, myśliciel, pedagog.



Paryż, 31 rue Vanneau, Hotel de Suede

JERZY ANDRZEJEWSKI

## Drugi dziennik paryski

(część 1)

16. VII. 1962.

godz. 22.20

[widokówka z Paryża]

Po dniu dość intensywnym. Obejrzelismy mnóstwo rzeczy, byliśmy<sup>1</sup> na „West Side Story”<sup>2</sup> (więcej niż ciekawe) i na wieczorze Harold Loyda<sup>3</sup>. Różnica w czasie tylko godzina, więc lecieliśmy tylko dwie godziny z kawałkiem. Romek<sup>4</sup> pokój zamówił, ten sam adres: 31, rue Vaneau, Hôtel de Suede<sup>5</sup>. Być może wynajmiemy auto i z Romkiem pojedziemy w podróż po Francji. Narazie [sic] koszmarnie zmęczeniu. Zygmunta<sup>6</sup> jeszcze nie ma.

J.

---

<sup>1</sup> Andrzejewski wybrał się do Francji z synem Marcinem (ur. 1943).

<sup>2</sup> *West Side Story* – musical na motywach Romea i Julii, muzykę skomponował Leonard Bernstein, piosenki napisał Stephen Sondheim. Amerykańska premiera odbyła się w 1957 roku. Ponieważ jak się zdaje musical nie był wówczas grany we Francji, musi chodzić o film z 1961 roku w reżyserii Roberta Wise’a i Jerome’a Robbinsa.

<sup>3</sup> Harold Clayton Lloyd (1893–1971) – amerykański aktor i reżyser.

<sup>4</sup> Roman Polański (ur. 1933) – polski reżyser i aktor żydowskiego pochodzenia. Andrzejewski pracował z nim na planie *Niewinnych czarodziejów* Andrzeja Wajdy (1960), gdzie Polański grał, a pisarz stworzył scenariusz do spółki z Jerzym Skolimowskim.

<sup>5</sup> Hotel w Paryżu w 7. dzielnicy, w dzielnicy Inwalidów. Ulica Vaneau jest położona między dwiema większymi, rue Varenne i rue de Sèvres. Andrzejewski zatrzymywał się w nim kilkakrotnie, przede wszystkim przeniósł się do niego krótko po rozpoczęciu stypendium Forda w Paryżu w latach 1959–1960, opisanym w *Dzienniku paryskim* (2003), tam też dość szczegółowy opis budynku. Przy ulicy tej mieszkali między innymi ważni dla Andrzejewskiego pisarze: André Gide i François Mauriac, a także Julien Green i krótko Albert Camus. W 1960 roku Jean-Luc Godard nakręcił w tym hotelu w pokoju numer 12 scenę swojego filmu *Do utraty tchu* z udziałem Jean-Paula Belmondo i Jean Seberg.

<sup>6</sup> Zygmunt Hertz (1908–1979) – współzałożyciel Instytutu Literackiego „Kultura”, najbliższy przyjaciel Andrzejewskiego z kręgu paryskiej „Kultury”.

[1962, widokówka z Chambord we Francji]

środa, 3 VIII, godz. 8.30

Byliśmy jeszcze wczoraj w Chambord, to zupełne obłąkanie architektoniczne, jechaliśmy koleją, a potem byliśmy na widowisku zwanym „sons & lumieres”<sup>7</sup>, rodzaj historii danego obiektu rozłożonej na głosy i w zmiennych światłach.

Na noc do Blois. Oziębilo się na szczęście, szkoda, że tyle dokoła turystów.

J.

[1962, widokówka z Blois we Francji]

2. VIII. 62<sup>8</sup>

godz. 18

A teraz będziemy szukać w okolicy jakiegoś spokojnego noclegu.

Jutro do Bommès i dalej na południe. Zdaje się, że Marcin jest szczęśliwy.

J.

sobota, dn. 4. VIII. 62

[widokówka z Castres<sup>9</sup>, a ze stemplem Tarn]

piątkowy szal na szosach okazał się tak wielki, że znalazłszy się pod wieczór w okolicach Limoges musieliśmy wreszcie gdzieś już po północy zrezygnować z szukania noclegu w hotelu i przespąć się na bocznej drodze w aucie. Dzisiaj wobec tego odpoczynek w ładnym Uzerche. Pogoda dobra, gorąco, ale wieczory i noce już chłodne. Z troską myślę o tym, gdzie wobec powszechnego przepełnienia znajdziemy ten dłuższy odpoczynek. Ale coś się chyba znajdzie.

Ucałowania

J.

---

<sup>7</sup> Dosłownie: dźwięki i światła.

<sup>8</sup> Może to być pomyłka Andrzejewskiego, bo wynikałoby, że kartka jest z 3 sierpnia.

<sup>9</sup> Uwaga: opis zdjęcia na widokówce podaje adres 5710 Uzerche. Stąd zapewne Andrzejewski zaczerpnął nazwisko „księżnej d’Uzerche” w *Idzie skacząc po górach*.

Cannes (wszystko mi się kręci)

czwartek, 9 sierpnia 62

Więc nareszcie ustabilizowanie – wbrew wszelkim przewidywaniom, jak i dzięki różnym przypadkom. Więc gdyby nasz Peugeot nie zaczął wczoraj nawalać na autostradzie Cannes–Nicea, pojechalibyśmy do Roquebrune pod Mentona, gdzie bawi żona Mirka Żuławskiego<sup>10</sup> z dziećmi, ale że auto ledwie ciągnęliśmy, musieliśmy zjechać do Nicei [przekreślone] do salonu Peugeota – wściekły upał, tłumy, tłumy, szła aut, zarazem wszystko biorze [?] okropne dla przyjeźdnego – była akurat godz. 3-cia, auto obiecali naprawić na szóstą, gotowe było o siódmej, żadnego w perspektywie noclegu, naszczęście [? nareszcie?] Romek przypomniał sobie, że kilkanaście kilometrów od Cannes był na wiosnę z Cybulskim<sup>11</sup> w świetnej restauracji w Haut Cagnes, no i zaczął się na początek cały ciąg niepowodzeń: przeoczyliśmy wejście na autostradę i wdepnęliśmy w potworny tłok na szosie nadmorskiej, ponieważ kupa ludzi jechała zobaczyć autobus, który z mostku zjechał i zawisł nad kolejowymi torami, rezultat był taki, że dwadzieścia kilometrów zajęło nam dwie godziny, przyjechaliśmy do Cagnes potwornie zmęczeni. Znowu dobry los sprawił, że właściciel owej restauracji zapamiętał Romka i dzięki temu dostaliśmy dwa pokoje. A teraz jest już pod wieczór, siedzę na chłodnym tarasie naszego hotelu, w dole zbocza Haut Cagnes, stare domy spiętrzone na stoku, palmy, drzewa pomarańczowe z drobnymi jeszcze i zielonymi owocami, dalej nowe Cagnes, morze bardzo niebieskie, pasmo gór i tuż obok autentyczne cykady, spokój i cisza, o jakie doprawdy trudno tutaj na Côte d'Azur<sup>12</sup> w sezonie. Już rano przy śniadaniu zdecydowaliśmy, że zostaniemy tutaj, bo nic lepszego doprawdy trudno sobie o tej porze wymarzyć, zwłaszcza, że nie nazbyt drogo. Pełne pension po 4.000 fr od osoby, do morza piętnaście minut piechotą, leżaki, ciche ustronie z kanapą, stolikami i stołem na powietrzu, więc ideał dla uczenia się dla Marcina, a przede wszystkim ten spokój i cisza, i urok starego z XIV-ego wieku miasteczka, uliczki wąskie, fantastyczne perspektywy, nawet nie marzyłem, że coś równie dobrego uda się znaleźć i już byłem przygotowany, że towarzyszę Romkowi w drodze powrotnej poszukamy czegoś w środkowej Francji. Jedyny mankament,

<sup>10</sup> Mirosław Żuławski (1913–1995) – dyplomata i pisarz, od 1948 członek PZPR, w latach 1945–1949 pracownik ambasady Polski w Paryżu, w latach 1956–1965 reprezentował Polskę w UNESCO w Paryżu, ojciec reżysera Andrzeja Żuławskiego, jego żoną była Czesława Janiakówna.

<sup>11</sup> Zbigniew Cybulski (1927–1967) – aktor, Andrzejewski poznał go na planie *Popiołu i diamentu* (1958).

<sup>12</sup> Lazurowym Wybrzeżu.

że narazie [sic] mamy mały bardzo pokoik z jednym łóżkiem, zresztą szerokim, ale za parę dni wolni się dwułożkowy, a ja dostałem churon [?] w aptece w Monte-Carlo Dozidery [?] bez recepty, tylko na swój akcent i wymowę cudzoziemską. Zmęczony jestem dość ciężko, więc i ten list nieskładny. Romek wraca jutro do Paryża i pewnie przyjdzie po nas 25-ego.

Tymczasem pokrótce podróż:

2 sierpnia – wyjechaliśmy w południe na Chartres, potem do Blois, obejrzeliśmy Cheverny, Chambord, nocleg w Blois.

3 sierpnia – Chaumont nad Loarą, Amboise, gdzie umarł Leonardo<sup>13</sup>, cudowny zamek na rzece w Cheronceaux, po drodze wstąpiliśmy do Montresor (kuzynka Zygmunta, pani Rejowa [?], córka starej Branickiej z Białej Cerkwi i Wilanowa i przy okazji obrzernicy [?]), no i nocleg w Leni [?] za Limoges, w aucie.

4 sierpnia. Odpoczynek w ładnej podgórskiej miejscowości, Uzerche

5 sierpnia. Piękne górskie drogi przez Cordes, Albi do Castres. Już południe, ale jeszcze nie to dalsze.

6 sierpnia. Z Castres do Carcassone, potem Narbonne, i po południu już morze. Kąpiel, Montpellier, Aiguilles Moles [?] z czasów św. Ludwika, Arles, nocleg w Marsylii.

7 sierpnia. Ranek w Marsylii, po obiedzie przez Aix do Avignon, przed samym Avignonem trafiliśmy w Chateaufort na corridy, potem Avignon i nocleg w podgórskiej [?] miejscowości, Draugignon<sup>14</sup>.

8 sierpnia. Zjazd na Côte d'Azur i St. Tropez, St. Maxime, Cannes, no i dalej już wiesz.

9 sierpnia. Rano przez Niceę, Monte Carlo do Roquebrune, obiad i powrót, ponieważ zapomniałem adresu Żuławskiej. Narazie [sic] jestem sam, pojechał z Romkiem do St. Tropez.

piątek, 10

Więc znów piękny dzień, choć wczoraj pod wieczór bardzo się chmurzyło. Kola-cja, jak wszystkie posiłki, na tarasie, zapalone lampiony, jedzenie świetne i pięknie podane, muzyka z płyt, bardzo to wszystko ładne i uspokajające. Dzisiaj mamy już dostać pokój dwułożkowy i większy.

---

<sup>13</sup> Ściśle: Leonardo da Vinci zmarł w Cloux (Clos Lucé) w Amboise.

<sup>14</sup> Właściwie Draugignan.

godz. 13

Rzeczywiście dostaliśmy i z widokiem na morze. Pogoda wciąż absolutna, w cieniu ponad trzydzieści stopni. Niestety, źle znoszę słońce i chowam się w cień.

sobota, 11 sierpnia

Zupełnie mi się pisanie nie klei, teraz dopiero wyłazi zmęczenie zarówno Paryżem, jak i drogą. Chyba tu jednak wypocznę. Marcin czuje się raczej dobrze, zresztą o nim – to całe studium, więc na później. Nie jestem pewien, czy to był udany eksperyment ten wyjazd we dwójkę. Wiesz już pewnie z którejś tam kartki, że Marcin wraca 31-ego, w piątek, samolot powinien być w Warszawie jakoś koło południa.

Ucałowania

J.

29 VIII 62

Więc:

- 1) w przyszłym tygodniu, gdy kupię maszynę, zabiorę się do dużego listu. Narazie [sic] może Marcin jakoś zrelacjonuje te sześć tygodni.
- 2) sprawunki mają, oczywiście, braki, ale to zawsze wszystko na ostatnie dni, siły są ograniczone, pomysłowość – mała.
- 3) poważniejsze buty dla Agnieszki<sup>15</sup> sam już kupię (stopkę mam) i postaram się z pierwszą okazją przesłać.
- 4) co będę robić dalej – jeszcze pojęcia nie mam. Chciałbym przede wszystkim skończyć opowiadanie i nie siedzieć tu dłużej niż do końca października. Może rzeczywiście pojadę jeszcze do Jugosławii na te parę miesięcy najgorszych. Tu poszła tak straszna kupa pieniędzy, że nie chciałbym jeszcze bardziej nadszarpywać forsy.
- 5) w przyszłym tygodniu mam się wybrać z Zygmuntem do znakomitego specjalisty od krwi i przemiany materii.
- 6) wyglądam podobno dobrze, ale jednak zmęczenie. Mam nadzieję, że teraz odpocznę.

Całuję

J.

---

<sup>15</sup> Agnieszka Andrzejewska (1946–2021) – córka pisarza.

31. VIII.

7) Adres Wajdy: Nalewki 2 m 15

telefon w moim notesie

8) Dowiedz się u Bronki adresu Widasów [?] w Belgradzie.

9) Wyślę, czego potrzebujecie.

10) Papierosy: Irenka<sup>16</sup> – 3

Krystyna Tarn.<sup>17</sup> – 3

Zygmunt<sup>18</sup> – 4

piątek, 31. VIII. 62

Powrotny autobus do Paryża był prawie zaraz, zresztą zupełnie pusty, prócz mnie jechały dwie tylko osoby, szofer zatrzymał się przy rue de Sèvres, więc miałem kilka kroków do domu, zjadłem po drodze śniadanie w „Capoulade” [?] już otwartej i przed pół do ósmej znalazłem się s [sic] powrotem w hotelu, położyłem się, ale ze spania nic już nie wyszło, w każdym razie to leżenie i potem toaleta zabrały tyle akurat czasu, że gdy wyszedłem na miasto, Marcin już był w Warszawie. Dzwonił Romek, że jest bez pieniędzy. Spotkałem się z nim, poza tym, że był bez forsy – miał jęczmień na prawym oku.

sobota, 1. IX. 62

Wciąż wyjątkowo piękna pogoda. Dopiero wczoraj wieczorem zorientowałem się, że mam ołówek Marcina, musiałem go włożyć do siebie po wypełnieniu formularza odjazdu. Marcin pewnie myśli, że zgubił. Trochę myślałem, że rano zadzwonicie, ostatecznie telefon z Polski niewiele kosztuje, ale nikomu ten pomysł nie przyszedł do głowy, szkoda – jednak żyjemy w drugiej połowie dwudziestego wieku. Po obiedzie na Grenelle z Ewą<sup>19</sup> na filmie Antonioniego „Eclipse”<sup>20</sup>. Rozczarowanie absolutne. Nuda, świetna, ale pretensjonalna robota, pozorne głębie, wszystko pływa w starym, prawie młodopolskim sosie, podejrzane symbole, kupa komunałów, wyszliśmy z Ewą zupełnie zde gustowani i żeby się pocieszyć pojechaliśmy na

---

<sup>16</sup> Irena Szymańska (?).

<sup>17</sup> Krystyna Tarnowska (?).

<sup>18</sup> Zygmunt Mycielski (?).

<sup>19</sup> Zapewne chodzi o Ewę Fiszer (1926–2000) – poetkę i tłumaczkę, jedną z najbliższych paryskich osób Andrzejewskiego.

<sup>20</sup> *Zaćmienie*, 1962.

St. Michel na film Lubicza „Być albo nie być”<sup>21</sup>, świetna komedia, nakręcona jeszcze podczas wojny, a dzieje się w Warszawie okupacyjnej, piekielnie zabawne i cała rzecz w tym, że przed samym wybuchem wojny jeden z teatrów warszawskim [sic] przygotowuje komedię satyryczną o Hitlerze, niestety nie dochodzi do premiery, ponieważ cenzura w obawie podrażnienia straży niemieckiej nie dopuszcza do przedstawienia, ale pozostają mundury gestapowskie a także aktorzy grający Niemców, również i Hitlera. Cała ta sceneria okazuje się niesłychanie przydatna, gdy na skutek różnych niezwykłych okoliczności pojawia się w Warszawie wysłannik z Londynu, w istocie niemiecki szpieg. Żeby go unieszkodliwić – aktorzy zaczynają odgrywać Niemców. Rzecz nie z tej ziemi, szkoda, że Marcin tego nie widział. Paryż już wrócił do normalnego ruchu i tłoku, zupełnie się odmienił w dwa dni. Wróciłem właśnie do domu i już gdzieś koło 11-ej zasypiałem, gdy u moich sąsiadów (tego elmafrozego<sup>22</sup>) zjawiła się policja, godzinę chyba siedzieli i okropnie głośno krzyczeli, nie wiem – chyba rewizję robili. Wreszcie po północy wyszli, sami, obawy [?] inwigilacji ustały na miejscu, po kwadransie facet już chrapał. Romek dostał zaproszenie z Wenecji i jedzie we wtorek autem.

poniedziałek, 10 września

Więc nareszcie list! Już tak byłem niespokojny spowodu [sic] tego dłuższego milczenia, że telefonowałem dwukrotnie w sobotę wieczorem i rano w niedzielę, oba razy telefon nie odpowiadał. Co się stało? Zepsuty czy tak głośno rozmawiacie? Przed samym Twoim wyjazdem też przecież telefonowałem i tak samo telefon milczał. Zupełny obłąd. W każdym razie uspokojony, że wszystko w porządku.

Moje natomiast sprawy nie całkiem. W ubiegły piątek Zygmunt zaciągnął mnie do tego wielkiego Dreyfusa, zupełnie nadzwyczajny człowiek, oczywiście Żyd, wszystkie analizy przeprowadza na miejscu: elektrokardiogram, prześwietlenia, krew, mocz, badanie dna oka, wyobrażasz sobie, że to coś właśnie dla mnie. Dzisiaj byłem u niego drugi raz. No i tak to wygląda: wszystko jest w porządku prócz jednej rzeczy – zaczyna się proces zanikania wątroby, czyli tzw. marskość. Dreyfus twierdzi, że jeszcze pół rok [sic] picia i byłbym stracony: że zjawiłem się w ostatnim dosłownie momencie. Oczywiście ani kropli alkoholu, dieta zwykła: mięso,

<sup>21</sup> W oryginale *To be or not to be*, reżyseria Ernst Lubitsch, film z 1942 roku.

<sup>22</sup> Bardzo niewyraźne pismo: sympatycznego? empatycznego? antypatycznego?

ryby, owoce, jarzyny, tylko unikać rzeczy ostrych i ciężkich. Mam być u niego za dwa tygodnie, twierdzi, że już powinna być poprawa. Całe moje złe samopoczucie i te wszystkie wypryski i świństwa właśnie w wątrobie jego zdaniem mają swoje źródło. Lekarstw dał tylko dwa: stężoną B1 i jakieś cudowne pigułki uspokajające, poza tym krople do uszu. Więc to tak: abstynencję z właściwą sobie umiejętnością już po kilku godzinach zdążyłem uwznioślić, zmitologizować i zracjonalizować. Myślę, że żadnych trudności w tym względzie może nie będzie. Tak więc chyba i wątrobę i siebie ocalę. Trochę to dla mnie nowa sytuacja to poczucie poważnego zagrożenia, ale sądzę, że mi to dobrze zrobi, a w cichości ducha coś mi podszeptuje, że kto wie, czy właśnie TO nie było mi potrzebne.

Teraz w związku z tym niedobrym kawałkiem mięsa [?]:

w piątek przeprowadzam się do Maison-Laffitte, oczywiście nie do „Kultury”, lecz do hotelu, a raczej pensjonatu w parku<sup>23</sup>. Tu, w Paryżu, dłuższy pobyt nie ma sensu, o pracy w zwykłych warunkach hotelowych mowy nie ma. Tam nie będę musiał biegać na jedzenia, a przy tym nie będę zupełnie sam, mając obok Zygmunta<sup>24</sup> i Watów<sup>25</sup>. Zastanowię się jeszcze, czy masz listy pisać na ten nowy adres. Narazie [sic] pisz na adres stary, będą mi odsyłać.

To by było narazie [sic] wszystko. Boże, jak ja marzyłem, żeby się coś stało, żeby coś mnie poruszyło i żeby jakaś sprawa zepchnęła mnie z tej żalostnej i smutnej drogi, po której zakątkach schodziłem właściwie konsekwentnie od kilku co najmniej lat. Błagam, nie przejmuj się: zagrożenie jest moim żywiołem, wszelkie zagrożenie, najlepiej życiem podczas okupacji, to obecne zagrożenie już mnie właściwie nie może opuścić i pewnego trybu życia będę musiał przestrzegać, jeśli nie zechcę się wykończyć, a tego narazie [sic] nie pragnę, chciałbym jeszcze coś nie coś napisać, a przede wszystkim widzieć i słyszeć.

Tyle narazie [sic], po przeprowadzce zacznę regularnie codziennie pisać, teraz będę miał parę dni trochę załatanych, mam różne rzeczy załatwić, żeby nie jeździć wciąż do Paryża.

Całuję wszystkich

J.

---

<sup>23</sup> Nie wszyscy wiedzą, że „Kultura” zwana paryską miała swoją siedzibę *de facto* w Le Mesnil-le-Roi na granicy z Maison-Laffitte. Zapewne Andrzejewski wprowadził się do któregoś z domów przy Parc de Maison-Laffitte (przy Av. Cuvier).

<sup>24</sup> Zygmunta i Zofię Hertzów.

<sup>25</sup> Aleksander i „Ola” (właściwie Paulina z d. Lew) Watowie. Przebywali we Francji w latach 1961–1963.

Kochanie,

w związku z listem wysłanym wczoraj pisz na razie i aż do odwołania na następujący adres:

Mr.

Jerzy Andrzejewski

Filmex

44, rue La Boétie

PARIS VIII

To jest adres biura Ani<sup>26</sup> i ona mi zaraz wszelką korespondencję przekaże, bo będzie miała adres. Też i kochana, najlepsza Ania zabiera mnie w piątek w południe autem i odwozi. Fizycznie czuję się tak sobie, męczę się byle czym piekielnie i jak mysz oblewam potem, ale psychicznie – dobrze, jak już chyba dawno. Pogoda piękna, może nawet trochę zbyt gorąco w południe, ale wieczory nadzwyczajne, wczoraj Ania zaprowadziła mnie do takiej rosyjskiej knajpy, prawie na przeciw [sic] Notre-Dâme, co zresztą nie warte [sic] byłoby odnotowania, gdyby nie wspaniała sztukamięsa [sic] z rosółem i z jarzynami, Boże, jakie to było dobre! i prawdziwy, ludzki chleb, nie ta głupia, jałowa bułka paryska, dzisiaj nie wytrzymałem i na obiad sam poszedłem powtórzyć te radości wczorajszego wieczora. I ten wyjazd, to też radość: nareszcie warunki zbliżone do wiejskich, bez konieczności wybiegania z hotelu na jedzenia, bardzo mi się poza tym chce pisać, a wszystkie wina, aperitify i tym podobne bardzo daleko ode mnie odleciały, dopiero teraz wpadłem na trop, że poza wszelkimi sokami z butelek podają tu jeszcze tzw. citron, albo orange pressé<sup>27</sup>, z wodą i z lodem, to jest świetne. Owoców kupa. A Romek Polański w siódmym niebie spowodu [sic] nagrody<sup>28</sup>, ma już konkretne propozycje z Argentyny i z Jugosławii, szczęście, że mu się powiodło, bo prócz długów i nędzy nic narazie [sic] nie miał.

---

<sup>26</sup> Anna Jawicz (1922–1982), pseudonim Anne Dastrée – reżyserka polska żydowskiego pochodzenia, pracująca we Francji, żona pisarza Piotra Rawicza, także ocalałego z Zagłady. Najbliższa paryska przyjaciółka Andrzejewskiego, który opisał ją w genialnym opowiadaniu *Modlitwy* (druk w 1980).

<sup>27</sup> Wyciskany sok z cytryn lub pomarańczy.

<sup>28</sup> Nagroda FIPRESCI na festiwalu filmowym w Wenecji.

Narazie [sic] podaj nowy adres Maryli<sup>29</sup>, Chudkowi<sup>30</sup> i Irenie<sup>31</sup>, od której dostałem dzisiaj list. Napiszę do niej w przyszłym tygodniu. A w ogóle, w związku ze stanem zdrowia i żeby pracować wyjechałem pod Paryż, w okolice Wersalu, do pensjonatu. Całuję wszystkich, nic się nie martw

J.

PS

Czy Marcin dostał „Przekrój” na lotnisku? Zakupy prześlę przy pierwszej okazji. Basia Rudzińska<sup>32</sup> jedzie za kilka dni, ale nie mogę ją [sic] obarczać, bo leci samolotem.

[Dopisek bokiem: W uszach po paru dni [sic] zapuszczania kropli już się poprawiło. To jest rodzaj egzemy.]

piątek, 14 października<sup>33</sup>

godz. 16

Więc tu jestem, w Maison-Laffitte, Ania przywiozła mnie akurat w południe, więc razem zjedliśmy śniadanie w uroczym ogródku pod kasztanami, już się rozpakowałem i urządziłem, nawet nie przypuszczałem, że tu jest tak znakomicie, Zygmunt zamówił mi pokój jednoosobowy, zresztą przyjemny, ale kiedy właścicielka dowiedziała się, że chcę zostać dłużej i mam pracować – sama zaproponowała mi duży, dwuosobowy pokój, przydzwigała długi, wąski stół, na którym wygodnie można się zadowolić, przyniosła specjalną lampkę do pracy, oczywiście wszystko za cenę umówioną, trudno wyobrazić sobie coś lepszego: za oknami gęszcz kasztanów, prawie dłonią można liści dotknąć, ale że niewysokie i niewiele ponad pierwsze piętro wyrastające – ogromne niebo ponad nimi i jeszcze w głębi olbrzymie kasztany parkowej alei, niebo drunaj [?], jakie u nas rzadko bywa w sierpniu, bez jednej chmurki i doskonale niebieskie. Mój długi, wąski stół stoi prostopadle do jednego okna, z tyłu mam szafę, przed sobą solidne francuskie łóżko, po prawej stronie, w głębi, drzwi, a bliżej obudowaną toaletę, bardzo wysoką, prysznic jest na kory-

---

<sup>29</sup> Wirszowej.

<sup>30</sup> Józef Chudek (1908–1996) – przyjaciel Andrzejewskiego od wczesnej młodości, kolekcjoner.

<sup>31</sup> Szymańskiej.

<sup>32</sup> Postać niezidentyfikowana.

<sup>33</sup> Pomyłka Andrzejewskiego, chodzi o 14 września.

tarzu. Je się w razie pogody w ogródku, osłoniętym od alei żywopłotem z drzewek cytrynowych, albo w środku, sądząc po śniadaniu jedzenie dobre, podane pod pewien luksus, prawie dokładnie tak, jak w Cagnes, tyle, że podaje kelner, telefon na dole, do stacji kolejowej pięć minut spacerkiem, do Zygmunów trochę dłużej, ponieważ mieszkają na drugim końcu Maisons. A do Paryża dwadzieścia minut pociągiem, chodzą też bardzo często autobusy, szczególnie wygodne, jak się chce pójść do kina, ponieważ dojeżdżają do porte Neuilly, więc kilka stacji metrem do Champs Elysées.

Nie wiem, oczywiście, jak mi pójdzie robota<sup>34</sup>, bardzo od pisania odwykłem, ale myślę, że po paru dniach wejdę w sferę wyobraźni, cały jestem na to nastawiony, a to w pewnym sensie decyduje. Poza szybkim męczeniem się (zrozumiałym przy anemii) czuję się właściwie dobrze, ostatnio prawie nic jeść nie mogłem, wciąż mi było niedobrze i zwłaszcza rano zbierało mi się na wymioty. Otóż to minęło, ciągle jestem głodny, wszystko funkcjonuje normalnie, śpię lepiej niż poprzednio, żadnej potrzeby alkoholu [sic], żadnego rozdrażnienia i niepokoju, przeciwnie: prawie usposobienie ku anielskości. Zdaje się, że ostatnią kroplą, która mi dogodziła, to był jednak ten dwutygodniowy pobyt w Cagnes: wymęczenie upałem, przeżarcie prowansalską kuchnią, tam właśnie w drugim tygodniu straciłem apetyt i wciąż mi się robiło niedobrze wystarczył zapach fritury. Taka pogoda, jaka jest teraz, najbardziej mi chyba odpowiada: nie za ciepło, ale i daleko od chłodu, nawet wieczorami można jeszcze siedzieć na dworze, czuć już jednak bardzo jesień: powietrze o tej przejrzystości, jaka tylko jesienią bywa; i drzewa już zmieniające kolory, także ranki bardzo chłodne, lecz tym zimnem jeszcze rześkim i nie przejmującym dreszczami. O, jaka radość, że nie trzeba lecieć na miasto, żeby zjeść śniadanie i obiad; i chodzić całymi dniami w welwetowych spodniach, w koszuli bez krawata! W swetrze, wczoraj właśnie kupiłem sweter angielski, a raczej szkocki, absolutna miękkość, prawie nic nie waży, koloru nie kuszę się opisać, bo z wielu nici zrobiony, beżowo-popielato-ultramarynowy, w całości bardzo jasny i niebywale ciepły. Kupiłem też czarne buty na jesień i zimę, trochę bielizny, kilka koszul i krawatów, także i dużą walizę, żebym mógł się zabrać i teraz, kiedy będę wracać, bo po odjeździe Marcina zostałem tylko z torbą. Na większe zakupy (czenicie [?], spodnie flanelowe, marynarka z tweedu, jakiś płaszcz, buty) czekam aż przyjdą za parę dni pieniądze,

---

<sup>34</sup> Nad powieścią *Idzie skacząc po górach*.

żebym mógł płacić czekami zagranicznymi. Myślę, że tak kolejno, wraz ze zmianą pogody, dojdę do czegoś na zimę.

godz. 21

Zaszedł na chwilę Czapski<sup>35</sup>, żeby się pożegnać, ponieważ wyjeżdża na parę tygodni, na Południe. W przeciwieństwie do naszych spotkań sprzed dwóch lat, tak nieudanych i to chyba dla obu stron – te obecne okazały się tak jakby całkiem odnowione i znów chyba w odczuciu obustronnym. W ubiegłą niedzielę oglądałem jego ostatnie obrazy, bardzo piękne i w ogóle on cały, jakby odmłodził, to znaczy – biorąc pod uwagę wiek – starzeje się w sposób młodzieńczy, zawsze na świat i ludzi był otwarty, to mu zostało, lecz młody w tym stosunku zakochań [? zachłanności?] i niepokoju, więc otwarcie: wciąż młodzieńcze, natomiast stosunek: właśnie przekraczający granicę wieku dojrzałego, jednak Mickiewicz miał dużo gorzkiej racji – „wiek męski, wiek klęski”. No, a potem sami Zygmuntowie, z nią też stosunki ułożyły się stokroć lepiej niż przed dwoma laty. Posiedzieliśmy trochę w ogródku i pojechali do siebie na kolację, ja – nie musząc nigdzie jechać – przeszedłem tylko do środka i w zacisznej, małej salce, bardzo nobliwie unjawną [?], w zupełnej pustce i sam jeden obsługiwany przez kelnera, przysunąwszy jego stolik na kółkach z potrawami, jadłem (o mojej diecie patronka<sup>36</sup> jest poinformowana), więc jadłem, jako hors d'œuvre<sup>37</sup>: trochę pomidorów, trochę surówki z marchewki i połówkę jajka na twardo; potem taką rybę morską rodzaj jigonij [? jakiejś?] „une sole”<sup>38</sup> z kartoflami z wody, a na deser gruszkę, popijając wszystko wodą Vichy i czytając przerwach „Le Monde” – wyobrazasz sobie, co za historie nie z tej ziemi wypisuje nasza prasa na temat Kuby. Acha, ciekawy jestem, czy nasza prasa podała przebieg obrad narady ekonomicznej w Moskwie? To wielka i pomyślna sytuacja: po raz pierwszy przeprowadzono ostrą krytykę sztywnego oceniania ekonomiki kapitalistycznej, krytykowano pozycje Francuzów, uporczywie twierdzących, że wspólny [wolny?] Rynek jest

<sup>35</sup> Józef Czapski (1896–1993) – wybitny polski malarz, pisarz, teoretyk sztuki, współtwórca paryskiej „Kultury” i jej wieloletni współpracownik. Miał swój pokój na piętrze w Mesnil-le Roi w siedzibie „Kultury” (zwanej potocznie a mylnie „Maison-Laffitte”). Jak uważa Anna Synoradzka (*Jerzy Andrzejewski. Przyczynek do biografii prywatnej*, Warszawa 2016), Czapski mógł być pierwszym męskim kochankiem Andrzejewskiego, a ich związek miałby trwać kilka miesięcy.

<sup>36</sup> Galicyzm, właścicielka pensjonatu.

<sup>37</sup> Danie, które stanowi całkowity posiłek.

<sup>38</sup> Sola.

świadectwem dalszego rozkładu kapitalizmu i oficjalnie przyjęto stanowisko komunistów włoskich. Myślę, że to duży krok naprzód w rewidowaniu skostniałych ocen marksistowskich, świat jednak idzie naprzód i od czasów Lenina wiele się zmieniło. Dziesięć lat temu jeszcze Einstein był „paskudny”, dzisiaj ruskie muszą go przyjmować, bo tego domaga się rozwój techniki, na razie jednak żadnych wniosków ideologicznych z rozwoju nauk fizycznych wyciągać nie chcą. Dobrze przecież, że oczywisty kształt ekonomiki zachodniej ocenili rosną [?] <sup>39</sup>.

W zeszłym tygodniu pewien wybitny matematyk, stale przebywający od lat w Londynie, opowiadał mi o zupełnie niebywałej specyficzności życia społeczno-ekonomicznego w Anglii, gdzie robotnik, przechodząc na etat, staje się automatycznie właścicielem konta bankowego i współwłaścicielem zakładu pracy. Podniesienie poziomu życiowego we Włoszech w ciągu ostatnich czterech lat też podobno niebywałe. Pojęcia nie masz, co to za zakute łby, lub po prostu kanalie – ci komuniści francuscy, nieprzejednani stalinowcy, a w istocie karierowicze z mentalnością najobrzydliwszych burżujów. Sporo teraz różnych historii słyszałem i to wcale nie od strony emigracyjnej.

Tyle dygresji ideologicznej. Więc po kolacji poszedłem się przejść, moja „La Roseraie” <sup>40</sup> znajduje się w parku, przy szerokiej alei, ale do centrum miasteczka dosłownie kilkanaście kroków, kupiłem papierosy, zapalki, doszedłem do Dworca ulicą też, jak Aleje Jerozolimskie, szeroką, już pusto, trochę ludzi po bistrach, chłodno poza tym, więc wróciłem, słów tych kilka napisałem, wezmę teraz Doriclena [?], trochę się czuję oszołomiony i zdumiały tą zmianą, więc [?] spać, jutro rano muszę załatwić trochę sprawunków: owoce, maszynkę do wyciskania soku, żeby nie ogłupiać brzucha nadmiarem mięszu, coś na Małe-Co-Nieco, papier, po południu chciałbym się zabrać do czytania opowiadania. Zobaczymy! Dobranoc narazie [sic]. Jutro już dwa miesiące od wyjazdu, a mnie się wydaje, że to Bóg wie jak dawno żegnaliśmy się na Okęciu, zresztą i wyjazd Marcina wydaje mi się strasznie odległy.

---

<sup>39</sup> Niewyraźne, koniec kartki.

<sup>40</sup> Obecnie istnieje restauracja o tej nazwie na 2 Avenue Jean Bart, czyli jednak kilkaset metrów od parku.

sobota, 15 września

Jakoś ta pierwsza noc tutaj, mimo proszku, nie najlepsza, wciąż się budziłem i rano zmęczenie, ale mimo to, gdy przyniesiono mi śniadanie o ósmej – pożarłem je gwałtownie, pogoda wciąż piękna i już o pół do dziewiątej pokój był pełen słońca szybko rozpraszającego nocny chłód, prawie godzinę oswajałem się z mechanizmem Mercedesa, którego wczoraj przywiózł od siebie Zygmunt, niby to układ czcionek podobny do naszej, ale kilka liter inaczej uplasowanych i wciąż, chcąc wystukać „ę”, sięgałem odruchowo gdzie jest znak :=. Poza tym regulowanie marginesu całkiem dla mnie nowe: długo się głowiłem zanim wpadłem na właściwy trop. Wpadł potem Zygmunt, wpierw byłem na spacerze, doprawdy bardzo tu pięknie, szczególnie cała ta część, gdzie mieszkam, ten ogromny park z zamkiem z widokiem na dolinę Sekwany, mieszkała tu w swoim czasie Mme Sant-Sène. Poszliśmy z Zygmuntem do miasteczka, piliśmy sok pomidorowy, różne interesa, potem obiad: grapefruit, karczek [?] i ciastko z brzoskwiniami, godzina odpoczynku, przynieśli mi kawę na górę i zabrałem się do lektury opowiadania. To chyba nie jest złe, ale jeszcze się w tym gąszczu nie poruszam swobodnie. Teraz dochodzi szósta, pójdę się przejść, kupię „Le Monde”, może jeszcze popracuję przed kolacją.

godz. 20.45

Nie wiem, czy pamiętasz, że akcja wielu fragmentów „Thibaultów”<sup>41</sup> rozgrywa się właśnie w Maison-Laffitte, gdzie mieli przecież swoje wille i stary Thibault, i matka Germaine [?] i Daniela. Jest także takie opowiadanie Hemingwaya w „Śniegach Kilimandżaro”, zdaje się, że się nazywa „Jego ojciec”<sup>42</sup>, też się dzieje tutaj i do tej pory istnieje „Café de Paris”, gdzie zbierają się dżokeje i w ogóle ludzie związani z wyścigami<sup>43</sup>. Przed pierwszą wojną Maison-Laffitte przeżywało swój wielki okres, tutaj odbywały się wyścigi konne, teraz pozostały tylko stajnie i przygotowanie koni do wyścigów.

---

<sup>41</sup> *Les Thibault* – powieść-rzeka Rogera Martina du Gard publikowana w latach 1922–1940. Andrzejewski wzmiankował go w swoim artykule *Kilka uwag o współczesnej powieści francuskiej*, „Miesięcznik Literatury i Sztuki” 1935–1936, nr 2, przedruk w: Jerzy Andrzejewski, *Samotne pokolenie. Szkice i recenzje krytyczne z lat 1927–1939*, opracowanie Maciej Urbanowski, Kraków 2014 (wzmianka o *Thibaultach*). W Maison-Laffitte osadzona jest akcja na przykład w części *La Belle Saison*.

<sup>42</sup> Opowiadanie *Ojcowie i synowie* (1933) z tomu *Śniegi Kilimandżaro* (1961, poszczególne utwory ukazywały się wcześniej).

<sup>43</sup> Z których Maison-Laffitte słynie.

Chyba będzie zmiana pogody, bo cholernie bolą mnie kości i w ogóle czuję się zdechły, ogłupiały, jakby mnie udzielono czymś ciężkim po głowie. Oczywiście, mobilizacja tzw. wewnętrzna znaczy bardzo wiele, lecz jednak nie tyle, by w pewnym momencie mdłe ciało nie upomniało się natarczywie o swoje zwierzęce prawa. Wtedy chytrze atakuje „porywy duszy”, także zdyscyplinowany umysł i następuje taka kompletna chała, przede wszystkim zmęczenie, zmęczenie i tylko zmęczenie, jakkolwiek nie podobna mi nie zauważyć, że jeśli się ma i chętkę i także pewną potrzebę, by takie stany kształtować w zdaniach, to już nie jest tak źle. Również nie bez leciutkiego upodobania obserwuję swoje pismo, jest równiutkie. Chyba czytelne, co zawsze oznacza, jak wiesz, u mnie pewne zrównoważenie. U Dreyfusa mam być w przyszły poniedziałek, ciekawe, co powie? Mam wrażenie, że właśnie teraz przyjdą dni najgorszego samopoczucia, zresztą, Boże wielki! Jakież ono ma być to samopoczucie fizyczne, jeśli nie takie właśnie? Potrzeby alkoholu [sic] nadal nie odczuwam, o smaku wina myślę nawet z pewną niechęcią, zresztą w ostatnich tygodniach też już mi nie smakowało, jeśli piłem je, to żeby nie czuć się zmęczonym, pierwszy kieliszek przeważnie przełykałem ze wstrętem.

Zafundowałem sobie dzisiaj puszkę angielskiego tytoniu i zacząłem papierosy przeplatać [?] przekładać? fajką – myślałem, że z tego akapitu wyjdzie może coś inteligentnego, ale chyba nie, pójdę się położyć. Z tutejszych dzienników zupełnie nie mogę się zorientować, co się dzieje w Belgradzie, piszą tu tylko o sukcesach Francuzów i dopiero jakimś maczkiem, że jednak ruskie prowadzą w ilości medali, a my gdzieś daleko, daleko – tylko trzy, ale tyleż samo, co Francuzi.

niedziela, 16 września

godz. 20.30

Zygmunt pojechał dzisiaj rano do Genewy na trzy dni. Prosiła mnie Marynia Czap-ska<sup>44</sup>, żeby do niej zajść, ale mi się nie chciało, niedostateczna ochota na długie rozmowy duchowe, zatem cały dzień cały [sic], sporo rano chodziłem po parku, choć bardzo się oziębilo, bez słońca, będę sobie musiał w najbliższych dniach kupić jakiś płaszcz; po południu cały czas w domu, jakieś odrobinki wyobraźni zaczynają przebłykiwać, jeszcze popracuję kilka godzin.

---

<sup>44</sup> Maria Czapka (1894–1981) – badaczka romantyzmu, publicystka, siostra Józefa.

W dzisiejszej prasie ilość naszych medali urosła do siedmiu, ale pojęcia nie mam jakie, kto i za co. Specjalnie dla Marcina: dzisiaj na obiad przyszła taka straszna rodzina francuska – cztery okropne kobiety, okropny mężczyzna i dziecko, podobne do mężczyzny, absolutny debil. Żarli, pili i bardzo głośno i beznadziejnie rozmawiali.

poniedziałek, 17

Pochmurno i zupełny ziąb, pod wieczór było niecałe dziesięć stopni. Zrobiłem tzw. drabinkę akcji, ale wyobraźnia gładka, jak lustro, zresztą nie specjalnie [sic] się tym przejmuję, tłumacząc sobie rozsądnie, że nie może być narazie [sic] inaczej i niepodobna, abym się nie czuł źle, zmęczony i oklapnięty. Po południu poszedłem do Maryni Czapskiej, potem chwilę na dole z Zosią i Wattami [sic!], którzy wczoraj tu zjechali, bo się im skończyło pożyczone mieszkanie, a nowe mają dostać dopiero w połowie listopada. W „Monde” zaczyna się seria artykułów o wewnętrznych stosunkach w Rosji i krajach demokracji. Pisze Ben, wiesz taki wieloletni korespondent w Polsce, znakomicie zorientowany, usunięto go z Polski przed kilku miesiącami. Czytałem skrót przemówienia Cyrankiewicza w Majdanku, też fragment dotyczący oburzenia Polaków w związku z wizytą de Gaulle’a w Niemczech. Chyba nic fałszywszego niż nasza lojalna [?] ocena całokształtu spraw związanych z NRF. A Ben, mówiąc o przemianach w Rosji, pisze nieomal dokładnie to samo, co zanotowałem parę dni temu w związku ze zmianami narzuconymi przez konieczność technicznego postępu. Przyjechała tutaj przed paroma dniami żona Julka, nie widziałem jej zresztą, ale podobno opowiadała, że w Warszawie zły nastrój, oczekiwanie wojny, czy tak rzeczywiście jest? Jeśli tak, to chyba głupio, zawsze powtarzam, że jedną z najdotkliwszych plag nas wszystkich dotyczących w kraju jest dezinformacja i wypaczony, nieprawdziwy obraz świata. I mimo to, chwilami, tak mi brak Polski, że gdyby nie rozsądek – pierwszym samolotem poleciałbym do Warszawy. I też brak wiadomości. Pisałaś, że Marcin 14-ego miał здаwać drugi raz fizykę, dzisiaj jest 17-y, a ja nic nie wiem i pewnie jeszcze kilka dni upłynie zanim list od Ciebie do mnie dotrze. Dochodzi 10-a, więc idę leżeć. Jednak ten chłód lepszy od upału. Jeszcze się wzdrygam, gdy sobie przypominam Cagnes i to bezustanne pocenie się, okropność!

wtorek, 18  
godz. 11.45

Trochę słońca, więc pokój szybko się nagrzewa, a poza tym jakaś mała klapka otworzyła mi się w głowie i napisałem jeden fragment, przerywam jednak, żeby zostawić sobie „przyrzady” na popołudnie, pójdę się przejść, oddać spodnie tergalowe do prania, przeczytać „France-soir” i wrócić akurat na obiad.

19.15

Zygmunt wrócił z Genewy i ma zająć do mnie wczesnym rankiem, więc chyba skończy ten list, żeby poszedł jutro z Paryża. Nic nowego, zdaje się życia tak systematycznego i samotnego, jak tu, nigdy jeszcze nie miałem. Chwilami brak mi ludzi, chętnie bym porozmawiał, lecz nie na tyle widać tego potrzebuję, aby zmusić się do pojechania do Paryża. Miły Boże, jak wszystko jest względne! Przed trzema miesiącami całą duszą się rwałem, żeby się znaleźć w Paryżu, teraz go mam pod bokiem, o pięć minut piechotą i dwadzieścia pociągiem, i nie chce mi się zdobyć na ten skromny wysiłek. Trochę pisałem po południu, ciężko to idzie, ale chyba w tym samym stylu, czy raczej w jednym ze stylów, bo jest ich w tym opowiadaniu dość dużo.

Bardzo czekam na wiadomości. Tamtą „smugę cienia”, o której pisał Conrad<sup>45</sup>, przekracza się zwykle w sposób niezauważalny i nieraz dopiero po latach odnajduje człowiek jej czas i miejsce, natomiast ta druga „smuga”, właściwie już nie smuga, lecz ogromna, ciemna rzeka toczy się tuż na wyciągnięcie ramienia i trzeba przez nią przejść świadomie, nigdy – jak się zdaje – jednym tchem, jednym skokiem. Czuję się trochę tak, jakbym już wszedł w tą [sic] rzekę i cały nią był ogarnięty, ale jeszcze nie widział drugiego brzegu, nie wiem: bliskiego czy dalekiego.

Całuję Was wszystkich

J.

godz. 21.10

Przed zaklejeniem koperty przejrzałem te kartki i zrobiły na mnie wrażenie skrajnie egocentrycznych, jakbym w ogóle tylko siebie widział i nad sobą się zastanawiał. Może tak trochę i jest, ale z tego o po prostu wynika, że chcę możliwie najwięcej

---

<sup>45</sup> Powieść Josepha Conrada *Smuga cienia* (wydanie książkowe w 1917 roku).

wiadomości o sobie przekazać. Zdaje się, że tylko w ten sposób, niejako pamiętnikarski i z dnia na dzień, potrafię listy pisać. Stąd też i poprzedni brak obszerniejszych wiadomości, bo nigdy nie udawało mi [sic] w ciągu dnia wykroić tyle spokoju, żeby usiąść i swobodnie się rozpisać. Tutaj natomiast obszary czasu dla siebie samego aż chyba nazbyt wielkie, czego zresztą nie odczuwam narazie [sic] w sposób przykry.

No i widzisz – na sam koniec spadło świństwko z papierosa i wypaliła się chmurka. Mówiąc stylem „Przekroju”: przepraszamy i jeszcze raz całujemy.

J.

PS

Na wszelki wypadek jeszcze raz podaję adres:

Jerzy Andrzejewski

Filmex

44, rue La Boétie

PARIS VIII

środa, 19 września 62.

godz. 20.45

Nic się właściwie nie przydarzyło godnego zanotowania, a również i myśli nie znajduję na razie wartych utrwalenia: dzień dokładnie taki sam w „przebiegu akcji”, jak poprzednie, tyle że rano zaszedł Zygmunt, przywiózł w tym czasie wspaniale pachnący tytoń holenderski, powiadomił, że przyszły pieniądze i zabrał list do Ciebie, pewnie za ileś tam dni go dostaniesz. Trochę pisałem, godzinę byłem na spacerze, wykorzystując słońce, bo wciąż bardzo chłodno i w nocy temperatura spada do pięciu stopni, potem obiad: surowa marchew, pomidory i jajko, kurczę i na deser jogurt; godzina odpoczynku, kawa i owoce, wyszedłem po „Le Monde”, wróciłem, dalej pisałem wciąż tę samą scenę (zmieniona wersja młodego Barby z dziennikarzem), czytałem, przed samą kolacją zgasło światło, więc kolacja: sardynki, befsztyk i kompot; to chyba i wszystko. Jutro może wybiorę się do Paryża, bo akurat w jednym z kin idzie „Awantura” Antonioniego<sup>46</sup>, którą bardzo chciałbym obejrzeć. Chyba nie wspominałem dotąd, bo to było dość dawno: widziałem

---

<sup>46</sup> *Przygoda (L'avventura)* – film Michelangela Antonioniego z 1960 roku.

ostatni film Bergmanna [sic], po francusku tytuł „A travers le miroir”<sup>47</sup>, ale to głupie tłumaczenie, powinno być „Po drugiej stronie zwierciadła”, wiesz, że za Bergmanem [sic] nie przepadam, ale tym razem wyszedłem pod dużym wrażeniem, przekonany oczywiście nie jego mętną filozofijką, ale genialną robotą, atmosferą, grą aktorów: są tylko cztery osoby, jedność czasu i miejsca, nad morzem, wszystko zawiązuje się dokoła młodej kobiety, która pogrąża się w nieuleczalny obłęd, ulegając rozdwojeniu, pozostałe osoby, to mąż lekarz, ojciec – znakomity pisarz i młodszy brat – jeszcze uczeń. Andersonn [sic]<sup>48</sup> absolutnie bezbłędna, gra takie rzeczy, które o milimetr wydają się od szmiry i gdyby nie były tak zagrane – budziłyby śmiech. Widziałem też Bunuela [sic] „Los Olvidados”<sup>49</sup>, zdaje się, że Marcin to widział na jakimś pokazie, ciężki i okrutny koszmar, ale dużo znakomitych rzeczy. To chyba i tyle na dzisiaj. Taki spokojny dzień, a czuję się śmiertelnie zmęczony.

piątek, 21  
godz. 18.50

Wczoraj ani słowa, ponieważ pojechałem do Paryża przed kolacją, a wróciłem ostatnim pociągiem, który odjeżdża z St. Lazare o pół do pierwszej, zadzwoniła po prostu Ewa, że ma zaproszenie na tzw. galę „Teresy Desquerox [sic – brak zamknięcia cudzysłowu], więc się wbiłem w białą koszulę i czarny krawat, wbrew moim przypuszczeniom czarne buty i czarny krawat świetnie idą do granatowego ubrania, głupstwo tylko zrobiłem, że pojechałem autobusem, zapomniawszy, że to akurat godzina największego ruchu, razem biorąc z metrem (niech się Marcin ucieszy, że w Châtelet<sup>50</sup> pomyliłem kierunki i piechotą zrobiłem w tych korytarzach co najmniej kilometr) kosztowało to co najmniej półtorej godziny, zjedliśmy u Ewy, film miał się zacząć o 21.15, zaczął się prawie o 22-ej, niestety mieliśmy miejsca na dole, a główne zbiegowisko (Mauriac, Malraux itd.) było, jak w kinie „Moskwa” na górze. Ponieważ ta gala była połączona ze składką na ofiary trzęsienia ziemi

---

<sup>47</sup> *Jak w zwierciadle* (*Såsom i en spegel*) – film Ingmara Bergmana z 1961 roku.

<sup>48</sup> Harriett Andersson (ur. 1932) – szwedzka aktorka, wystąpiła w *Jak w zwierciadle* w roli głównej jako Karin.

<sup>49</sup> *Zapomniani* (*Los olvidados*) – film Luisa Buñuela z 1950 roku, nakręcony w Meksyku.

<sup>50</sup> To ogromna stacja metra i pociągów podmiejskich w Paryżu, krzyżuje się tu obecnie pięć linii metra, w 1962 roku – cztery (1, 4, 7 i 11). Andrzejewski zapewne przyjechał linią nr 1.

w Iranie<sup>51</sup>, więc była mowa, mówiła ładna Iranka, przysięgam, że zupełnie w stylu naszych przemówień. Wszyscy dokoła słuchali w skupionej powadze, nas z Ewą trzęsło ze śmiechu, właściwie my z Polski jesteśmy potwornie zblazowani, aż nie-ludscy w reakcjach. Kiedy opowiadano mi kilka dni temu, że Surkova<sup>52</sup> napadnięto w Pradze i wybito mu oko, odruchowo spytałem: jedno? Jeżeli to prawda, to wyobrażam sobie, jaki strach musiał paść na czeskich pisarzy. Ale wracając do filmu: mnie się wydał okropny, owszem – porządnie zrobiony, dobry technicznie, Emmanuel [sic] Riva<sup>53</sup> ładnie gra, jej partner w roli męża też, jeszcze jest i Sam [sic] Frey, ale rzecz w tym, że powieści było podłe, przestarzałe i zwietrzałe, aż dziwnie mi się zrobiło, że się kiedyś tak tym zachwycałem, tak ubóstwiałem Mauriaca. Wyszedłem zresztą przed końcem, żeby złapać ostatni pociąg. Zimną kolację zostawiono mi w pokoju, bardzo przyjemnie tak wracać, trochę, jak do domu.

No, a dzisiaj kupa listów. Ta biedna pani Daman<sup>54</sup>, której Zygmunt podał przez telefon mój obecny adres, jest głuchawa i nie połąpała się na tyle, żeby zanotować, więc i listy leżały aż Zygmunt trafną intuicją wiedziony osobiście zaszedł na Vaneau. Musiałś widocznie, pisząc, nie dostać następnego mego listu z adresem paryskim biura Ani Jawicz. Pisz na ten adres, to o wiele prościej, sprawa przeadresowania. Głupie z tym Maison-Laffitte, ostatecznie, i tak się rozniesie, że tu jestem, nawet nie śmiałbym żądać od siebie, abym ukrywał, gdzie mieszkam, powinni wiedzieć, że w pewnych sprawach można na mnie absolutnie polegać i nawet w stosunku do świntuchów obowiązują pewne zasady dżentelmeństwa.

List Agnieszki uroczy, coraz bardziej umacnam się w przekonaniu o jej wartości, niestety – bardzo jestem w tej mierze nadwątłony w stosunku do Marcina. Może jestem niesprawiedliwy i też nie bez win, ale tych kilka tygodni razem z nim spędzonych bardzo go w moich oczach odczarowało, raz po raz wychodzą z niego cechy bardzo nieprzyjemne, brzydkie odruchy, egoizm wprost przerażający, nie-dbalstwo, niechłujstwo, może się mylę, lecz wydaje mi się, że wpływ Kariny<sup>55</sup> jest

---

<sup>51</sup> 1 września 1962 roku w Bu'ín-Zahra, 7,1 w skali Richtera.

<sup>52</sup> Aleksiej Surkow (1899–1983) – radziecki pisarz, przewodniczący Związku Pisarzy ZSRR w latach 1953–1969.

<sup>53</sup> Emmanuelle Riva (1927–2017) – aktorka francuska, zagrała główną rolę w filmie, o którym pisze Andrzejewski, czyli *Thérèse Desqueyroux* w reżyserii Georges'a Franju na podstawie powieści Mauriaca. Partnerował jej Philippe Noiret.

<sup>54</sup> Postać niezidentyfikowana.

<sup>55</sup> Dziewczyna Marcina Andrzejewskiego w tamtym okresie.

na niego fatalny, to jest chyba ten zimny, wyrachowany typ Janki Cękałskiej<sup>56</sup>, lecz bez jej inteligencji i ogólnej kultury. Nie wiem, doprawdy przestałem się w nim orientować, nie umiem znaleźć klucza do jego nie mycia [sic] się, wciąż mnie stawał w sytuacji gderającego pryka, który się czepia, było sto awantur i natychmiast potem wychodzi na dwór z uszami aż czarnymi z brudu. Na miłość boską – przecież on ma dziewiętnaście lat. Żle go wychowaliśmy, zbyt wiele go adorowano, nazbyt go obsługiwano, obawiam się, że powtórzy się historia Grzesia<sup>57</sup>. Myślę, że Twoje plany na wypadek, gdyby oblał, absolutnie słuszne, zwłaszcza jak chodzi o pracę. Wąski zakres jego zainteresowań też jest smutny. A może się mylę? Może wiele rzeczy zrobił po prostu przeciwko mnie, to jest zrozumiałe w jego wieku i przy posiadaniu takiego ojca, jak ja, w dobrym i w złym sensie tego ojcostwa. Tak, czy inaczej – dużo się nasmuciłem przez te tygodnie, trochę inaczej to sobie wyobrażałem.

godz. 20.30

Kolacja taka: grape fruit [sic], jajka na szynce, banan, brzoskwinia, nie mogę dwa razy dziennie jeść mięsa i w ogóle muszę – zdaje się – ograniczać to jadło, zbyt jestem przepełniony, paskudny język. I z tym wszystkim podobno świetnie wyglądam. Ach, te pozory! Ile takich różnych pozorów istnieje dokoła mojej osoby.

We wtorek mam być u Dreyfusa i od tego, co on powie, uzależnię pobyt tutaj. Prawdę mówiąc, chciałbym już wrócić, bo 1) pieniądze idą w sposób przerażający, jeden dzień tutaj, to jednak w przeliczeniu na PKO – co najmniej 720 zł. Oblicz, jak kurczy się nasza rezerwa, ten względny spokój na trzy, cztery lata. 2) jeszcze raz dochodzę do przekonania, że tu należy przyjechać na trzy najwyżej miesiące i wracać, albo zostać na stałe. Pobyt tu, gdy kończy się nasycenie innością, staje się tylko prowizorką, w moich warunkach (wyjątkowych dla Polaka) wygodną, łatwą, z dobrym jedzeniem itd, ale jednak tylko prowizorką, a pobyt stały w moim wypadku wykluczony zarówno ze względów obiektywnych, jak subiektywnych, a prowizorka i jako prowizorka nienormalna do tego materialnie niekorzystna na dłuższą metę – więc wniosek prosty: wracać. Podróżowanie przy obecnym zdrowiu i bez sensu, i nie mam ochoty, Jugosławia w tej chwili – też bez sensu ze swoją

---

<sup>56</sup> Janina *primo voto* Cękałska, *secundo voto* Miłosz, z domu Dłuska (1909–1986).

<sup>57</sup> Być może chodzi o Grzegorza Abgarowicza, kuzyna Marii.

zwariowaną kuchnią, poza tym, to wysiłek, na który mnie obecnie nie stać. „Byłem, widziałem”..., raczej nie zwyciężyłem, ale i nie przegrałem, Boże drogi! Oczywiście, gdybym tu został, np. przez zimę, to bym jeszcze obejrzał pewną ilość filmów, wystaw, sztuk, ale ostatecznie tak można ciągnąć w nieskończoność: i tak tysiąca rzeczy godnych widzenia nigdy w życiu nie zobaczę, zdaje się, że zrozumiałem, na czym polega tzw. tęsknota za ojczyzną: to wcale nie znaczy, że brak mi polskiego nieba, warszawskiego pejzażu i ludzi dokoła mówiących moim językiem. Wolę niebo paryskie, a także paryski pejzaż. Tylko tak sobie sam los ułożyłem i tak mnie ułożył los, że moje miejsce, choć tak często gorzkie i parszywe, jest tam, a nie tutaj. Tęsknota, to po prostu potrzeba swego naturalnego miejsca, wcale nie o to chodzi, że zdala [sic] od kraju traci się z nim kontakt, Czesław<sup>58</sup>, jak Mann ani trochę go nie zatracił, to jest oczywiście sprawa wieku, doświadczenia, inteligencji, intuicji i wielu innych rzeczy, które nie każdy może posiadać. Tutaj i to w stopniu chyba silniejszym niż dwa lata temu wciąż się przyłapuję na zdumieniu: co ja tu robię? poco? [sic] naco? [sic] Wczoraj właśnie, kiedy jechałem pod wieczór autobusem i cały czas czytałem „Le Monde” ani razu nie zainteresowany pejzażem, bo go znam, i gdy autobus dojechał wreszcie do porte Neuilly – wysiadłem i machinalnie, zupełnie się nie rozglądając, poszedłem w kierunku metra – uderzyło mnie to rozpoznanie [?], że jestem tu w jakiś sposób zdomowiony, już nie przeżywam emocji poprzedniego pobytu, ale to nie jest moje miasto, więc co ja tu robię? Aniturysta, ani stały mieszkaniec, coś takiego zawieszono w dwuznacznym bezruchu, nie – to głupie i jeszcze raz powtarzam: kosztowne. Nie wiem, czy to wszystko jasno wyklarowałem, bo to naprawdę nie przejaw miotania się i że tam dobrze, gdzie nas nie ma. Nie mam złudzeń, że po powrocie bramy raju się przede mną otworzą. Pewnie nieraz [sic] będę myśleć: i poco [sic] wyjechałem, mogłem jeszcze zostać parę, kilka miesięcy. Rzeczywiście mam do wyboru sto możliwości, mogę pojechać, gdzieś [sic], do Włoch, do Grecji, czy ja wiem gdzie? Ale nawet wspomniane względy finansowe pomijając, to już nie dla mnie, nie chcę narazie [sic] nowych wrażeń, nie umiem podróżować w parę oczu, zima nadciąga – czas wracać do domu, smutny, biedny, zmęczony kraj, właściwie nie lubiłbym go serdecznie, gdyby mi go nie było tak żal.

---

<sup>58</sup> Miłosz.

No i popatrz, już po dziewiątej się zrobiło, ziąb na dworze okropny, w pokoju też zdaje się chłodno, mówię zdaje mi się, bo mam na sobie cztery warstwy: podkoszulek, koszulę, czarny sweter i ten nowy, zagrzałem się, jak piecyk, tylko nogi lodowate. Położę się, poczytam, nawet słowa nie napisałem, jak bardzo Twoim listem byłem „ogrzany”, dobranoc.

Potrzeby alkoholu [sic] nadal żadnej, że psychicznej – to rozumiem, ale że i fizycznie tego braku nie odczuwam, to mnie trochę dziwi. Może nie doceniam siły swego charakteru, siły dość szerokiej – i zazwyczaj śpiącej, ale gdy staje zbudzona? Zdaje się, że popadam w pewną skłonność do przechwałek. Więc rzeczywiście dobranoc, nigdy nie wiadomo, co sobie człowiek zgotuje następnego dnia.

poniedziałek, 24  
godz. 10

Dwa dni przerwy: w sobotę po obiedzie pojechałem do Paryża, żeby zobaczyć film, o którym wiele słyszałem – „*Shadows*” młodego amerykańskiego reżysera, Greka z pochodzenia<sup>59</sup>, rzeczywiście świetny, genialnie grany przez nieznaną aktorów, konflikty rasowe, środowisko młodych „*Wiewiórek*” [?] <sup>60</sup>, poza tym jedna z wersji tego słynnego filmu Eisensteina o Meksyku<sup>61</sup>, nic się to nie zestarzało, choć film niemy. Natomiast wczoraj po południu tłum gości: najpierw przyjechał Józio Brodzki<sup>62</sup>, potem Anna Jawicz, pojawili się Zygmuntowie i na koniec [sic] Kottowie<sup>63</sup> ze swoją siostrzenicą z Brukseli i jej mężem, który nauczył się trochę po polsku w Oświęcimiu. Ania i Józio zostali na kolacji, pili białe wino, ja – swoją Vichy, bardzo było przyjemnie. Brodzki wraca za parę tygodni, postaram się przez niego posłać małą walizkę z drobiazgami. Oboje, i Ania, która nie widziała mnie prawie dziesięć dni, i Brodzki stwierdzili, że nadzwyczajnie wyglądam, zupełnie odświeżony i odmłodziły. Rzeczywiście od paru dni lepiej się czuję, z trawieniem prawie w porządku i rano nie jestem już tak śmiertelnie znużony. Bardzo jestem ciekawy, co jutro powie Dreyfus. Wszyscy bardzo mnie namawiają, żebym został tutaj dopóki nie skończę opowiadania. To w pewnym sensie słuszne. Co Ty myślisz?

---

<sup>59</sup> John Cassavetes, *Shadows*, 1959.

<sup>60</sup> Andrzejewski pewnie nie znał terminu „beatnicy”, ale to o nich chodzi.

<sup>61</sup> Nieukończony za życia film Siergieja Eisensteina *Niech żyje Meksyk!* (1932).

<sup>62</sup> Zapewne do „Kultury”. Iosif Brodski (1940–1996) – poeta rosyjski, później naturalizowany Amerykanin.

<sup>63</sup> Jan Kott (1914–2001) – tłumacz i eseista. Jego żoną była Lidia Joanna Steinhaus.

godz. 20.45

Już po kolacji, ale tak wściekle zimno w pokoju, że chyba się położę i będę jeszcze czytać. Cóż to jednak za świetny dziennik ten „Le Monde”! Czytając go naprawdę wie się, co się dzieje na świecie. Teraz zaczyna się seria artykułów o ekinach [?], bardzo interesujące. Żadnej poza tym napastliwości, jadu, chyba maksimum obiektywizmu w cytowaniu np. prasy z różnych krajów i bardzo odmiennej w oczach. Ponieważ „Le Monde” ma delit [?]<sup>64</sup> na Polskę – zaprenumerujemy na rok następny.

25. IX.

godz. 15.15 Paryż

Kilka tylko słów po wizycie u Dreyfusa. Był zachwycony mną, przybyło mi dwa kilo, powiedział, że taką poprawę rzadko się widuje i stwierdził, że jeśli prowadzić będę taki tryb życia – będę zupełnie zdrowy. Zapisał nowe lekarstwa na wątrobę. Jednak już trochę zmęczony i zemocjonowany własnymi postępami, wracam zaraz z Zygmuntem.

Całuję

J.

Do druku podał i opracował

Piotr Sobolczyk

---

<sup>64</sup> Czyn zabroniony.

## Komentarz edytorski

Posługuję się tytułem *Drugi dziennik paryski* na blok listów Jerzego Andrzejewskiego do żony Marii pisanych podczas jednego z kilku pobytów pisarza we Francji – przez analogię do bloku listów pisarza do żony słanych z pobytu stypendialnego w Paryżu (1959–1960) i decyzją pisarza przeznaczonych do publikacji pośmiertnej pod tytułem *Dziennik paryski*. Drugi blok listów z Francji jest równie obszerny jak pierwszy, a też odmienny tematycznie. Blisko półroczny pobyt (lipiec 1962–styczeń 1963) tym razem pisarz sfinansował sobie sam, jako że jego sytuacja pisarska, to jest przybywające przekłady na języki obce, zmieniała się od czasu poprzedniego pobytu, wówczas na stypendium. Latem pisarzowi towarzyszył syn Marcin, wówczas dwiętnastoletni, pisarz pokazał mu Paryż, a następnie wraz z Romanem Polańskim udali się samochodem na południe Francji, zatrzymując się na dłużej w Cagnes (kurort w bliskim sąsiedztwie Nicei). Po powrocie do Paryża Andrzejewski przez chwilę mieszkał – ponownie – w Hôtel de Suède w 7. dzielnicy, po czym zdecydował się przenieść do pensjonatu w Maison-Laffitte, gdzie bary i restauracje nie odciągały go od pisania oraz nie kusiły alkoholem – a był wówczas na (medycznym) detoksie – z kolei w pobliżu miał zaprzyjaźnione osoby z paryskiej „Kultury”. Podczas tego pobytu powstała większa część wybitnej powieści *Idzie skacząc po górach*, w ostatnim rzucie dokończonej w Oborach na początku 1963 i wydanej w tymże roku. Podstawą tej edycji jest blok listów Andrzejewskiego do żony, który znajdował się w posiadaniu córki, Agnieszki Andrzejewskiej (1946–2021). Jego kopia jest w posiadaniu Anny Synoradzkiej, której najserdeczniej dziękuję za udostępnienie mi jej do przepisania i opracowania. Moim założeniem było pozostawienie w transkrypcie stylu pisarza, ale i przybliżenie materialnej strony rękopisów, a więc niepoprawianie literówek, błędów ortograficznych, informacje o plamach i skreśleniach na papierze i tak dalej. Większość korespondencji została nadana jako listy lub kartki pocztowe pisane ręcznie z wyjątkiem kilku kart napisanych na maszynie. Prezentowany tu fragment stanowi mniej więcej połowę całego dziennika – ciąg dalszy nastąpi.

Piotr Sobolczyk

[illegible]

page 1425

[illegible]

15.6

[illegible]

you, 2412

52

Was werden wir für ein Thema von  
heute an?

1999 C. n. m. g. w. i. t. a

Expenditures

44 rue La Boétie

PARIS VIII

[illegible]

NO: wachst - na sam koniec, powtórzenie  
i przesłanie: wypadało się chwila. Mówię słowo  
„faktu”: przesłanie i pewne sam ewangelizacji

1

PIOTR SOBOLCZYK

## Andrzejewski: okradziony z dziennika?

Ani Synoradzkiej

Według legendy literackiej Jerzy Andrzejewski wyruszył w podróż do NRF i następnie Francji jesienią 1966 roku z rękopisem powstającej od około pięciu lat *Miazgi* – i rękopis ten w Stuttgarcie mu skradziono. Lektura tajnego dziennika<sup>1</sup> i listów pisarza do żony pozwala co najmniej osłabić moc tej legendy, a może nawet podać w wątpliwość prawdziwość tej historii. Pod datą 17 listopada 1966 roku zapisuje w dzienniku: „Odlot z Monachium 10.45. W Paryżu leje” – i dalej, jak dotarł do swojego lokum. Przez kolejne dwadzieścia siedem dni odnotowuje spotkania, śniadania z ludźmi, stacje metra, zmiany lokalu, film Polańskiego, spotkanie z Gallimardem (wydawcą), wizytę w Maison-Laffitte, gorączkę. Na samym końcu małego notesika z tego okresu znajduje się natomiast dłuższy i zaskakujący ustęp zaczynający się od słów „kiedyś szedłem, to było zaraz obok teatru Vieux Colom-bier” – tu fragment nieczytelny – i zapis przemówienia czy prelekcji (zwroty „proszę Państwa”) o tym, by modlić się za ciała, dowartościować ciała („Uzgodnijmy czy mamy rozmawiać o Polsce, czy o ciele, ciało, proszę mnie dobrze zrozumieć, nie musi potrzebować duszy. W Polsce to wszystko pokręcone. Ciało jest zawsze bardziej samotne od duszy [...]). Nie człowiek jest samotny, to błaga, nasze ciała są

<sup>1</sup> Będę się trzymał tego określenia, aby wpisać ów diariusz w szerszą grupę tekstów intymistycznych polskich modernistów queerowych (Iwaszkiewicza, Gombrowicza, Białoszewskiego, a także Mycielskiego, Czapskiego i innych). Określenie przechwytuję na całą tę klasę tekstów oczywiście od Białoszewskiego, choć mógłbym stosować równie dobrze określenie „dziennik prywatny” lub, jak to czyni, mając dobre powody Anna Synoradzka, „zapiski intymne”. Dokładny opis, z jakich „zapisków intymnych” składa się całość nazwana „dziennikiem”, zawiera szkic Anny Synoradzkiej, *Les écrits intimes de Jerzy Andrzejewski*, w: *Médiatrice des cultures. Mélanges offerts à Maria Delaperrière*, pod redakcją Kingi Siatkowskiej-Callebat, Aleksandry Wojdy, Charles’a Zaremby, Paris 2021. Serdecznie dziękuję Annie Synoradzkiej za udostępnienie mi przepisanego i opracowanego przez siebie tekstu tajnego dziennika jeszcze przed jego publikacją książkową – a także za wszystkie ważne rozmowy o Andrzejewskim.

samotne"). Nie, to nie jest szkic do prelekcji Andrzejewskiego. Anna Synoradzka ma absolutną rację w komentarzu, że jest to najpewniej pierwszy szkic prelekcji Adama Nagórskiego (jednej z głównych postaci *Miazgi*), najpewniej pisanej po alkoholu i w nocy. Dygresyjnie wtrąca, że ów intrygujący i może przewrotny zwrot ku ciału nawiązuje do pomysłu, jaki Andrzejewski odnotował w wagonie kolejowym 6 kwietnia 1961 roku: „Pomysł do osobistej »topografii«. Tylko opis ciała. Kto się może zdobyć na zupełnie szczerzy i dokładny opis własnego ciała?”. Wątek zostaje rozwinięty już po przyjeździe na miejsce, w Białej Podlaskiej. Ale tu urywam, jakkolwiek zagadnienie ciała w twórczości Andrzejewskiego, a w dziennikach w szczególności, jest niebagatelne<sup>2</sup>. O *Miazdze* wspomina natomiast kilkakrotnie w listach do żony – 29 listopada 1966 roku w liście z bistro mówi o niej dwukrotnie w różnych miejscach, najpierw o artykule Kisielewskiego („bardzo to było i dziwne i wzruszające czytać podobny tekst w bistro, w samo południe, więc dokoła tłum ludzi. Niepokoi mnie to przyjęcie »Miazgi« tak bardzo życzliwe, bo i literatura nasza trochę pustynią, więc brak porównań, gdy coś (?) zakwitnie, przede mną jeszcze cała ogromna góra niewiedzy, zwątpień i niepokoju”); i parę akapitów dalej: „Miły Boże, żebym z tą »Miazgą« wylądował wreszcie do końca, nie wiem już jakiego – byle się od tego uwolnić”<sup>3</sup>. Pisz 10 grudnia 1966 roku z pełnym entuzjazmem na widokówce z Paryża, że wymyślił zupełnie nowy koncept na *Miazgę* (idzie o pomysł na wesele, którego nie było, grę potencjalnością). Dopiero 13 grudnia zwierza się żonie, że ani razu nie zajrzał do ocalałych papierów z *dossier Miazgi*, aby zobaczyć, co właściwie utracił: „Narazie [sic] wciąż się boję dokładnie zajrzeć do brulionu »Miazgi«, aby wiedzieć, co mam, a co straciłem”. Wcześniej jednak (26 listopada) twierdził, że wie, co utracił – fragment jednej sceny: „Brakujące części z I części mam w fińskim brulionie. Przepadły fragmenty II części, m.in. [sic] nocna scena bólu zęba Konrada Kellera. Poza tym różne notatki, oczywiście pojęcia nie mam, co w nich było, bo po to są notatki, żeby ich nie pamiętać”. Stawiam pytanie:

<sup>2</sup> A w większym jeszcze stopniu spełnione w listach do żony Marii. Na przykład w takim z dość ironiczną, a jednak chyba traktowaną zarazem serio przez Andrzejewskiego formułą *gnothi seauton*: „Dzisiaj byłem u Sankowskiego. Okazuje się, że moja przemiana materii jest dobra. Jutro o 8-iej rano mam być na badaniu treści żołądka, a w poniedziałek na prześwietlaniu brzucha. Okropność, takie wczesne wstawanie. W każdym razie w połowie przyszłego tygodnia powinienem już o sobie wiedzieć coś konkretnego”. List z 2 marca 1951 roku.

<sup>3</sup> Listy Jerzego Andrzejewskiego do żony Marii znajdowały się w posiadaniu Agnieszki Andrzejewskiej. Ich jedyną kopię udostępniła mi Anna Synoradzka, której serdecznie dziękuję. Przepisałem w Paryżu cały blok tej korespondencji.

czy gdyby faktycznie Andrzejewski zgubił brulion *Miazgi* lub zostałby on mu ukradziony, nie zatrąbiłby o tym ani razu w dziennikach? Czy nie żaliłby się w listach do żony? Te wszak wskazują na entuzjazm dalszych prac, ewentualnie na utratę jednej sceny... Czy znieenacka, pod wpływem jakiegoś (nagłego, paryskiego) impulsu, zaczęłby szkicować *in medias res* fragment tej powieści, wszakże niepoczątkowy? Czy tak zachowuje się, pisze człowiek, który miał właśnie utracić bezcenny rękopis...? Uznaję za bardzo prawdopodobne, że Andrzejewski stworzył legendę – ktoś mniej życzliwy powiedziałby: mistyfikację utraconego rękopisu<sup>4</sup>; ale też zagubiony rękopis (własny) jest co najmniej tak powszechnym chwytem literackim jak (cudownie) odnaleziony rękopis (zwykle wszak cudzy). Zastanówmy się więc, co pisarz miałby utracić? Przecież nie fragment opublikowany ledwo co w „Twórczości”. Nie stracił dziennika *Miazgi* z 1966 roku, w którym zapisał tylko karty po prawej stronie, bo w 1969 roku w tym samym brulionie robił zapiski na lewych kartach<sup>5</sup>. Nie stracił brulionów z okresu tworzenia *Idzie skacząc po górach* w Oborach, bo sam to przyznaje w powieściowym dzienniku pod datą 14 marca (i znajdują się one w Muzeum Literatury). Dalej w tym samym zapisie podaje, że dysponuje rękopisem pisanym od końca 1965 roku. Jest w posiadaniu jakiejś kopii pierwszej części w notesie „fińskim”. Nie musi to oznaczać, że nie doszło do kradzieży – choć to by się wpisywało w filozofię *Miazgi* – bo może nawet coś pisarz i stracił oprócz szczoteczki do zębów, jakieś dwie strony notatek, powiedzmy; a może, kto wie, sam owe kilka kartek gdzieś zgubił, na przykład w hotelu. Po co stworzyłby więc taką legendę? Raz dla gry filozoficznej i literackiej, ale dwa, wziąłbym serio zapis z listu do Marii Andrzejewskiej, że niepokoi go tak dobre przyjęcie *Miazgi* w „Twórczości”. Być może bowiem wówczas już chciał napisać rzecz na nowo bądź gruntownie przerobić wersję dopiero co ogłoszoną.

Chcę zaproponować następującą ogólną tezę dotyczącą całokształtu diarystyki Andrzejewskiego, uwzględniającą tajny dziennik, a tłumaczącą w jakiejś mierze dzienniki oficjalnie opublikowane, uchodzące, w gruncie rzeczy słusznie, za nie dość wybitne (na tle diarystyki modernistycznej, w tym i queerowej)<sup>6</sup>. Uważam,

<sup>4</sup> Już i wcześniej pojawiały się takie głosy: Anna Synoradzka, *Wstęp*, w: Jerzy Andrzejewski, *Miazga*, opracowała Anna Synoradzka, Wrocław 2002.

<sup>5</sup> Tamże.

<sup>6</sup> Więcej w moim tekście: *Sexual Fingerprint: Queer Diaries and Autobiography*, w: *Writing the Self. Essays on Autobiography and Autofiction*, edited by Kerstin W. Shands, Giulia Grillo Mikrut, Dipt R. Pattanaik, Karen Ferreira-Meyers, Södertörn 2015 (przedrukowany w mojej książce *Polish Queer Modernism*, Frankfurt am Mein 2015).

że Andrzejewski mógł mieć – i miał do tego prawo – poczucie, że został niejako „okradziony z dziennika”. Metaforycznie czy symbolicznie, oczywiście. Sprawa dotyczy bowiem także domniemanego „kompleksu Gombrowicza” Andrzejewskiego, z którym chciałby konkurować na dzienniki swoimi *Z dnia na dzień* i *Grą z cieniem* i miałby polec. Lektura tajnego dziennika pozwala skonstruować historię alternatywną: co by było, gdyby... Gdyby Andrzejewski wcześniej zaczął pisać dzienniki? Nie, gdyby wcześniej mógł je publikować. Dziś natomiast możemy dyskutować o dwóch zupełnie różnych wizjach diarystyki, pisarstwa i filozofii życia w ogóle.

Już bowiem krótko po wojnie – „zaraz po wojnie” – w twórczości Andrzejewskiego następuje silna orientacja diariotwórcza. Z chęcią pożyczę tu znakomity koncept Adama Poprawy: „diariotropizm”. Opisał go Poprawa u Białoszewskiego jako stałe wychylenie (bądź: ciążenie) ku dziennikopisanu, „sugestię dziennikowej intensywności, dominantę diarystyczną”<sup>7</sup>. Przy czym Andrzejewski wystąpił z pomysłem oryginalnym bardzo wcześnie, bo już jesienią 1946 roku, podczas pracy nad *Popiołem i diamentem*, jakkolwiek w pełni zrealizował go w *Miazdze*: szło o połączenie i niekiedy przemieszanie utworu artystycznego (prozy fikcyjnej) z dziennikiem jego powstawania bądź z okresu jego powstawania, a rozróżnienie to oznacza, że dziennik taki mógł zawierać komentarze na temat *work in progress*, ale nie musiał. Na dobrą sprawę próbkę tegoż widzieliśmy wyżej w partiach tajnego dziennika z 1966 roku, w który nagle „wtargnął” kawałek (szkic do?) *Miazgi*; mniejsza w tej chwili o to, że zapewne ruszony nagłym (nocnym i zalkoholizowanym najpewniej) natchnieniem pisarz nie szukał w walizce czy kuferku czystej karty papieru, ani też nie pisał na zabranym-i-nieskradzionym rękopisie *Miazgi* – tylko Chapman to, co miał pod ręką, a więc kalendarzyk-dziennik.

Oczywiście trzeba dopowiedzieć zaraz, odpowiedzieć na wątpliwość: pomysł Andrzejewskiego nie był taki znów oryginalny, przecież to *de facto* pomysł pożyczony od André Gide’a i jego dylogii *Fałszerze – Dziennik „Fałszerzy”*<sup>8</sup>. (A dalej:

---

<sup>7</sup> Adam Poprawa, *Dziemiętnik. Relacje międzygatunkowe w „Tajnym Dzienniku” oraz brulionach „Pamiętnika z powstania warszawskiego”*, w: „MiroFor”, tom II, pod redakcją Macieja Byliniaka, Agnieszki Karpowicz, Piotra Sobolczyka, Gdańsk 2021.

<sup>8</sup> Anna Synoradzka (w cytowanym wstępie) zwróciła uwagę, że i w polskiej literaturze wcześniej powstało dzieło oparte na takim pomysle – Ferdynanda Goetla *Z dnia na dzień* (1925), gdzie jednak dziennik jest także fikcyjny. Jak powiedział Synoradzkiej Antoni Libera, namówił Andrzejewskiego do przeczytania tego tekstu w 1969, a więc tuż przed opracowaniem ostatecznego kształtu *Miazgi*. Tyle że jeśli przyjmujemy, że Andrzejewski dowiedział się o Goetlu w 1969 roku, to nie unieważnia to oryginalności jego pomysłu z 1947 roku ani też z czasów pisanej w 1967 roku *Apelacji*.

Tomasza Manna esej *Jak powstał Doktor Faustus*, ale to znów 1949 rok, więc już po pomysłę dziennika *Popiołu i diamentu*). Po pierwsze jednak można by rozbrajać ów argument tak, że Gide miał wpływ na większość polskich diarystów<sup>9</sup>, szczególnie queerowych (i, dalej, nie wszyscy wyciągnęli z jego koncepcji takie same wnioski jak Andrzejewski). Po drugie, pomysł Andrzejewskiego, który znamy z *Miazgi* – a który zarysował się, jak za chwilę pokażę, dużo wcześniej – idzie radykalnie dalej niż pomysł Gide’a. U tego bowiem mamy wyraźnie rozdzielone Dzieło – i dziennik jego powstawania, będący komentarzem, czymś wtórnym wobec Dzieła, uzupełnieniem, suplementem. Pomysł Andrzejewskiego zakładał przeplot i równoważność obu tych elementów, dając autentyczne *work in progress* i otwierające na dziesiątki „historii alternatywnych” na podstawie zawahań i odrzuconych wariantów. W jakiejś mierze dziennik *Fałszerzy* był wyrazem narcyzmu, miał mówić „patrzcie, jak powstało moje wielkie Dzieło, z pewnością chętnie o tym przeczytacie, bo Dzieło was olśniło”. No więc taka motywacja jest bardzo istotna przy czytaniu strategii diarystycznej Gombrowicza<sup>10</sup>, o czym dalej, tylko natomiast do pewnego stopnia i jednak ma inne zastosowanie u Andrzejewskiego. Ale i po trzecie wreszcie, co do Gide’a, nie ma żadnych śladów, że Andrzejewski dziennik *Fałszerzy* znał. To oczywiście niezbyt mocny argument i raczej należy zakładać, że znał, przypuśćmy choćby z opowieści – Iwaszkiewicza. Tajny dziennik pokazuje natomiast, że owszem, czytał zasadniczy *Dziennik* Gide’a. Jeśli kierować się tylko zapisami dziennikowymi (to znaczy, że gdy czytał – robił notatkę, tym samym jak nie ma notatek, to nie czytał), trzeba uznać, że czytał nieregularnie i skokowo, na wrywyki. I tak: 28 sierpnia 1958 roku, wśród uwag o szukaniu właściwego połączenia ironicznego dystansu i „lirycznego patosu” dla *Bram raju*, a także donosu na ból brzucha, gardła i stawów (imperatyw: opisz swoje ciało!), dodaje, że długo wieczorem czytał interesujący nas tekst Gide’a. (Nie sądzę wszakże, by u Gide’a odnalazł podpowiedź bądź wdrożenie w rytm takiego tonu, jakiego szukał). Wraca do niego kilka dni później, 14 września, czyta kilka stron do snu, znużony pracą nad sceną spotkania Ludwika z Jakubem, gdy nadchodzi Aleksy. Wymowne. Kluczowa być może scena powieści – w planie osobistym Andrzejewskiego na pewno, jego pierwsza tak ważna, może w ogóle *Ur-szene* homoseksualna, zresztą zawierająca rozliczne przetworzone od-

<sup>9</sup> Ten aspekt dzienników – i rolę Gide’a – opisuje Paweł Rodak, *Między zapisem a literaturą. Dziennik polskiego pisarza w XX wieku*, Warszawa 2011.

<sup>10</sup> Paweł Rodak, dzieło cytowane.

niesienia do własnej biografii – i lektura Gide’a, tak jakby chciał znaleźć tam coś dodatkowego. Komentarz? Podbudowę intelektualną? Potwierdzenie?... Dowcip polega na tym, że teoretycznie taki komentarz prędzej znalazłby w *Korydonie*. 15 lutego 1961 roku nie działo się nic wielkiego, ot, zaćmienie słońca występujące raz na pięćdziesiąt lat; i „w ciągu dnia, różne fragmenty z *Dziennika* Gide’a”. Ale już wtedy myśli o Adamie Nagórskim (resp. *Miazdze*), wkrótce zacznie układać kalendarz jego życia i twórczości. Dalsze dwie notatki mają już ścisły związek z *Miazgą*. Czyta *Journal* – tak w notatce! – Gide’a 8 marca 1970 roku i pod tą datą nie ma żadnego innego zapisu; ale obszerniejsza wersja zapisu diarystycznego z tego dnia, w tym o Gidzie, trafiła do powieściowego Dziennika (pod datą 8 marca 1970 roku). 9 marca 1970 roku, według datowania w tajnym dzienniku<sup>11</sup>, zaczyna pisać... dziennik *Miazgi*, zwany dalej *Dziennikiem*: „Zabrałem się do pracy, to znaczy do własnego »Dziennika«. To nim wejdę w tekst »Miazgi« i przy pomocy niego skończę książkę”. Ostatni zapis z 10 marca 1970 roku także wymowny: „Zastanawianie się i lektura Gide’a”. Anna Synoradzka w komentarzach do tajnego dziennika stawia w tym miejscu pytanie, czy zaczął pisać swój *Dziennik* (*Miazgi*) pod wpływem Gide’a. To możliwe. Ale może być i tak, że mając już pomysł na włączenie dziennika do powieści – nie pierwszy taki w swojej twórczości, jak wnet pokażę – postanowił podczytać Gide’a, sprawdzić, na ile forma diarystyczna może dźwignąć jego pomysł, bądź wejść w rytm diarystyczny, nastrugać ołówkę swojego diariotropizmu. (Tak jak gdy chcesz napisać wiersz stylizowany na barok, sięgasz po tomik Morsztyna, aby wejść w styl, rytm). W ogóle bowiem wydaje się z tego przeglądu lektur, że Andrzejewski zna nieźle całość dziennika Gide’a i szuka w nim określonych miejsc, gdy tego potrzebuje. Koniec pisania *Miazgi* odnotowuje 12 lipca 1970 roku; ale dopiero 19 września tego roku skończył *Dziennik* (ta data zgadza się z podaną w opublikowanej *Miazdze*, zresztą, wiadomo, dla Andrzejewskiego liczba 19 miała wartość magiczną). Tajny dziennik jest więc dodatkowym „meta-dziennikiem” *Dziennika* „*Miazgi*”.

13 czerwca 1946 roku Andrzejewski zaczyna prowadzić dziennik *Popiołu i diamentu*, zwanego wówczas *Zaraz po wojnie* i drukowanego pod tym tytułem w 1947 roku w „Odrodzeniu” od mniej więcej połowy stycznia (numery 3–22) w cyklu co-

<sup>11</sup> Problem z datowaniem. Dziennik w powieści zaczyna się bowiem 7 marca 1970 roku. Pomyłka Andrzejewskiego – albo gra (czyli dziennik powieściowy dopisywany, „robiony” *post factum*, nie na bieżąco).

tygodniowym. Być może w związku z zainteresowaniem, jakie ta powieść wzbudziła, bądź po prostu w poszukiwaniu interesujących materiałów, Iwaszkiewicz namawiał Andrzejewskiego do napisania czegoś do „Nowin” („jakiegoś twojego utworu czy artykułu – może jeszcze coś o Czechosłowacji? Bardzo mi zależy na twojej współpracy w »Nowinach« i myślę, że mi jej nie odmówisz, choć wiem, jak teraz jesteś zajęty przez pisanie i drukowanie tej twojej powieści, której początek bardzo mnie zainteresował”<sup>12</sup>). Andrzejewski występuje wówczas z pomysłem drukowania ogólnych uwag o sztuce powieściowej, notatek pisarza, albo dziennika, które chciałby docelowo wydać w osobnym tomie: „Mam zresztą tę rzecz od dość dawna w głowie, trzeba tylko napisać. Byłby to szereg notatek czy uwag o tzw. sztuce powieściowej i także nieco osobistej wypowiedzi o tym gatunku w obecnej chwili [...]. Bardziej mi ta forma odpowiada niż artykuły. Chcę zresztą jeszcze w tym roku taki tom notatek wydać. Notatki pisarza, Z dziennika pisarza, czy po prostu Dziennik – o, coś takiego”<sup>13</sup>. Iwaszkiewicz na pomysł się ucieszył, ale, jak się zdaje, nic ostatecznie nie dostał, bo próbował ośmielać Andrzejewskiego, podkreślając i oryginalność tego pomysłu „u nas”, i ważkiego antenata (Gide’a, ale i Juliana Greena): „Kiedy mi przysłesz? Niedawno mi właśnie ktoś zadawał pytanie, dlaczego pisarze u nas nie piszą dzienników jak »Journal« Gide’a albo Julien Green. Twoja propozycja takiego dziennika bardzo mi się podoba. Błagam Cię, przyslij mi jak najprędzej”<sup>14</sup>. Innymi słowy Andrzejewski chciał prowadzić dwutorową grę z czytelnikami, publikując w dwóch różnych pismach fragmenty budzącej żywe zainteresowanie powieści – i dziennik jej powstawania, co w pewnym sensie można zresztą uznać za dobry pomysł „marketingowy” (interesuje cię powieść, nie możesz się doczekać, co będzie dalej – może dostaniesz odpowiedź w notatkach, dzienniku?). Pomysł pozostał tylko potencjalny, bo Andrzejewski nic ostatecznie Iwaszkiewiczowi nie wysłał<sup>15</sup>. Uściślijmy: jest to pierwszy chronologicznie pomysł na przeplot fikcji (powieści) z dziennikiem, a kolejne to: dziennik *Miazgi*, dziennik

<sup>12</sup> List z 4 lutego 1947 roku. Jerzy Andrzejewski, Jarosław Iwaszkiewicz, *Listy*, opracowanie Andrzej Fietta, Warszawa 1991.

<sup>13</sup> List z 10 lutego 1947 roku. Tamże.

<sup>14</sup> List z 17 marca 1947 roku. Tamże.

<sup>15</sup> Tak wynika z *Polskiej bibliografii literackiej* za rok 1947 (wyd. Wrocław 1956). W tym roku natomiast Andrzejewski objął stałą rubrykę *Kartki z dziennika lektury*, ale w „Odrodzeniu” i był to po prostu cykl recenzji krytycznoliterackich. Idea, żeby występowały pod nadrzędną kategorią „dziennika”, wydaje się jednak znacząca: dowodzi, że ciągle myślał o dziennikach, potwierdza jego diariotropizm. W 1946 roku ukazał się natomiast w „Echu Krakowa” (nr 43) artykuł *Nowe powieści Andrzejewskiego*, w którym autor opowiada o procesie pisania powieści (chodzi o *Natchnienie świata*, co ciekawe).

*Apelacji*, dziennikowe wtręty w *Notatkach do autobiografii*, a wreszcie włączone w oficjalny dziennik (pierwotnie prasowy jako stały cykl) *Z dnia na dzień* fragmenty powieści – jak się zdaje, pisanej wyłącznie „dla/do dziennika”, nigdy nieplanowanej jako osobny byt książkowy – *Sto lat temu i teraz*<sup>16</sup>. Dodatkowo tajny dziennik zawiera sporo uwag o powstawaniu *Bram raju*, więc pisarz miał gotowy materiał, gdyby chciał przygotować hiperawangardowe wydanie tej genialnej powieści (szczególnie interesujące byłoby wtrącenie kawałków dziennikowych w środek tej gigantycznej syntaksy)<sup>17</sup>. W pierwszym z tych dzienników mało jest jeszcze literackiej przewrotności, swoistej gry z czytelnikiem. Gry z czytelnikiem nie należy tu jednak rozumieć jako fingowania dziennika, to znaczy pisania nieprawdy, aby atrakcyjniej „podbiła” powieść, fikcję – fikcją. Idzie raczej o to, co z całokształtu zdarzeń i myśli dotyczących powieści, nad którą się pracuje, zapisać, wybrać – tak aby to tworzyło szczególne sprzężenie, synergię z samym tekstem fikcyjnym. Przez dwie dekady między *Popiołem i diamentem* a *Miazgą*, przy stałym praktykowaniu dziennikopisarstwa, Andrzejewski po prostu się „rozcwiczył”, doskonale takie punkty przecięć wyczuwał. Notatki przygotowane dla czytelnika *Popiołu*... mają charakter ciekawostek (co tylko potwierdzałoby motywację także marketingową), na przykład informacja, że nazwiska bohaterów wypisał sobie ze spisu szlachty polskiej z połowy XIX wieku (16 września 1946 roku). Oczywiście może i jest w tym informacja polityczna (lecz czy zakodowana?) o pochodzeniu głównych bohaterów – nieproletariackim. Zasadniczy wątek ewolucji fabuły nie jest obszernie skomentowany, choć dla badaczy ciekawy (czy dla ówczesnych czytelników

<sup>16</sup> Więcej w tekście Erazma Kuźmy, *Funkcja dziennika w prozie Jerzego Andrzejewskiego*, w: *Między konstrukcją a destrukcją. Szkice z teorii i historii literatury*, Szczecin 1994.

<sup>17</sup> Czemuż jednak nie mielibyśmy sami zagrać w takie klasy? Wyrwyki z tej nieskradzonej niestworzonej edycji: „Na czas powszechnej spowiedzi zaprzestano wszelkich pieśni, z pisaniem gorzej, trochę początku i sporo dialogów z różnych miejsc, miał się właśnie ku końcowi trzeci dzień powszechnej spowiedzi i wciąż szli ogromnymi lasami kraju Vendôme, szli bez pieśni i bez dzwonienia w dzwonki, prawie całą historię o dziecięcej wyprawie mam obmyślaną, w ciasno stłoczonej gromadzie, tylko monotonny szelest paru tysięcy nóg było słychać [...], myślał Robert: za parę godzin będzie ciemno, to, co napisałem, wydaje mi się okropne, noc będzie chłodna i ziemię pokryje rosa, jeżeli przed nastaniem ciemności nie dojdziemy do żadnej wsi, będziemy nocować w puszczy, pod gołym niebem, noc będzie chłodna i Maud będzie drżała z zimna, gdyby mnie kochała, ciepłem własnego ciała chroniłbym ją przed chłodem, mogłaby w moich ramionach bezpiecznie spać, miłością nawet głód można uciszyć, utknąłem na scenie pomiędzy Maud i Robertem i nie umiem ruszyć dalej, myślała Maud: jękanie się mańkuta [...], powiedział spowiednik: wydaje mi się, moje dziecko, że i teraz dalszy ciąg jękania się mańkuta [...], myślę nie o niej, lecz o Jakubie, wiedząc również, że i ona, poddana ulegle rozkoszy, myśli nie o mnie, ale o Jakubie, Boże – pomyślał – jutro chciałbym zacząć scenę pomiędzy Jakubem i hrabią Ludwikiem, najtrudniejszy właśnie początek, którego nigdy nie było i nie ma, wielki Boże, który istniejesz tylko przez nasze nieszczęścia, rezultat dość ubogi: jedna stroniczka maszynopisu”. Copyleft for this mashup by DJ Piotr.

także?) – główną postacią miał być Kossecki, szlachetny adwokat, który załamał się w obozie koncentracyjnym; niespodzianie dla pisarza rozrasta mu się jednak wątek Szczuki; jednak kiedy do rangi głównej postaci urósł Maciek (pierwotnie: Stanisław) Chełmicki, nie wiemy. Wreszcie mamy w tym dzienniku trzeci zasadniczy wątek, obecny później we wszystkich dziennikach powieści – i dziennikach oraz listach w ogóle: „Zmęczenie i ciągle dręczące poczucie, że to nie to, zupełnie nie to. Prawdziwy kształt artystyczny przechodzi obok, może tylko na wyciągnięcie ręki, ale obok” (zapis z 5 marca 1947 roku). Na wypadek gdyby ktoś potrzebował dowodu na „prawdziwość” (w przeciwieństwie do „zrobienia”) tego dziennika – jest nią w mojej ocenie właśnie wskazana skromność tych notatek. Sam pomysł był lepszy niż jego ówczesne wykonanie<sup>18</sup>. Ale też Andrzejewski zapiski diaryistyczne, swój diariotropizm rozpoczął ledwo trzy lata wcześniej (w 1943 roku). Być może jednak Andrzejewski mógłby, gdyby pomysł deklarowany Iwaszkiewiczowi doszedł do skutku, wyzyskać, jak to później czynił parokrotnie, swoje listy do żony Marii, w których także relacjonował swój proces twórczy w zasadzie identycznie jak w dzienniku<sup>19</sup>. Nie wchodzę w szczegóły dziennika *Apelacji*, ale dość rzec, że Andrzejewski zdradza tam szczegóły perwersyjne, mianowicie omawia sytuację psychiczną pacjenta (Malinowskiego), pierwowzoru głównego bohatera powieści, z jego lekarką, ta też daje mu wgląd w jego dokumentację medyczną...<sup>20</sup>

„Pełny” dziennik *Popiołu i diamentu* ma dwie postaci. Ukazał się bowiem w jednym ze wznowień *Popiołu i diamentu* jako kilkunastostronicowy wstęp pod tytułem

<sup>18</sup> Jest w tym dzienniku jeszcze osobny wątek niejako „szkatułkowy”, gdzie dziennik przeplata się z pomysłem na opowiadanie – nigdy niezrealizowane zresztą. Oto 22 czerwca 1947 Jerzy i Maria jadą do dzieci do Dobrej i Andrzejewski wpada na pomysł opowiadania, którego bohaterka Celina byłaby inspirowana znaną im postacią p. Marii. Odtąd w zapiskach do 15 sierpnia notuje naprzemiennie diaryistyczną codzienność i dalsze pomysły do opowiadania (ale go nie pisze), niekiedy płynnie przechodząc od jednego do drugiego – tak że dopiero po chwili się orientujemy, że jesteśmy już w domenie fikcji, a właściwie fantazji o niej. Na przykład: „Panna Celina idzie z kijkiem, u którego końca przywiązana jest pokrzywa. Dla żartu uderza nią przechodzącego Antka. U naszej gospodyni na oknie, w blaszance po skumbriach, przykrytej słoikiem, zieleniej dwie malutkie gałązki mirtu, zasadzone w dniu, w którym najmłodszy syn przystępował do pierwszej komunii”. Zapis z 23 czerwca 1947. Ostatnie zdanie odnosi się już do faktycznej gospodyni Andrzejewskich, to jest diaryistyczne. Dalsze pomysły do opowiadania zawierały zresztą ciekawe pomysły homoerotyczne, Celina miała się przebrać za faceta na wiejską zabawę, półnadszy chłopcy mieli pławić konie w rzece (to erotyczna „scena pierwotna” Iwaszkiewicza – i może w całości miał to być pastisz prozy tego pisarza).

<sup>19</sup> Warto zwrócić uwagę na przykład na list z 10 lutego 1947 roku: „Mam już w każdym razie w tej chwili kilkanaście nowych stron, choć jeszcze nie koniec rozzdziału. Jutro go skończę. Straszne się tam dzieją rzeczy: Alek i jego koledzy. Piątka. Mam nadzieję że w tym tygodniu zrobię sobie pewien zapas”.

<sup>20</sup> Ale za jego zgodą, o czym świadczy list Malinowskiego do Andrzejewskiego (pisze o tym Synoradzka w *Les écrits intimes*, dzieło cytowane).

*Dziennik* – mianowicie w wydaniu czternastym z 1966 roku, Czytelnikowym (w tym samym roku powieść wydał także PIW, wydawca większości wznowień – bez dziennika)<sup>21</sup>. Jednak istnieją jeszcze inne zapiski w tajnym dzienniku z tego okresu (maszynopis w Muzeum Literatury). Łatwo odpowiedzieć na pytanie, skąd w 1966 roku przyszedł Andrzejewskiemu pomysł, by dodać dziennik do powieści. Pracuje już wtedy wszak nad *Miazgą*. Tam zaś, oczywiście, planuje i w końcu dodaje dziennik powstawania powieści. „Dodiaryzowany” *Popiół i diament* zapowiada więc *Miazgę*, a może otrzymuje ten dziennik trochę „zamiast” albo „na próbę”, skoro bieżąca powieść jest niegotowa i minie jeszcze trochę czasu nim trafi w swej awangardowej formie do czytelnika. Miało go zaś minąć więcej oczywiście, niż Andrzejewski sobie mógł w 1966, jak też w 1970 roku, po ukończeniu, wyobrażać; notabene podobna motywacja obowiązuje zapewne w wypadku dziennika *Apelacji* z 1967 roku (dodany do wydania powieści dopiero w 1983 roku<sup>22</sup>; w Muzeum Literatury – tym samym i w całości tajnego dziennika – znajduje się także fragment dodatkowy, oficjalnie niepublikowany). Ale i tworzy to dla pisarza pewną klamrę. Co prawda *Miazga* nie jest w sensie prostym odpowiedzią czy nawiązaniem do *Popiołu i diamentu*. W logice wewnętrznej historii pisarza sprawa ma się wszakże tak: tuż po wojnie planował pisać wielką panoramę polskich losów i postaw od dwudziestolecia międzywojennego do powojnia<sup>23</sup>. Odnotowuje to 15 września 1946 roku w... dzienniku *Popiół i diamentu*: „rozmyślałem o dużej powieści epickiej, dwudziestolecie aż po koniec ostatniej wojny, być może potrafiłbym powołać do życia parę setek ludzi i zawiązać pomiędzy nimi konflikty ale wiem: to nie mój lot, żałośnie uboga znajomość realiów, [...] pamięć kury”. Powieść ta miała się nazywać *Natchnienie świata* – i zresztą pisarz podjął nad nią prace po ukończeniu *Popiołu i diamentu*, rzecz w tym, że tę powieść napisał właśnie niejako „zamiast”, bez wielkiej epickiej panoramy, koncentrując się na tym, co – jak diagnozuje w tej samej notatce dziennikowej – akurat mu wychodzi: „umiem dużo powiedzieć o przeżyciach ludzi, mniej o świecie, w którym istnieją”. To ironiczne, ale dziennik *Popiołu i diamentu* jest dziennikiem porażki projektu *Natchnie-*

<sup>21</sup> Wcześniej jeszcze w 1961 roku Andrzejewski ogłosił fragmenty w „Nowej Kulturze” (nr 14–15).

<sup>22</sup> W liście do Jerzego Giedroycia z 29 września 1981 roku Andrzejewski informował go o polskiej edycji *Apelacji* – i dodanym dzienniku: „chcę Pana zawiadomić, że »Apelacja«, która Panu zawdzięcza swoje pierwsze książkowe wydanie, ukaże się w listopadowym numerze »Twórczości«, a w roku następnym w Czytelniku, zresztą z dołączeniem Dziennika szpitalnego, który w trakcie pisania tej całej opowieści systematycznie prowadziłem”. Archiwum Instytutu Literackiego Kultura,teczka „Listy Jerzego Andrzejewskiego do Redakcji” (teka 6).

<sup>23</sup> O tej genezie *Miazgi* pisze też Synoradzka we *Wstępie*, tamże.

nie świata – i zarazem przedstawia powstającą właśnie powieść *Popiół i diament* jako porażkę względem *Natchnienia świata*, „opcję B”, łatwiejszą, bezpieczniejszą. Tytuł *Natchnienie świata* wydaje się więcej niż pretensjonalny, ale to cytat ze słów Churchill'a o Polsce. I miał być u Andrzejewskiego ironiczny. Skracając: *Miazga* oczywiście jest tą powieścią z kilku... no, kilkudziesięcioma bohaterami, wielką panoramą i historią „polskiego losu” – tylko przeniesioną o jakieś dwadzieścia lat dalej, czyli nie od dwudziestolecia, a od powojnia. Jej bohater, Adam Nagórski, napisał swoje główne dzieło pod tytułem, a jakże, *Natchnienie świata* (które w tej alternatywnej biografii samego Andrzejewskiego robi za odpowiednik *Popiołu i diamentu*, a w istocie, jak wiemy, miało być „preMiazgą”...). Ale polski los jest już wtedy w wyobraźni Andrzejewskiego nie „natchnieniem świata”, nawet ironicznie czytany – a pulpą, miazgą, jakimiś wytłoczynami po wyciśniętych owocach i warzywach. Tym samym *Miazga* jest „porażką” także *Natchnienia świata*.

Trzeba tu jednak doprecyzować, że „porażka” u Andrzejewskiego ma charakter ambiwalentny, a w każdym razie nie jest całkowicie negatywna<sup>24</sup>. W istocie wiąże się to z charakterem wielu notatek z dzienników powieści, w których pisarz, tworząc dalej kolejne dzieła, cały czas ma poczucie klęski, niemożności. Ten wątek jest stale obecny w dziennikach Andrzejewskiego, tych oficjalnych i nie, w listach i szkicach. Wróćmy do notatki z 15 września 1946 roku, z okresu pracy nad *Popiołem i diamentem*: „Jestem roztargniony, nieuważny, nie potrafię zapamiętywać szczegółów, ludzkich twarzy, charakterystycznych ruchów i akcentów głosu”. Ktoś mniej życzliwy może powiedzieć, że to minoderia Andrzejewskiego, wyraz jego narcyzmu (zachwyt sobą, kokieteria, „ach, jak mi nie idzie, patrzcie” – a potem wydaję dobrą książkę). Ja bym tę postawę nazwał jednakże masochizmem narcystycznym<sup>25</sup> – podniesionym zresztą do rangi filozoficznej<sup>26</sup>. Wierzę Andrzejewskiemu w jego zwątpienia po drodze. Myślę, że chciał od czytelników czegoś, na co niektórzy przynajmniej mogli nie być gotowi: część ludzi nie chciała, jak sądzę,

<sup>24</sup> Wcześniej już poruszałem tę kwestię w tekście *Alfa, ale nie macho, Romeo, choć nienormatywny, Alfa bez ketmanu*, „Kwartalnik Artystyczny” 2020, nr 2.

<sup>25</sup> O zagadnieniu masochizmu Andrzejewskiego wspominała Anna Synoradzka (w biografii *Jerzy Andrzejewski. Przyczynek do biografii prywatnej*, Warszawa 2017), Wojciech Śmieja (w książce *Homoseksualność i polska nowoczesność*, Katowice 2015) i ja (w książce *Queerowe subwersje*, Warszawa 2015, a także w szkicu *Nowa fala biografistyki*, „Kwartalnik Artystyczny” 2018, nr 2 – w części poświęconej Andrzejewskiemu i biografii Synoradzkiej).

<sup>26</sup> Gilles Deleuze, *Coldness and Cruelty*, w: *Masochism. Gilles Deleuze „Coldness and Cruelty” and Leopold von Sacher Masoch „Venus in Furs”*, New York 1991.

„wiedzieć jak robi się kielbasę”, nawiązując do znanego przysłowia. Dzienniki powieści – wymyślone już w 1946 roku – miały dokumentować różne rzeczy, nie tylko związane z powieścią (stany ciała, pogoda, lektury), co jest częścią tego filozoficznego pomysłu, ale w zakresie uwag na temat procesu twórczego – stałe zmaganie się z porażką. Na czym polega podniesienie tej zasady do rangi „filozoficznej”? Andrzejewski odczuwa kryzys modernistycznej formuły wielkiego Dzieła. Zamkniętego. Czuje, że przeczy temu jego własne doświadczenie pisarskie – a także może innych piszących – polegające na stałym odrzucaniu historii alternatywnych pojawiających się na każdym skrzyżowaniu fabuły i narracji. W pewnym sensie decyduje o tym (którędy pójdzie fabuła) on, ale w pewnym jednak – to chce nam powiedzieć i przy użyciu dziennika zademonstrować – przypadek<sup>27</sup>. Te dwie kategorie uchodzą za wykluczające się, ale sądzę, że Andrzejewski postrzegał produkt – utwór – Dzieło – jako serię przypadków, które przez odrzucenie wielości alternatyw, „ukonieczniały się”. Konsekwencją tego jest jego filozofia twórcy nie jako „boga”, posiadającego totalną kontrolę nad materiałem, demiurga, szachisty – sadysty, mastera – ani też perfekcjonisty czy prymusa, ale człowieka, który świadomie rezygnuje z części swojej kontroli<sup>28</sup>. Tak właśnie postępuje masochista. Koncepcja Andrzejewskiego była zatem bardzo nowoczesna – i w pewnym sensie, jak sugerowałem, szersza publika nie była na nią gotowa, preferując po pierwsze Dzieło jako byt zamknięty i „gotowy”, nie zaś procesualny, po drugie, artystę (twórcę) postrzeganego jako perfekcyjny zarządca materiału. Wreszcie otwarte musi pozostać pytanie o diarystyczno-fikcyjne „jajko i kurę” („mam pamięć kury”, mówił Andrzejewski), to znaczy: czy odkrycie owego brnięcia przez nieskończone pole alternatyw w fikcji skierowało uwagę Andrzejewskiego na formy diarystyczne jako idealne medium, czy też odwrotnie, to dziennik niejako „zaraził” fikcję pisarza, także pytaniem „po co walczyć z fikcją sztucznego horyzontu” (fikcja w podwójnym tu sensie).

<sup>27</sup> Byłbym tu ostrożniejszy niż Kuźma (dzieło cytowane), który twierdzi, że zwłaszcza „sylwa *Z dnia na dzień* oraz *Gra z cieniem*” mają pokazywać „chaos”, „nurt chaosu”.

<sup>28</sup> Pewien wariant tej idei wyraża następujący fragment z listu do żony Marii z 13 lutego 1947 roku, mający charakter „dziennika twórczego” (*Popiołu i diamentu* oczywiście): „Ale ci ludzie, raz poruszeni, sami już zaczynają żyć. To bardzo zabawne i niepokojące uczucie. Czuje się chwilami tylko reżyserem wielkiego i już napisanego w sposób niewidzialny widowiska. Ja tylko inscenizuję, synchronizuję, nadaję całości pewien rytm”. Dla dopełnienia paraleli: Gombrowicz czuł się i reżyserem widowiska, i jego autorem, który w pełni świadomie („widzialnie”) je wytworzył.

Jednocześnie przecież dałem przed chwilą w charakterze tego negatywnego (dla Andrzejewskiego oczywiście) wzoru opis postawy twórczej Gombrowicza! Jeśli Andrzejewskiego mogłem określić jako masochistę narcystycznego, to Gombrowicza (oraz szerzej, licznych twórców modernistycznych reprezentujących podobne do niego wartości i zbliżoną postawę) mogę określić jako narcyza sadystycznego. Kolejność obu komponentów (narcyzm i sadyzm/masochizm) nie jest tu oczywiście przypadkowa. Gilles Deleuze powiada, że sadyzm jest hołdem składanym władzy (oraz porządkowi); masochista jest natomiast „edukatorem”, on instruuje i przekonuje swojego oprawcę, jego język jest perswazyjny, ale w sposób rozciągnięty, a nie ostry czy narzucający swój system znaczeń – u masochisty system znaczeń jest rozmyty, ponieważ używany jest do gry uwodzenia-edukowania<sup>29</sup>. Gombrowicz w swoim zamierzeniu wali swoimi dziełami czytelników „w papę” albo też myśli o utworach jako o pejczu. Andrzejewski bardzo przenikliwie scharakteryzował w skądinąd nader zwięzłych uwagach w tajnym dzienniku tę strategię Gombrowicza, nie mówiąc zresztą słowa o sobie i różnicy między nimi. Notuje 22 grudnia 1957 roku przy okazji lektury wydanego właśnie w Polsce *Bakakaju*: „Cóż za prosty w istocie mechanizm tego pisarstwa okrzykanego przez niektórych za rewelację myślową i artystyczną współczesności. Klasyczna literatura z tezą. Uporczywe ilustrowanie jednego pomysłu. Że uporczywe – nie jest to i nie może być zarzutem. Ale ta literatura ilustracyjna jest nie tylko uporczywa, jest również – i to ją degraduje – natrętna. »Odkrycie« Gombrowicza, już po przeczytaniu paru jego utworów, przestaje być rewelacją. Przeciwnie: okazuje się wątle i być może pozostając wątłym byłoby interesujące, gdyby Gombrowicz nie usiłował jego miarą mierzyć i oceniać wszystkiego. W istocie, wbrew pozorom, biedny maniak ładu i porządku. Swoim malutkim »pomysłem« pragnie wszystko ułożyć i wyjaśnić”. Spróbuję tę odkrywczą i nieoczywistą nawet dziś diagnozę sparafrazować z użyciem innych kategorii. Andrzejewski występuje tu przede wszystkim przeciwko zamkniętym systemom – komunikacji, filozoficznym oraz dzieła jako zamkniętego i skończonego systemu. System filozoficzny, który swoim zdaniem Gombrowicz stworzył i z którego był szczególnie dumny<sup>30</sup>, jawi się Andrzejewskiemu jako zestaw zamkniętych reguł gry, zaskakujących w pierwszej chwili, ale tylko wtedy, i prostych do wyuczenia. Literatura, to jest fikcja literacka,

---

<sup>29</sup> Gilles Deleuze, dzieło cytowane.

<sup>30</sup> Więcej na ten temat w tekście Janusza Margańskiego *Filozof Gombrowicz*, „Teksty Drugie” 1991, nr 5.

domknięte dzieła pozostają zamknięte na tym poziomie, że ich twórca, sadystyczny master, dba o to, by pozostawały „nieprzeciekalne”, wyzbyte draśnięć, pęknięć, śladów niepewności, wątpliwości. Nie są więc otwarte na alternatywę i przypadek. Ale w gruncie rzeczy nie mogą, ponieważ jako literatura z tezą są jak gra w tenisa ze ścianą. Ścianą jest „filozofia Gombrowicza”, czyli system, czyli teza. (Skontrastujmy ten metaforyczny obraz z Andrzejewskim, który w przeciwieństwie do Gombrowicza nie grał w tenisa, ale przypuśćmy, że jak Pan Kleks biega we wszystkich kierunkach po łące i łowi motyle – to jest jego wyobrażenie o otwartości pisarza). Fabuła, fikcja – jest akcydensem. Zróżnicowanie w niej wprowadza – powiedzmy – rodzaj rakiety, jaką w tym secie się gra; spodenki i koszulka, skarpetki; a przede wszystkim kąt, pod którym atakuje się ścianę; pewne jest jednak, że ściana odpowie. Ściana, która odbija – w tym sensie narcyzm. Twórczość Gombrowicza, stwierdza Andrzejewski, nieustannie odnosi się do raz przyjętych kategorii, dlatego jest „uporczywa” (narcyzm). To nie byłoby ostatecznie najgorsze. Ale „natrętna” wprowadza właśnie ów komponent sadyzmu: ona jest nie tylko powtarzana na własny użytek, jest też narzucana wszystkim jako metr z Sèvres. Filozofia mieniąca się interakcjonistyczną – nie jest tu co do zasady dialogiczna, oto paradoks. Dialogiczność nie może się realizować w systemie zamkniętym. Dialogiczność musi być otwarta na przypadek i alternatywę. Bataille powiedział o Sadzie, że jego język odrzuca i gardzi relacją między mówiącym a publicznością<sup>31</sup>. W odniesieniu do Gombrowicza byłaby to oczywiście przesada, ale nie byłoby przesadą powiedzieć, że Gombrowicz nie dopuszcza sytuacji, w której jego publika mogłaby sama posiadać i/lub generować reguły gry, dekodowania. Komponent narcystyczny zaś polega na tym, że takiej właśnie uległej publiczności potrzebuje, aby podbudowywać swoje ego. Andrzejewski widzi to podobnie, a z przewróconą aluzją do samego Gombrowicza, wyzyskaną przeciw niemu: „Choć sam Gombrowicz szydzi z belfrów – właśnie belferski”. Podobne uwagi notuje Andrzejewski *à propos* Sartre’a, jak wiemy (czy Andrzejewski to wiedział wówczas...), bardzo ważnego filozofa dla Gombrowicza. Po spektaklu *Pan Bóg i diabeł* [sic – oczywiście *Diabeł i Pan Bóg*] 29 lipca 1960 roku Andrzejewski notuje: „Już chyba nigdy się nie przekonam do instytucji zwanej Sartrem. Nudny belfer objawiający z wielkim hałasem prawdy przez wielu i to lepiej powiedziane. Myślę, że uparci teoretycy bardzo niefortunnie krzyżują się z artyzmem”.

---

<sup>31</sup> Cytowany przez Deleuza.

Oczywiście powie ktoś, że takie oceny są przejawem „kompleksu Gombrowicza” Andrzejewskiego. Ale on nic tu nie mówi o sobie, to znaczy być może mówi *in absentia*, a może po prostu ja umiem to sobie dopowiedzieć. Po drugie w 1957 roku nie ma jeszcze najmniejszego powodu, by zazdrościć Gombrowiczowi sławy w Polsce czy na świecie, to on bowiem, Andrzejewski, ma jej więcej – wydaje go Gallimard, filmy z jego scenariuszem są nagradzane w Cannes, sypią się przekłady na różne języki; wszystko to dopiero przed Gombrowiczem<sup>32</sup>. W grudniu 1957 roku Andrzejewski zanotował jeszcze dwie istotne uwagi o Gombrowiczu, jedną – o dziennikach, drugą – radę, jaką miałby dla jego pisarstwa. Obie można czytać także jako autokomentarz *in absentia*. O dziennikach więc, które najwyraźniej Andrzejewski znał z paryskiej „Kultury”: „Napisał kilkadziesiąt stronic *Dziennika* tylko w tym celu, aby wyjaśnić, że wyjaśnił. Istotnie, uchwyciwszy szczegółik, ulepił model świata według tego szczegółiku. Myślę, że mimo wszystkich efektownych póż, przybieranych w *Dzienniku*, biedny Witold, gdy zostaje sam na sam ze sobą, musi się bardzo męczyć, ponieważ nie może nie zdawać sobie sprawy z podstawowego fałszu swojej literatury. Przyczynek w roli głównej i jedynej!”. To jest oczywiście o filozofii Gombrowicza jako systemie zamkniętym i realizującym się przez synekdochę *pars pro toto*, jeden szczegół służy do stworzenia całego, niestety zamkniętego świata. Ale też – co dla nas szczególnie tu interesujące – jest to komentarz do diariopisarstwa jako autokomentarza. Dochodzimy do najważniejszej różnicy między pomysłem diariotropicznym Andrzejewskiego i Gombrowicza. Gombrowicz – belfer stworzył prosty system pojęciowy, objaśniający jakiś wycinek świata, ale podniesiony do rangi wyjaśnienia całego świata; następnie wysłużył się dziełami literackimi („mania ładu i porządku”) skrojonymi tak, aby tezy te ilustrować; wreszcie, na wypadek gdyby powiązanie zasadniczego systemu (ściany) z dziełami (gra w tenisa) nie było dostatecznie jasne, a nie było, postanowił pisać

---

<sup>32</sup> Aby nie pominąć żadnego komentarza Andrzejewskiego o Gombrowiczu – warto odnotować jeszcze dwa zdarzenia, pokazujące raz pozytywną, raz ciemniejszą twarz autora. W tajnym dzienniku 28 grudnia 1957 roku odnotował posiedzenie jury w sprawie nagrody „Przeglądu Kulturalnego”, gdzie jego głosem Gombrowicz jej nie dostał – „z ciężkim sercem” Andrzejewski zagłosował na Zygmunta Mycielskiego, choć chciał, aby nagroda przypadła Kołakowskiemu, ale gdyby nie zagłosował na Mycielskiego, nagrodę otrzymałby Gombrowicz. A o jasnej stronie Andrzejewskiego wspomina legendarnie nie lubiący go Giedroyc – do samego Gombrowicza w liście z 9 stycznia 1967 roku: „Wczoraj rozmawiałem telefonicznie z Andrzejewskim w Warszawie. Na wiadomość o Twojej nagrodzie prosił, by Ci przekazać powinszowania. Nie jest to bohater mego romansu, ale muszę przyznać z przyjemnością, że nie było w tym cienia zawiści. Unikat wśród Polaków”. Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy 1950–1969*, opracował Andrzej Kowalczyk, Warszawa 1993.

najlepsze możliwe komentarze dotyczące tych połączeń po to, aby uniknąć dalszego niezrozumienia, to znaczy po to, by narzucić jedyną słuszną interpretację. Dzieło pozostaje zamknięte, dziennik jest *post factum*. Po co byłby natomiast dziennik pisarzowi-masochiście, gdy pamiętamy, że język według masochisty służy do edukacji i negocjacji kontraktu (porozumienia), uwiedzenia oprawcy? Gdy pamiętamy, że masochista delektuje się odwlekaniem czasu (uderzenia/przyjemności), stale myśląc o końcu, ale nie mogąc go przewidzieć?<sup>33</sup> Pomysł Andrzejewskiego na dziennik obejmuje przede wszystkim fazę *in statu nascendi*, a nie *post factum*. W przeciwieństwie do systemu zamkniętego ani czytelnik, ani sam twórca nawet nie mogą wiedzieć, dokąd miriady możliwości, pomysłów nizanych na nitkę, a otwierających nieustannie niespodzianki, mogą go poprowadzić. Oczywiście, trzeba zastrzegać, zarówno Andrzejewski miał w głowie jakieś zarysy czy plany całości (choć łatwo potrafił je modyfikować „na bieżąco” – „rzut kośćmi nigdy nie zniesie przypadku”), jak i fabuły Gombrowicza wcale nie były takie przewidywalne dla czytelnika (fabuły nie, ale ich odniesienie do systemu tak). Oczywiście, można bąknąć, że takie otwarcie na proces i niechęć do systemów zamkniętych miały podłoże bądź zostały wzmocnione przez odczucie krachu własnego ślepego zaangażowania (uległego?) w służbę głupiemu panu (najgłupszym okazał się niewątpliwie komunizm). Sadyzm Gombrowicza uznawałby pokazanie niepewności, niedoskonałości twórcy-planisty jako słabości i porażki. Sadyzm koncentruje się wszak na superego, masochizm zaś – na ego. Masochista Andrzejewski widzi w tym i porażkę, ale nie czysto negatywną, i szansę. Dodatkowo (to ogólna uwaga dotycząca rozlicznych projektów pisarskich Andrzejewskiego, w tym licznych niedokończonych)<sup>34</sup> można spojrzeć na jego zapiski dziennikowe jako na odwlekanie ostatecznego ukończenia dzieła – przed sobą, ale w nadziei, że ta przyjemność retardacji i antycypacji udzieli się też „wyedukowanemu” przez masochistę czytelnikowi.

---

<sup>33</sup> Gilles Deleuze, dzieło cytowane.

<sup>34</sup> Miejsc, w których Andrzejewski pisał o tym *explicite* jest sporo, ale na użytek tych rozważań powróćmy do listu do Iwaszkiewicza z okresu powstawania *Popiołu i diamentu*, gdzie objaśnia, czemu dyscyplinuje go rytm tygodniowy odcinków: „Zdaję sobie sprawę, że to ryzykowne. [...] Muszę Ci jednak przyznać, że gdybym pozostał z rękopisem sam na sam, wątpliwości moje w samego siebie byłyby tak natarczywe, iż koniec łatwo przewidzieć: jeszcze jeden porzucony w połowie wysiłek, jeszcze jedna rzecz nie skończona. Teraz klamka zapadła, muszę pisać do końca i dać to, co mogę w tej chwili najlepszego”. Jerzy Andrzejewski, Jarosław Iwaszkiewicz, dzieło cytowane (list z 14 stycznia 1947 roku).

Przy innej jednak okazji, krzywiąc się na fałsz *Tataraku* Iwaszkiewicza (fałszywe kodowanie homoseksualności w tworzeniu postaci starej kobiety zamiast mężczyzny), notuje swoje *credo* współczesnego pisarza (11 września 1958 roku, po napisaniu zresztą początku *Bram raję* w jakiejś ich wersji): „Coraz silniej utwierdzam się w przekonaniu, że należy być sobą i tylko sobą, a zaangażowanie nie może być połowiczne lub niedomówione. To trudno, pisarstwo jest w samej swej istocie równie nieprzyzwoite, jak zdjęcie na ulicy gatek i wypięcie się gołym tyłkiem. Trzeba mieć odwagę pokazania tyłka i również dość inteligencji, aby we właściwy sposób oceniać ten proceder”. Ponieważ chodzi także o ujawnienie w twórczości homoseksualności, nie sposób nie zauważyć, że – przypadkiem – Andrzejewski polemicznie antycypuje koncepcję „połowicznych konfidencji” Gombrowicza; przede wszystkim stwierdza tu porażkę Iwaszkiewicza, ale też – można powiązać z wywodami wcześniej cytowanymi – Gombrowicza. Otwarte pozostaje pytanie, na ile sam spełnił ów postulat, dorósł do własnej deklaracji. Odpowiadam: udało mu się to po części, zarówno w twórczości, jak i w dziennikach, choć właśnie te ostatnie miały być głównym wehikułem ujawnienia, pokazania tyłka. Potwierdza to entuzjazm, jaki Andrzejewski okazał uwadze Andrzeja Kijowskiego, który napisał, że autor *Miazgi* nie otwiera się w swojej twórczości w pełni i powinien pokazać światu swój dziennik (zapis z 23 czerwca 1960 roku)<sup>35</sup>. Owo pokazywanie siebie powinno obejmować także „stany ciała” (zgodnie z imperatywem opisywanym wyżej), ale i stany pogody, notatki kapryśne, „nieważne”, „nie *à propos*”; i także w sposób „niezrobiony” niekiedy. To także różni Gombrowicza, bo ten rozgrywał codzienność w dziennikach według standardów tworzenia fikcji (dążąc do dopointowania, alegorii, metafory, przypowieści). Wracam tu spiralnym gestem do „rady dla Gombrowicza”, zanotowanej w grudniu 1957 roku. Idzie właśnie o szczegół, który synekdochicznie Gombrowicz rozciąga na „system”: „Zastanawia mnie, dlaczego Gombrowicz nie poprzestał na ukazaniu świata w szczególe. Jakaż to byłaby wstrząsająca wizja: jeden maniackalny motyw, pisk szczegółiku, jedno w ludzkich losach i ludzkim współzyciu oświetlone miejsce, tylko ono jedno, natomiast wszystko pozostałe – ciemnością, niewiadomym, niepokojącą i groźną tajemnicą. Rzeczywistość Gombrowicza świadomie ograniczona do szczegółu użycza-

<sup>35</sup> Co więcej: „Jest właśnie dokładnie tak, jak Kijowski napisał. I moje wzmagające się w ostatnich latach znużenie literaturą, ciągły niedosyt – to jest to: świadomość, że nie znajduję w literaturze, lub znaleźć w niej nie potrafię pełnego wyzycia”.

łaby wówczas i owej ciemnej, szczególnej głębi, natomiast cały świat wyjaśniony i jakby można powiedzieć: oświetlony szczegółem stał się płaski". Tu kilka uwag. Przenikliwość proroca Andrzejewskiego jest tu w istocie niesamowita, ponieważ w (późniejszych niż z 1957 roku) utworach Gombrowicz właściwie zrealizował w jakiejś mierze i po swojemu ów postulat, nic o nim nie wiedząc (ten „ciemny Gombrowicz”)<sup>36</sup>. Świadczyłoby to o tym, jak dalece Andrzejewski, nie dość chyba doceniany jako krytyk i czytelnik literatury, potrafił się wczuć w światopogląd (umysł? strategię?) Gombrowicza. Rzecz druga, jest to komentarz do samego Andrzejewskiego także. Do dzienników, które w jego odczuciu powinny obejmować też szczegóły cielesne i meteorologiczne, w tym drażniące, „brudne”<sup>37</sup>. Myślę natomiast zarówno o fantastycznym i fetyszystyczno-neurotycznym skoncentrowaniu na szczególe w *Pantofelku*, jak i o genialnej scenie z wrzodząnią w *Idzie skacząc po górach*. Andrzejewski projektował – i realizował – radykalne (na tle modernizmu) dowartościowanie codzienności „jako takiej”, niemetaforycznej, niealegorycznej, w swoim rzekomo „banalnym” kształcie – nie po to, by wyparła ona materię artystycznie obrobioną, precyzyjną, metaforyczno-alegoryczną; miały się one przenikać, codzienność i jej „banalne” szczegóły są „podglebieniem” sztuki, ale i czymś nawet więcej, więcej niż kokonem otulającym doskonale wykończony „owoc” (Dzieło). Szło o zaprzeczenie silnemu rozdziałowi wysokie – niskie: i jest to kierunek ku postmodernizmowi, nigdy przez Gombrowicza czy Iwaszkiewicza niepodjęty, ale zbliżający Andrzejewskiego do Białoszewskiego. Sprawa trzecia to wszakże bliskość tej idei oparcia o szczegół do pisarstwa Białoszewskiego, jego szczególiki – i prozatorskie, i diariotropiczne, jego idea, by pisarzowi „na łóżku siedzieć”<sup>38</sup>; myślę że Miron byłby zachwycony zbitką „pisk szczególiku”.

<sup>36</sup> Michał Markowski, *Czarny nurt. Gombrowicz, świat, literatura*, Kraków 2004. Być może dostrzegł tę ewolucję także Andrzejewski, gdy notował krótko wrażenia o *Pornografii*. Pisał o swoim podziwie 9 grudnia 1960 roku, lecz jednocześnie – a tu mylnie – o hermetyzmie polskości, który nie może być czytelny dla cudzoziemców. W *Kosmosie* docenił przede wszystkim warstwę językową: „Skończyłem *Kosmos*, zadziwiający językowo, znakomity we fragmentach, lecz w całości chyba bardzo wtórny” (zapis z 18 października 1965 roku). Nie wiadomo, czy Andrzejewski ma na myśli wtórność wobec innych dokonań literatury światowej, czy względem samego Gombrowicza, co byłoby nawrotem do wcześniej wykładanej tezy. W liście z 12 grudnia 1966 roku do Marii docenił trzeci tom *Dzienników* Gombrowicza i jego *Operetkę*: „Prócz ostatnich produkcji »Kultury« – to osobny rozdział, naprawdę interesujący jest tylko III tom »Dzienników« Gombrowicza + jego nowy utwór sceniczny »Operetka«, naprawdę znakomity”.

<sup>37</sup> Być może coś takiego dostrzegł w późniejszej (19 września 1958 roku) lekturze dzienników Gombrowicza, we fragmencie, który określa jako równocześnie „interesujący i antypatyczny”.

<sup>38</sup> Wiersz *dramat jest wzięutki, ciałniutki* z tomu *Mylne wzruszenia*.

Nie odpowiedziałem jeszcze w pełni, na ile Andrzejewski spełnił swój postulat „pokazania tyłka” w dziennikach. Dlaczego został „okradziony z dziennika”. Odpowiedzią jest chronologia. Miał on oryginalny pomysł na dzienniki wcześniej niż Gombrowicz – i Białoszewski<sup>39</sup>. Tak, Białoszewski, bo przecież bruliony *Pamiętnika z powstania warszawskiego* z około 1965 roku pokazują, że pierwotny pomysł Białoszewskiego realizował właściwie (a nieświadomie) pomysł Andrzejewskiego (pracującego oczywiście wtedy nad *Miazgą*). Wspomnienia powstania warszawskiego przeplatały się tam z zanotami współczesnymi, jakie później Białoszewski rozwinął w swój pełny projekt prozatorski, zwany niekiedy „małymi narracjami”. Oczywiście w pewnym szczególe concept Białoszewskiego – którego pełny kształt dopiero poznamy w oby nieodległej przyszłości – różni się od pomysłu Andrzejewskiego, mianowicie kwestią fikcji i „przewidywalności”: Białoszewski nie opisywał historii fikcyjnej (jak Andrzejewski) i nie mógł myśleć w kategoriach otwartości na niespodzianki, skoro opisywał zamknięte przeżycie z przeszłości (niespodzianki mogły natomiast wynikać z niespodzianych przypomnień sobie, olśnień chronologicznych, narracyjnego montażu skojarzeń). Po części na drodze do spełnienia postulat pokazania całego tyłka – w tym i w wariancie diariotropicznym – stanął on sam, nie potrafiąc już w latach czterdziestych w pełni przeprowadzić swojego pomysłu. Po drugie jednak na drodze stanęły kłopoty z cenzurą, czego szczególnie drastycznym i znanym nam przykładem jest powieść *Idzie skacząc po górach* (szczęśliwie w archiwach zachowana jest pierwotna wersja), a idzie tu i o cenzurę przyjacielsko-redaktorską (Iwaszkiewicza jako „przyjaciela” i redaktora „Twórczości” zarazem obłudny list z 4 czerwca 1963 roku, w którym domaga się usunięcia pieśzczośliwych określeń na kutasa, usunięcia wymiarów kutasa jednej z postaci, opisu erekcji i idei „malowania jajami i spermą” – a podkreśla, jak ładne są sceny „banalnie modernistyczne”, których wówczas Andrzejewski już u Iwaszkiewicza nie trawił)<sup>40</sup>, jak i o instytucjonalną cenzurę obyczajową. *Idzie skacząc po górach*

<sup>39</sup> A także niż jego przyjaciel, Wilhelm Mach (forma dziennika została wyzyskana w *Górach nad czarnym morzem* z 1961 roku). Być może właśnie publikacja tej powieści stała się impulsem do prasowej premiery fragmentów dziennika *Popiołu i diamentu*?

<sup>40</sup> Andrzejewski, Iwaszkiewicz, dzieło cytowane. Niestety Iwaszkiewicz odegrał w tej kwestii bardzo negatywną rolę. Andrzejewskiego oceny pisarstwa Iwaszkiewicza wskazują natomiast na dostrzeganie nieuchronnego umiarkowania wysokiego modernizmu – na przykład w komentarzu o tomie *Sławie i chwale*: „Nie, nie można już takiej prozy pisać. Po co? Powtarzać jeszcze raz, co zostało zrobione i wcześniej, i lepiej” (10 kwietnia 1958 roku). O tomie *Tatarak*: „dużo goryczy wobec przemijania tych gładkich, potocznych zdań, należących już tylko do szybko się oddalającej przeszłości” (18 czerwca 1960 roku).

w oryginalnym kształcie byłoby ową upragnioną „gołą dupą”. Po trzecie, kłopoty z cenzurą polityczną i blokady publikacyjne: przeciągnięcie i przenoszenie publikacji *Miazgi*, dziennik *Apelacji* dodany „za późno”, oraz wiele innych kłopotów. Równocześnie już po 1957 roku pisarstwo Gombrowicza wchodziło w nowe fazy, w tym i jego dziennik. Jeśli w 1957 roku Andrzejewski nie musiał zazdrościć Gombrowiczowi, to sytuacja wyglądała zupełnie inaczej tuż po śmierci tego drugiego, po 1970 roku, gdy na drodze autora *Pantofelka* pojawiły się blokady publikacyjne, a jednym ze sposobów na podtrzymanie swojej obecności w świadomości społecznej w Polsce stał się drukowany cyklicznie dziennik Andrzejewskiego *Z dnia na dzień*, określony przez Miłosza jako „siusiu”. Tu być może w istocie doszedł do głosu w jakiejś mierze „kompleks Gombrowicza”. Ani nie mógł się w tych dziennikach jednak tak odsłonić, jak by chciał, z powodów cenzuralnych; ani nie osiągnął Gombrowiczowskiego natężenia mimo licznych dobrych fragmentów; ani nie spełnił ostatecznie własnego pomysłu dziennikowego, bo powieść *Sto lat temu i teraz* należy do najgorszych fikcji, jakie kiedykolwiek wyprodukował; ani nie miał właściwie żadnego silnego i spójnego projektu całościowego tych dzienników, który czytającej publiczności dałby się narzucić jako odrębna, nieporównywalna z niczym innym jakość. Jego koncepcja otuliny codzienności i wymieszania niskiego i wysokiego raczej została odebrana jako brak umiejętności filozoficznej syntezy, rozproszenie talentu w niespójnych notatkach, czego dowodził choćby szkic Andrzeja Mencwela opublikowany w roku śmierci Gombrowicza<sup>41</sup>. Równocześnie widział, że dominujące kategorie kulturowe są wciąż modernistyczne, wciąż w centrum stawiają Dzieło, wciąż sprzyjają projektowi Gombrowicza; wciąż w cenie był „esencjalny sadyzm”, a nie „płynny masochizm”, rzec by można. W 1972 czy 1983 roku słowa Andrzejewskiego zapisane na marginesie *Bakakaju* w 1957 roku, choć filozoficznie słuszne, mogły (mogłyby – gdyby ktoś je wówczas znał) brzmieć jako „kompleks słabszego”, wyraz porażki pozbawionej twórczego potencjału: „Artysta przykładający swoją miarę do twórczości innego artysty postępuje jak wariat, który wyobraziwszy sobie, że jest świętym Franciszkiem ma pretensje do drugiego wariata, że ten jest Tamerlanem”. Szło wtedy o „uporczywe i natrętne, belferskie” ocenianie całej sztuki przez Gombrowicza według swoich własnych reguł. To też

---

<sup>41</sup> Andrzej Mencwel, *Miazga i fetysz*, „Współczesność” 1969, nr 21. Podobne głosy krytyków pojawiły się w 1982 roku po publikacji krajowej (ocenzurowanej) *Miazgi*, co dowodzi, jak silny był ten paradygmat.

i komentarz do naszego czytania Andrzejewskiego – według kryteriów nie jego własnych, a na przykład Gombrowiczowskich, czy ogólniej – dominujących w tamtej epoce, ale które Andrzejewski usiłował przekroczyć. Powinna to być dla nas wyraźna wskazówka – właśnie dziś, gdy zarówno projekt diarystyczny, jak i szerzej, filozofię Andrzejewskiego, możemy w pełniejszym kształcie poznawać.



Jerzy i Marcin Andrzejewscy, Szczecin, około 1950 roku



Jerzy i Marcin Andrzejewscy, Zakopane, około 1954 roku

MARCIN ANDRZEJEWSKI

## Wspomnienie

Poproszono mnie o krótkie wspomnienie o moim ojcu, z perspektywy czterdziestu lat od jego śmierci. Zadanie okazało się bardzo trudne, co bowiem wybrać z ogromnej liczby zachowanych wspomnień. Zdecydowałem się na dwa epizody z naszego życia, które – jak mi się wydaje – były dość nietypowe i zapewne z tego powodu zapadły mi w pamięć.

W latach 1953–1955 rodzice wysłali mnie i siostrę na wakacje do pani Marii Szatkowskiej w Kościelisku. Najprawdopodobniej latem 1954 roku niespodziewanie pojawił się w Zakopanem ojciec i zaproponował mi wycieczkę w Wysokie Tatry. Była to dla mnie wielka niespodzianka, ponieważ nie spodziewałem się takiej propozycji.

Wczesnie rano udaliśmy się do Kuźnic, a następnie kolejką na Kasprowy Wierch i tu zaczęła się moja pierwsza wyprawa w góry. Przejście z Kasprowego przez Świnicę do Zawratu dostarczyło mi niebywałych emocji. Byłem też zaskoczony, że ojciec nie ma problemów z poruszaniem się w tak trudnym terenie. Z Zawratu zeszliśmy do Doliny Pięciu Stawów, a następnie przez Roztokę dotarliśmy na przystanek PKS, na drodze do Zakopanego. To była wspaniała wyprawa, mieliśmy w następnych dniach wybrać się ponownie w góry, jednak ojciec musiał wrócić do Warszawy. Nigdy więcej nie odbyliśmy razem takiej pieszej wędrówki.

Ojciec był humanistą, jednak interesował się techniką. Pamiętam jak tłumaczyłem mu, w jaki sposób produkuje się płyty gramofonowe i jak działa telewizor. Z telewizorem nie bardzo mi się udało, ale proces produkcji płyt zrozumiał.

Z jednego z zagranicznych wyjazdów przywiozłem, niedostępny wówczas w PRL-u, zegarek elektroniczny Casio, który był zasilany litową baterijką, co pozwalało mu na pracę przez około trzy lata. Ojciec długo oglądał ten zegarek, aby w końcu stwierdzić, że brak wskazówek jest dużym mankamentem. Zafascynowała go natomiast działająca przez trzy lata bateria. Chwilę pomyślał i zadał mi

następujące pytanie: „Czy po włożeniu zegarka wraz z nieboszczykiem do trumny, będzie on nadal działał przez trzy lata?”. Pytanie wcale mnie nie zdziwiło i zgodnie z swoją wiedzą odpowiedziałem: „Obudowa wytrzyma, ale nie wiem, co będzie ze szkiełkiem”.

Z perspektywy tych czterdziestu lat patrzę zupełnie inaczej na moje stosunki z ojcem. Nasze spory i moje pretensje wydają się teraz bez znaczenia. Ojciec był dobrym i odważnym człowiekiem. Władze go niszczyły, a on pomimo to nie ugiął się i pozostał przy swoich poglądach. Szkoda, że nie dożył zmian ustrojowych.

## BOGUSŁAW KIERC

### Psalm

„Tak jak w cielesnym połączeniu płodzić może tylko ten,  
kto używa żywego członka z pożądaniem i radością, tak  
w połączeniu duchowym [...] płodzi ten, kto dokonuje go  
żywym członkiem w radości i rozkoszy”

Baal Szem Tow

A już siedzi pod wierzbą i na lutni brzdąka  
i śpiewa sobie i Niewidzialnemu,  
że miękkość duszy jak i twardość członka  
są bez różnicy, ale o tym nie mów

komuś, kto jeszcze nie zna Baal Szema:  
jak żywym członkiem płodzi się w radości  
i pożądaniu, tak w modlitwie nie ma  
różnicy między tym, jak się umości

w duszy czy w ciele, jeśli pożądając  
Wzgórz Wiekuistych, twój duch – gotów płodzić  
Nowe Stworzenie, gdy cały się zajął  
Ogniem Odbicia swego w Żywej Wodzie.

### Urodziny

Myślę o tym chłopczyku, co się teraz rodzi  
w południe, osiemdziesiąt lat później ode mnie

i o tych jeszcze, którzy – przy różnicy godzin  
za siedmioma górami, kiedy u nich ciemniej,

gdy u nas jaśniej – właśnie się rodzą; rodzące  
ich matki, osiemdziesiąt lat młodsze od mojej,

widzę w blasku, olśniony przez to samo słońce,  
teraz, kiedy sam pod nim, stary berbeć, stoję.

## Przejaśnienie

Zza ściany słysząc jęki miłosnej ekstazy  
albo bicia rekordu, ile jeszcze razy

zdoła jej inspirator wydobyć z jęczącej  
tę dziką kantylenę; zdaje się, że słońce

majaczeje bladawo na zamglonym wschodzie,  
nie, to migot latarni morskiej; Bóg się rodzi

śpiewa pod oknem chłopak, bo wraca z pasterki  
chwiejnie, lecz w uniesieniu pobożnym – na wszelki

wypadek opierając się o żywopłotu  
chruśniak, nagle upada jednak, ale oto

zjawia się nad nim anioł w postaci człowieka  
życzliwego, a chłystek jakby tylko czekał

na tę okazję, żeby jakoś sprowokować  
anioła do pomocy i teraz bez słowa

daje mu się w opiekę; gdy tamten go bierze  
w objęcia, leci z nieba archanielskie pierze

śniegu; za ścianą ciała syte grzęzną w ciszy  
(może śnieg ich westchnienia i jęki uciszył);

i jeszcze krwawa blizna jaśnieje na wschodzie:  
w gruzach, pośród zabitych, znowu Bóg się rodzi.

## Anioł Stróż

Upadłem. Upadałem i w tych uziemieniach  
czy przyziemiach, czasami już nie byłem w stanie  
się podnieść, tak jak pijak, co jeszcze się ślania,  
ale zaraz upadnie całkiem i nie wstanie

o własnych siłach i gdy, bezwładny, się korzy  
przed przechodniem, co zechciał mu pomóc w przygodzie  
wstydlivej i podnosi go, wie, że to Boży  
Anioł znów się zlitował nad nim, choć niegodzien.

## Polska jesień

Wyszperane szpargały, gryzmoły, klamoty  
po tym „śnie o potędzie”, który się nie ziścił  
ich współwłaścicielowi; już wpelznął pod „złoty”  
szeleś „polskiej jesieni”, czyli martwych liści;

do żeńskiego rodzaju śmierci mówić: złota,  
odczep się już ode mnie, chyba nadużyciem  
spektakularnym nie jest, gdym się o nią otarł,  
jeszcze małą, jak brała się za mnie, by wyciekł

sok życiodajny, kiedy dopiero zbierałem  
najtroskliwiej klamoty, szpargały, gryzmoły  
i łudziła mnie śliczność obnażonym ciałem,  
które jakbym odbijał, tak jak ono, goły

i było bliżej nieba, niż jest rzeczywiście  
w tych śmiertelnych ekstazach, jęczeniach i potach;  
spadały na nas klęski, jak spadają liście,  
rdzą zżerała nas polska jesień. Ta śmierć złota.

## Chrystus z odzysku

A teraz będę Ciebie wydobywał z mitów  
i z bajek dla dorosłych i niedoświadczonych  
w bluźnierstwie, w świętokradczym pożądaniu: przytul  
mnie do krwawiącej rany, niech ciernie korony

Twojej wbiją się we mnie, żebym już nie wierzył  
w Ciebie, który każdemu daje się oswoić  
po odmówieniu kilku codziennych pacierzy  
i westchnieniu, żeś Bogiem jest i Panem moim.

## ANNA PIWKOWSKA

\*\*\*

„Ten świat ma szczeliny”

*Wszystkie poranki świata*

Alain Corneau

Spójrz w tamten dzień, gdy upadł, a jej śmiech spadł w studnię.  
Chodziła po ogrodzie zajęta kwiatami. Fioletowy powojnik  
oplótł dom, barwinek, rozpostarł się jak dywan pod stopami  
biegła, by mu swój wiersz przeczytać. Przycinał gałęzie  
na zielonej drabinie oleisty zapach, świeżej farby, a może  
chciała podać kubek, z parującą herbatą. Wiosna była chłodna.  
Rok sześćdziesiąty trzeci, no tysiąc osiemset. Sto lat przed  
albo potem. Kto wie, w którym miejscu albo po jakim czasie  
czeka ostateczne. Wychyla się zza węgła. Czai w kupie liści  
pozostałej po tamtej, ostatniej jesieni. Nie wiedział, że ostatniej.  
Ona nie wiedziała, że pod liśćmi mieszkała całą zimę kuna.  
Lecz ten świat ma szczeliny, widzę ją jak biegnie,  
w lnianej niebieskiej sukni, na kubku emalia, żółta i popękana.  
Siedzimy przy stole. Ty nad czerwonym kubkiem, ja żółtym,  
na strychu buszuje kuna, jaką wieść niesie od tamtej?  
W genetycznej pamięci ogród, śmierć, barwinek.

6 stycznia 2023

## Charty w mieście

Spotykam je na ulicach. Zawsze smutne.  
Jak księżęta czy czarodzieje zatrzaśnięte w sobie,  
wyniosłe. Znają sekret szczęścia wpisany  
w ciało, smukłe nogi, chrząstki, ścięgna i kości.  
Być sobą to znaczy być przestrzenią i pędem.  
Złoto-brązową plamą poruszającą się z taką prędkością,  
że nawet nie złapie jej w sidła siatkówka oka.  
Ani człowiek, ani wilk. Żaden drapieżca.  
Może tylko popielate wiewiórki na śniegu albo ptak  
zdolają zarejestrować ten błysk, nagle zawirowanie.  
I pamiętam ten wieczór, kiedy wyszliśmy od Elżbiety  
przy placu Zbawiciela. Krzyknęłam. Biały chart  
pędził szynami tramwajowymi przed siebie.  
Szalony, wolny i zapewne szczęśliwy w swoim zrywie,  
w niebezpieczeństwie śmierci. Samochody ruszyły na zielonym.  
Niczego nie byłam pewna, ale przytaknąłeś.  
Zobaczyłeś to samo co ja. Biały cień zwierzęcia,  
którego żadna trwoga nie mogła powstrzymać.  
Być tak bardzo przy sobie, sobą w sobie, to szczęście  
czy przekleństwo? Jak miłość w srebrnym labiryncie szyn,  
profil za szybą, gdy mżną światłem okna w tramwajach.  
Jak wiersz, gdy powstaje: płomień z popiołu.  
Jednak charty w mieście są zazwyczaj spokojne i smutne.

Warszawa, 22 grudnia 2022

## Kolibry na śniegu

To dziwne poczucie, że nie jestem stąd.  
Szarada liter i szarańcza znaków, mogę przysiąc,  
że widziałam kiedyś kolibry na śniegu,  
niebieską monetę księżycza, inne cienie  
wąskie i tańczące o krok, o dwa przede mną.  
To uczucie, że nie jestem stąd. Dziwne układy zmierzchów.  
Stoję tak, nieruchoma, raz w ciemności, a raz w różowym świetle.  
Listopady i czerwce następują po sobie, mijają.  
Astrologia i archeologia mówią do mnie nieprzerwanie  
spod ziemi i nieba. Odkopane monety, potłuczone amfory,  
nagłe upadki perseid, śmierć gwiazd. Czym jest śmierć gwiazd?  
Wygasaniem energii? Zapadaniem się w ciemność?  
Odgrzebujemy w ziemi artefakty, drążymy korytarze  
w podziemnych kryształowych jeziorach. Fioletowe skorupiaki  
lśnią pod wodą jak nieodkryte galaktyki, oddychamy razem z nimi  
najciszej i najczulej, ukryci, przytuleni szczelnie do omszałych kamieni,  
w gromadach rozgwieżdżonych tak bardzo samotni i osobni.  
Najchętniej kocham Cię pod wodą, w nieskończonej,  
pulsującej tajemniczym życiem, złowrogiej, głodnej,  
śpiewającej regularnym szyfrem galaktycznej głębi błękitu.  
Jesteśmy tylko kolibrami na śniegu, półmiskami małż na białych obrusach,  
śladem po nigdy niepowracających na te same trajektorie kometach.

Warszawa, 19 grudnia 2022

## W hologramie

Przed zmierzchem harmonijne wirowanie szpaków,  
łacińskie metrum frazy, którą Tybr oddycha,  
czas się tutaj zaplata jak tajna fizyka  
splątanych kwantów, nawet nie odczujesz braku  
innych biografii, istnień, alternatyw, spełnień:  
istniejemy w przestrzeni mglistych uzupełnień.  
Stajemy się z niczego. Twój los przywiedziony  
przez gwiazdę, z moim losem splątany, spełniony.  
Przesała mostów, wzrok, który woda zwielokrotnia,  
i ta nieprzypadkowa nieuchronność spotkań:  
pies na placu żebrzący o kromkę pieścizny,  
lawina, bo gdzieś skrzydłem zatrzepotał motyl,  
my na tym samym placu, w przypadkowej bramie,  
światłoczułi, zamknięci w tajnym hologramie.

Rzym, październik 2022

## Jabłko dla najpiękniejszej

Nigdy nie byłam najpiękniejsza, a mężczyźni  
chętnie nazywali mnie czarownicą i barbarzynką.  
Nawet w miłosne noce, na gładkim dnie okrętów  
albo w łodziach wyścielanych naprędce posłaniem z trzciny.  
Drogi J., nawet ty nie kochałeś mnie przecież, a teraz  
wszyscy jesteście martwi. Przeszły poprzez nas armie,  
upalne noce, mgły nad bagnami i radosne poranki świata. Wszystkie.  
Chodzę teraz ulicami miast, a w kieszeni mam niepotrzebne monety  
z profilami władców, którzy nie rządzą już żadnym z królestw.  
Jabłko dla najpiękniejszej marszczy się i marnieje, a pestki wysychają.  
A jednak moje królestwo istnieje i nawet tu, w szumie samochodów,  
przed szklanymi lustrami witryn, słyszę, jak bije jego puls.

Kolchida rośnie we mnie i wiem, że już niebawem do niej powrócę.  
Stara, w klejnotach zmarszczek, wciąż wyszeptując nieme, uparte samogłoski.  
Otwarte „a” miłości. Bezgłośny śpiew w krtani. Rozkosz powtórzeń.  
Ja, uparta barbarzynka, odtrącona kochanka, wrócę do domu,  
gdy fioletowe mgły spowiją góry w ciepło utraconego runa.

Warszawa, 5 października 2022  
wiersz inspirowany fotografią Tomka Sikory



Petr Mikes, Leszek Engelking, Krystyna Rodowska, Vaclav Burian, Ołomuniec 1985

## KRYSTYNA RODOWSKA

### Nawet śmierć Cię nie znajdzie

Leszka Engelkinga spotkałam jesienią 1984 roku. Był moim nowym kolegą w redakcji „Literatury na Świecie”, gdzie pracowałam już od pięciu lat. Przyglądał się nieznanym dotychczas twarzom, sam dawał się stopniowo poznawać od strony swoich rozlicznych kompetencji językowych i artystycznych aspiracji. Ledwie przekroczył trzydziestkę i był przy tym uroczo nieśmiały.

A dla mnie był to rok wyjątkowo trudny. Chciałam w tym momencie spokoju, niekoniecznie nowych znajomości.

Mimo to zbliżyliśmy się. Leszek potrafił i chciał być pomocny w rozmaitych trudnych i niecodziennych – dla niego – sytuacjach. Choćby takich jak moja przeprowadzka, z jednego bloku do drugiego, z setkami paczek z książkami. Delikatne ręce młodego intelektualisty nie wzdrygały się taszczyć ciężarów, by ulżyć zmęczonej koleżance.

Przede wszystkim jednak podziwiałam szerokość jego horyzontów i wielość zainteresowań przy jednoczesnej zdolności do korygowania kierunku dotychczasowych poszukiwań. Przez rok studiował japonistykę, co zaowocowało doskonałą znajomością reguł uprawiania haiku; wykorzystał to już w pierwszym swoim tomiku poetyckim *Autobus do hotelu Cytera* (1979), a także w drugim *Haiku własne i cudze* (1991), rezygnując jednak z dalszego zgłębiania arkanów pisania i czytania po japońsku. Z domu wyniósł znajomość angielskiego (jego matka udzielała lekcji tego języka), dzięki czemu mógł swoją potęgującą się fascynację poezją Ezry Pounda wyrażać kolejnymi lekturami i przekładami tego i wielu innych anglojęzycznych autorów. Paradoks, na który zwrócił uwagę Wojciech Engelking, żegnając ojca: odszedł, nie ukończywszy definitywnie wieloletniej pracy nad wyborem i zaprezentowaniem w swoim przekładzie całości *Cantos* Pounda! Za tempem pracy, intensywnością długodystansowego wysiłku najwidoczniej nie nadążyło ciało, zlekceważone potrzeby organizmu (to opinia moja).

Nie zamierzam konkurować z Wikipedią, radiową Dwójką czy Trójką, Facebookiem i innymi znanymi komunikatorami w przedstawianiu dorobku przekładowego, eseistycznego czy naukowego Leszka Engelkinga, wymieniać gwiazdozbiory nagród i nominacji do nich, które sypały się na niego, nie tylko jako na wybitnego tłumacza poliglotę (tłumaczył z sześciu języków!). Był także doceniony w kraju i za granicą jako poeta, tłumaczony między innymi na język francuski, japoński, litewski, niemiecki, rosyjski, zauważony jako autor tomu opowiadań *Szczęście i inne prozy* (2007), przełożonego na angielski, czeski i słowacki. Jego ostatnie dwa tomy poetyckie, zwłaszcza *Muzeum dzieciństwa* (2011), są po prostu znakomite! Za tę książkę (o której pisałam), przetłumaczoną na hiszpański, był nominowany do aż dwóch nagród: Warszawskiej Nagrody Literackiej i nagrody „Orfeusz”, przyznawanej co roku w Muzeum Gałczyńskiego – dawnej leśniczówce Pranie – przy naprawdę silnej konkurencji. *Suplement* (2016), stanowiący bezpośrednią kontynuację *Muzeum dzieciństwa*, trzyma wysoki poziom pierwszej książki.

Po polsku i po czesku napisał i wydał monografię Vladimira Nabokova – drugiego, obok Pounda, autora, który dożyłotnio zawładnął wyobraźnią Leszka; tłumaczył go z języka angielskiego i rosyjskiego, każdy z tych przekładów opatrując dociekliwym posłowiem.

Ja, z mojej perspektywy, wspominam przedziwnie bliskiego i zarazem zdystansowanego człowieka, milkliwego przyjaciela, którego pogłębiający się z biegiem czasu introwertyzm i „wisielczy” humor – wyróżnik ostatnich tomów jego poezji – raczej oddalały od zachowań, które pojmujemy jako bliższą relację. A przecież właśnie Leszek – zmieniony do niepoznania, już alarmująco wychudzony, z trudem chodzący – uparł się, żeby dotrzeć z Brwinowa na moje „jubileuszowe” spotkanie autorskie w ubiegłym roku! To wtedy widziałam Go po raz ostatni.

Lata osiemdziesiąte to czas ożywionych kontaktów Leszka z poetami, pisarzami czeskimi, zwłaszcza z tłumaczem poezji polskiej na czeski, Václavem Burianem, także poetą, redaktorem i wydawcą ważnego pisma literackiego, którego tytuł umyka teraz mojej pamięci. Václav, dla przyjaciół i znajomych Vaszek, zafascynowany był w szczególności poezją Czesława Miłosza, którą systematycznie przekładał i publikował, najczęściej w „swoim” piśmie. Ta okoliczność sprawiała,

że więź między Leszkiem a Vaszkiem i jego współpracownikami redakcyjnymi zacieśniała się coraz bardziej, zwłaszcza w zadymionej od liczby wypalanych papierosów atmosferze Ponorki – znanej artystycznej knajpy w Ołomuńcu. Z czasem Leszek otrzymał propozycję gościnnych wykładów o literaturze polskiej na tamtejszym uniwersytecie, coraz głębiej wchodząc w środowisko artystyczne, naukowe i dziennikarskie tego miasta, a także Pragi. Znajomość filmu, języka, literatury czeskiej i zaangażowanie w stosunku do wybrańców, zwłaszcza poetów, miało go doprowadzić z czasem do ułożenia prawie sześćsetstronicowej antologii współczesnej poezji czeskiej *Maść przeciw poezji*, wydanej w roku 2008 przez Biuro Literackie. Zaprzyjaźnił się z poetą Petrem Mikešem, anglistą z wykształcenia, z którym godzinami potrafili roztrząsać „zagwozdki” przekładu poetyckiego z języka angielskiego na czeski, polski i odwrotnie. Wspominam o tych szczegółach, bo właśnie w tym czasie, wczesną jesienią roku 1985, dane mi było – dzięki Leszkowi – wtajemniczać się w rytmy i muzykę „czeszczyzny” w towarzystwie Ivety Mikešowej, polonistki, tłumaczki literatury polskiej i żony Petra Mikeša. Iveta – szczęśliwa, że poetka, której wiersze zaczęła tłumaczyć, mogła osobiście wyjaśniać jej niezrozumiałe kwestie – mając mnie „pod ręką”, zaprzęгла mnie natychmiast do intensywnej współpracy. Skorzystały na tym obie strony, bo wyjeżdżając z Ołomuńca, mówiłam już trochę po czesku. Nie podejrzewałam wcześniej, że muzyczność i rytmy tego języka zrobią na mnie tak duże wrażenie.

Przyjechaliśmy do Ołomuńca z Leszkiem, jak pamiętam, na tydzień. Formalnie zaproszona – przez partnerskie z „Literaturą na Świecie” „Literárne Noviny” w Pradze – byłam tym razem ja. Ten akurat obyczaj i przywilej tak zwanej wymiany kulturalnej między pismami literackimi w „demoludach” bardzo mi się podobał. Leszek zaś, prawie już bywalec – a na pewno teraz mój *cicerone* – na Morawach i w stolicy Czech, towarzyszył mi, przecierając szlaki. Każdy wieczór ołomuniecki, obficie zakrapiany dobrym winem, spędzaliśmy w innym domu, oglądając ukrywane w „pożyczonych” okładkach *samizdaty*, z których dumni byli gospodarze. Czescy przyjaciele z kolei czekali na opowieści o naszych doświadczeniach, o sposobach radzenia sobie z cenzurą, owocnej w tamtym czasie współpracy z Kościołem; niewątpliwie byliśmy wówczas dla nich krzepiącym, sąsiedzkim wzorcem, przy całej świadomości odmiennych sytuacji i historycznych uwarunkowań.

Z Ołomuńca, planowo, udaliśmy się do Pragi, gdzie miałam zabukowany hotel. Leszek nocował u znajomego pisarza czy dziennikarza, zatrudnionego obecnie jako palacz (co było, jak dało się zauważyć, nagminnym zajęciem źle widzianego przez władze literata czy po prostu inteligenta). A potem spotykaliśmy się i ruszaliśmy witać się z Pragą, z olśniewającym gotykiem i barokiem jej architektury, z mostem Karola, Złotą Uliczką, z potężną sylwetą zamku na Hradczanach i innymi niezapomnianymi cudami tego miasta. Słabo pamiętam naszą wizytę w „Literárnych Novinach”, gdzie Leszek przesłał wcześniej swój przekład dwóch czy trzech wierszy oczekiwanego gościa i stosowną o nim notę.

Przed powrotem do kraju miałam dla Leszka niespodziankę: zaproszenie na spotkanie z ambasadorem Meksyku w Pradze, znakomitym pisarzem i tłumaczem literatury polskiej, Sergio Pitolem. Sergia znałam od lat z Warszawy, dokąd zjechał jako stypendysta, żeby nauczyć się języka i tłumaczyć – głównie Gombrowicza, Andrzejewskiego, Brandysa. A teraz byłam świadkiem, jak słuchając nas podczas obiadu, Leszek połyka bakcyła hiszpańszczyzny...

W „Literaturze na Świecie” zajmowałam się w szczególności działem literatury hiszpańskojęzycznej. Właśnie przygotowywałam do druku numer poświęcony twórczości pisarek latynoamerykańskich, całkiem nieznanych w Polsce, a bardzo interesujących. Ku memu zdziwieniu Leszek pojawił się przede mną z propozycją przekładu wierszy dwóch czy trzech współczesnych poetek kubańskich, które sobie wybrał, obiecując przedstawić mi tłumaczenia do akceptacji, ewentualnie prosząc o językową konsultację. Oczywiście zgodziłam się, z ciekawością, jak sobie poradzi. Rezultat artystyczny tego debiutu przekładowego z hiszpańskiego, języka, z którym do tej pory Leszek nie miał do czynienia, przeszedł moje wyobrażenia. Wiersze wybitnych poetek kubańskich: Dulce Maríi Loynaz, Zoé Valdés i Nancy Morejón, przedstawione w numerze 11/12 „Literatury na Świecie” z 1989 roku, stanowiły jego ozdobę i zasłużyły na moje gratulacje.

Ale to był dopiero początek translatologicznych wyczynów Leszka związanych z językiem hiszpańskim. Ostatni numer pisma (12, 1993), którym żegnałam się, przymuszona, z pracą w nim na etacie, był zdominowany przez prezentacje twórczości poetyckiej i eseistycznej Octavio Paza (już po uwieńczeniu go Premió Nobel), ale także niezwykłego poety argentyńskiego, Roberto Juarroza. Na kolej-

nej stronie widniał tytuł „*Meksykański Feniks*” – rzecz o Sor Juanie Inés de la Cruz – genialnej poetce i dramatopisarce meksykańskiej, „do szpiku kości barokowej”, co pisze o niej w swojej prezentacji nie kto inny jak Leszek Engelking. Po tym wstępie następują *Trzy Sonety* autorstwa Sor Juany, wykształconej, utalentowanej i pięknej kobiety, która uciekła w życie zakonne, by móc tworzyć, przetłumaczone z niebywałą wirtuozerią przez Leszka. Wiedziałam, że Leszek lubuje się w cyzelowaniu form: sonetu, decymy, sestyny i innych. Dążąca do doskonałości, oparta na grze oksymoronów poezja siedemnastowiecznej, meksykańskiej mniszki, „leżała mu”, jak żadna. Wystarczy posłuchać, przeczytać:

Przeź na mnie, Świecie, wylewasz swe złości?  
Czym cię obrazam, wszak pragnę jedynie  
Pogrążyć piękność w myśli mej głębinie,  
A nie myśl moją w głębinie piękności?

Leszek zadał sobie trud przeczytania nieprzetłumaczonej na język polski znakomitej książki Octavio Paz’a *Sor Juana Inés de la Cruz o las trampas de la fe* (*Sor Juana Inés de la Cruz albo Pułapki wiary*), w której meksykański noblista stwierdza, że niektóre z wierszy tej poetki mogą iść w zawody z najdoskonalszymi dziełami pisarzy języka hiszpańskiego.

I wreszcie, eskalacja tego zdobywania szczytów w przekładzie poezji... tym razem Federica Garcíi Lorki, we własnym wyborze. To prawda, lata temu napomykał, że będzie chciał „zrobić” swojego Lorkę. I zrobił go. I lepszy jest od Lorki Ficowskiego, na którego stawiałam do tej pory. Bo Irena Kuran-Bogucka, ta zakochana w Lorce i Albertim pilna uczennica, tłumaczka i graficzka, nie umywa się do Lorki Engelkinga. To jego asonanse tańczą, śpiewają, stepują! To jego luna, nie jej księżyc, przed chłopczykiem w kuźni, „ramiona unosi / i swe piersi z twardej cyny / lubieżnie czysta odsłoni”.

W swoim krótkim pożegnaniu ojca na Facebooku Wojciech Engelking nie wspomniał słowem o jego dokonaniach oryginalnych w poezji. To prawda (?), że „niszowe” tomiki poetyckie, choćby i nagradzane, tłumaczone na języki obce, nie wytrzymują porównania z ciężarem „poważnych” dysertacji naukowych, jakie ma na swoim koncie doktor habilitowany Leszek Engelking, takimi jak *Surrealizm, un-*

*derground, postmodernizm. Szkice o literaturze czeskiej* (Łódź 2001) czy *Chwył metafizyczny*; *Vladimir Nabokov – estetyka z sankcją wyższej rzeczywistości* (Łódź 2011), by ograniczyć się tylko do zacytowania tych dwóch tytułów studiów Leszka.

Na czym polega tajemnica niepodrabialnego uroku wierszy, przynajmniej z trzech ostatnich tomów, w których poeta uprawia swoiste rytuały wspomnienia miasta swojego dzieciństwa? Wspominania czy śnienia? Widmowość przywoływanych obrazów jest nie tyle rekonstrukcją, co kreacją, która z kolei ma walor rekompensaty – za utracony autentyk, nie do odzyskania, a jednak jawiący się w teatralnej wielości pantomin, dialogów, rozgrywany w rytmicznym stopniowaniu wymyślonych ni z tego ni z owego sytuacji, nazw, kolorów, jak to się dzieje na przykład w wierszu *Mleczarz*, rozwołujący „czarne mleko” („w nocy każde mleko czarne... w nocy każde skrzynki czarne”). Najważniejszym jednak bodaj walorem tej osobiwej – związanej ściśle z tą właśnie osobą – poezji jest w moim odbiorze humor, mieniący się odcieniami nostalgii, absurdu, zabawy z językiem, wpisanych w fundamentalny dramat utraty przeszłości, utraty sensu życia, skazanego na warianty utraty...

Poezji tak bogatej w znaczenia i sugestie nie wolno oddać na straty. Nie wolno jej przeoczyć, zubożając przy tym siebie.

Nie byłam na pogrzebie Leszka. Wspólna znajoma przekazała mi wiadomość o mszy w kaplicy, o spotkaniu potem w kawiarni. Nie padło słowo „cmentarz”, „pogrzeb”, o który zapytałam w telefonicznej rozmowie. Już po fakcie, kiedy dotarły do mnie relacje z tych kluczowych miejsc, zapytałam znajomą: dlaczego? Odpowiedź zabrzmiała zadziwiająco, choć zrozumiale: bo nie znoszę słowa „pogrzeb”, nie mogę nawet go wymówić.

Tak więc mój przyjaciel nie został pochowany. On nadal bawi się ze śmiercią w chowanego.

## PIOTR SZEWC

### Małe kawałki

Siedziała przy brudnym oknie gdy autobus skręcił  
z Lubelskiej w prawo wyjęła z torby bułkę odrywała  
małe kawałki i wkładała do ust jadła bez pośpiechu  
bułka kruszyła się i zasypała jesionkę gdy autobus  
tym razem skręcił w lewo w Powiatową bułkę właśnie  
zjadła wierzchem dłoni wytarła usta i strzepnęła okruchy  
przeżegnała się bo mijaliśmy kapliczkę przetarła zaparowaną  
szybę i odwróciła się do siedzącej za nią kobiety takam  
głodna była powiedziała ale silnik pracował głośno  
i nie wiadomo czy ktokolwiek poza mną ją usłyszał

2023

### Trzy lub cztery krzyżyki

Jakieś pismo wiejskie urzędowe ważne  
trzeba je przyjąć do wiadomości czyli  
podpisać no więc rozsiada się wygodnie  
wpatruje w papier zaciska w palcach  
długopis wreszcie powoli koślawą kreską  
po kresce stawia trzy lub cztery krzyżyki  
czyli imię i nazwisko od tej pory niech się  
dzieje co chce ja obok już umiejący czytać  
i pisać moje okrutne wścibstwo musiało być  
nieznośne ale ona starsza od babci udawała

że go nie dostrzega może nawet było jej obojętne  
o czym teraz myślę z ulgą tak reagować mogła  
mądra kobieta

2023

## Rzeczy poważne

Choćby nie wiem jak bardzo był głodny  
do stołu dziadek zasiadał ceremonialnie  
rzeczy poważne na przykład talerz zupy  
wymagały szacunku zawsze miał czas  
by chleb pokroić w kostkę poczekać aż  
rozmięknie skórka zupa trochę się ostudzi  
a sprawy dnia powszedniego przez chwilę  
stężeją i nabiorą właściwego sensu za drzwiami  
świat trwał w znajomej przemianie kłosiła się  
pszenica ciepły wiatr podnosił pierwszy pokos  
siana Kasztan przy żłobie w stajni siekł ogonem  
bo muchy jak to latem nie dawały mu chwili  
wytchnienia

2022

## Gdzie indziej

Głupio odchodzić z pustymi rękami poza tym  
wszystko może się przydać powiedziała babcia  
i do brązowej torby z którą jeździłem do Lublina  
włożyła miętowe landryny co z listami od Wandy  
nie mogę ich znaleźć a czy tam spojrzała w górę  
odnajdzie się zapach domu w Kornelówce głos

mojej mamy gdy mnie z ganku wołała Fredzia  
nie wiem babciu odparłem choć chyba myślami  
była już gdzie indziej rozchyliła firankę za oknem  
stał goły krzak bzu zdarła z kalendarza kartkę jakby  
tak mogła tę chwilę przyspieszyć

2 grudnia 2021

## Karmiliśmy się słowami

A na co dzień chociaż nikt z nas tego nie wiedział  
karmiliśmy się słowami przybywały wezbraną falą  
babcia na przykład z przejęciem opowiadała co w czasie  
długiego snu robiła z ciotką Wandą i dlaczego sen więcej  
ukrył niż wyjawiał albo gdy wieczorem Bilowie rozsiedli się  
w kuchni przed telewizorem warstwa po warstwie skiba  
po skibie odkrywali co było przed wojną to znaczy wczoraj  
dużo słów dłubania w słowach szukanie zakończenia które  
akurat się zawieruszyło a przecież żadnego w tej obfitości  
nadmiaru ani pocieszenia ponieważśm zostawaliśmy  
ze szczelinami każde z nas je wypełniało lub zostawiało  
otwarte

2022

## Gromnica

Tak leje że stodoły nie widać strach patrzeć  
powiedziała babcia w kuchni pociemniało  
i zrobiło się inaczej niż zwykle za uchyloną  
fajerką piec oddychał płomieniami a drewno  
cichutko wypowiadało ostatnią wolę grzmot  
szedł za grzmotem błyskawica za błyskawicą

zgasła żarówka i umilkło radio zapalę gromnicę  
zdecydowała babcia poculiśmy ulgę a ja rozsunąłem  
na parapecie doniczki żeby zrobić miejsce dziadek  
przyłożył do knota zapalę wtedy zniknął mój lęk  
przed końcem świata odetchnął kalendarz dom koty  
nakręcany zegar wszyscy mogliśmy dalej płynąć  
przez czas i burzę

2022

## Późny wieczór

Najpierw było mniej codziennego gadania  
w oborze sennie muczały wydojone krowy  
jedenaście kotów chleptało ciepłe mleko  
a do wilgotnych ramion kleiły się owady  
ciemniało późny wieczór rozlewał się od podwórka  
po jabłonie sąsiadów za chwilę miał nas okryć  
czarnym kożuchem jeszcze bym się napił  
powiedział dziadek i esencję herbaty uzupełnił  
wodą z czajnika żeby przypomnieć która już  
godzina do szyby zastukała stróżka ćma babcia  
sprawdziła czy ogień wygasł Boże westchnęła  
podniosłem oczy znad powieści *Witraż* przez krótką  
chwilę czas i miejsce zamieniły się miejscami  
nasz dom po komin noc zalewała żywicą

2022

## Szerszenie

Dobre sobie miejsce wybrałyście  
gdy wasz szary podobny do misy  
dom zawisł pod dachem w kącie  
sieni przez chwilę zrobiło się strasznie  
kiedy to było może późny Gierek  
zapowiedź spełniła się sprawiedliwie  
nie ma was i nie ma nas jakby silny  
wiatr wymiółł zakamarki zgasił w piecach  
ogień i uciszył rozmowy w oknach  
obok zakurzonych firanek pajęczyna  
teraz ciemność strzeże tego miejsca  
nocą na szybach zostawia liście mróz

2021

## Łupina

Tego dnia jak co roku znosiliśmy  
ze strychu metalowy trójnóg moje  
znajome czerwone szyszki zielone  
szklane sople i potargane włosy  
anielskie ale porozchodziliśmy się  
bez do widzenia dom został jak wydrążona  
łupina wyschły pelargonie wystygła  
na piecu płyta przeciągam palcem  
po białej gałązce w grudniowym słońcu  
szron sypie się i pobłyskuje łowię dla was  
iskierki żebyście mieli jaśniej

2021

## JERZY PLUTOWICZ

### Sen o sąsiedzie

Obudź się – nad ogrodem dzieciństwa szybuje  
martwa jaskółka. Ścieżka prowadzi w głąb

świata – na zawsze stroma i kręta. W przybliżeniu,  
a może oddaleniu, płamisz dłonie rdzą ze sztaby

na okiennicy. Zatrzymasz się w pół zdania,  
zaczerniesz deszczówki z beczki, by ugasić

nieziemskie pragnienie. Czy przeniknie twoje  
ciało czas dziania się? Czy odważysz się

zapukać do świeżego muru w miejscu drzwi?  
Czy to odwieczny zły sąsiad nawiedził twój

umysł? W ślad za tobą zakołysał gałęzią  
zmiernych, dopędził swój cień, ukląkł przed

progiem, złamał słowo aż do żywego rdzenia.  
Przejrzał, przyjrzał się w krzywym zwierciadle.

Ze szczeliny w podłodze wyłuskał kropelkę  
rtęci albo odłamek amfory – niezniszczalny

element wszech-rzeczy. Wsłuchał się  
w milczenie domu. Czy zanuci na poczekaniu

choćby kilka taktów muzyki, muzyczki  
trwania – okruchu wiecznego teraz?

## Mit jesieni

To był znak – uschnięta gałąź jabłoni  
z sadu nieopodal starego jak świat

domu. Co oznacza promień światła,  
który przeciął szlak cieni u schyłku

dnia? Co oznacza martwy kamień  
obok schodka werandy – jak gdyby

dom zbudowano po omacku, bez  
słowa. Martwy klucz, który obracasz

w palcach – jak talizman. Martwa  
przestrzeń, którą wypełnia przedmiot

za przedmiotem. Przedmiot za  
przedmiotem – aż po niedościgłą

linię horyzontu. Jeszcze zdążysz  
zanucić mrużankę, kołysankę; we

śnie zajrzeć do wnętrza rzeczy, do  
wnętrza zdarzenia.

## Elegia obrazu

Chęłpisz się wiary-godnym obrazem.

W martwym czasie snujesz pajęczynę

opowieści. Nożem do rozcinania koperty

– z listem od Śmiertelnika – zaznaczysz

w powietrzu punkt wyjścia, szlak

drapieznika. Wywrócisz wszystkie

szuflady; sprawdzisz, opukasz każdą

szczelinę podłogi w pokoju stołowym,

każde odbicie w głębi lustra.

Wsluchasz się w odgłos kroków: oto

z sieni nadchodzi kuglarz, wesołek.

Wyciąga z ust wstęgę bandaża.

Z ucha – kostkę do gry w zabijanie

sąsiada. Z oka – coś znaczy oko, gdy

mościsz kryjówkę dla ocalenia

w domu bez ścian. Ten magik ogłasza

niezawisłość.

## W czasie przeszłym

Kto uchylił okno, kto zbliżył twarz do

szyby? W mroku sieni żarzy się niedopałek

słowa. Czyżby pająk wysnuł opowieść o

smutku zmarnowanego dzieciństwa?

Kto wetknął rękopis pod nóżkę kredensu?  
We śnie dzieje się misterium zapomnianej  
rzeczywistości. Kto wspina się schodami,  
jak gdyby ścigał swój cień? Czy to przybysz,  
który pragnie sensu zdarzeń z przeszłości?  
Na blacie biurka zadrżała amfora,  
powierzchnia napoju bogów odbija  
narodziny światła. Nie próbuj zaprzeczyć –  
światło rodzi się tylko w obecności Innego  
samotnika.

4 września 2022

## WALDEMAR KONTEWICZ

### Miasto

Bycie mieszkańcem Miasta – to powinność.

Powinność to codzienność budowana na fundamencie sprawiedliwości, na kompromisach politycznych i religijnych, na pragmatyzmie pomnażania wspólnego dobra, na krytycznym rozumieniu siebie.

Bycie mieszkańcem Miasta – to powołanie.

Powołanie to romantyzm akceptacji Innego. To wejście w świat, który swą egzotyką może zaskoczyć każdego bez zmyślenia, braku wiedzy, negatywnych stereotypów.

Bycie mieszkańcem Miasta – to perspektywa.

Perspektywa to pragmatyzm i romantyzm jednocześnie. Będąc w Olsztynie, tęsknić za Toronto, przyjeżdżając do Toronto, marzyć o Olsztynie. Część tego tułactwa to bycie Innym, czucie Jego oddechu za plecami.

Bycie mieszkańcem Miasta to – odpowiedzialność.

Odpowiedzialność to doświadczenie, którego nie nauczysz się w szkole, to w pewnych zaułkach świata zjawisko społeczne, odśrodkowy humanizm przenikający każdą duszę.

Bycie mieszkańcem Miasta – to podniebna podróż.

Podniebna podróż to kompozytowy ptak na ikarowych skrzydłach lecący na spotkanie z *Amicus Mundi*.

# Koliber

## *Ptak*

Z ukrytej za Atlantykiem klatki  
ulatnia się impresja kolorów  
Chcę uszczknąć jej sekundę  
zanim wchłonie ją kosmiczne vacuum

Ornitologiczna *Strojność*  
rodem z Północnej Ameryki  
rozszczepia boskie światło  
na turkus kępiastej funkcji  
Sączy wczesnym popołudniem  
brzoskwiniowy aromat Niagary  
Rozpyla cynobrową wonność  
po 7 pm nad jeziorem Ontario  
A kiedy przychodzi czas na sen  
dyfrakcja fal nad Georgian Bay  
plącze marzenia z rzeczywistością

## *Radio*

Z ukrytej za sklepową ladą półki  
unosi się kakofonia dźwięków  
wędrujących pomiędzy fruującym logo  
a chmurą krzemowych tranzystorów  
w plastikowych skrzynkach

Na trawiastej plaży jeziora Rożnowskiego  
przekręcając pięćdziesiąt lat  
skrzydełkiem potencjometru  
odzyskamy chłopięcy Sen o Warszawie  
wirtuozerię gitary z Sambą dla Ciebie  
i list w kopercie Ostemplowany pocałunkiem

### *Książka*

Kiedy wydaje się że wyobraźnia  
nie zdoła wykrzesać z pamięci  
żadnego introligatora ratującego  
butwiejące książki w zamkniętej  
księgarni na Jagiellońskiej

Trafia się wtedy komiwojażer  
z juchtowym workiem pełnym  
miniaturowych opowiadań i powieści  
z lewitującym trzmielikiem na okładce

Mississauga, 28 listopada 2022

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

## Widnoksiąż (12)

2012

Skończyłem lekturę wyznawczej książki Daniela Grubera (Kraków 2012) *Kopernik i Żydzi*. Co prawda mój ateizm (mistyczny, bo zachowuję doświadczenie Transcendencji) rośnie z wiekiem oraz w miarę obserwacji tego, co dzieje się w Polsce i na świecie (z religiami-religiami i religiami-ideologiami), ale nadal fascynują mnie religijne biegi ludzkiej myśli, w tym przypadku pobudzający do myślenia manifest religijny autorstwa nacjonalisty żydowskiego, wyznawcy i Jezusa Mesjasza, i Boga Jahwe (święte nauki Starego i Nowego Testamentu ujęte razem: Tora plus Ewangelie), głosiciela świętej misji państwa i narodu izraelskiego. Autor naucza, że Jezua-Jesus-Mesjasz przyszedł z ewangelią do Żydów, został ukrzyżowany dla zbawienia Żydów (a nie pogan), wróci w chwale, a misją Izraela i Jezusa jako Izraela (to synonim) jest zebranie wokół siebie tych ludzi (czy te narody), którzy uznają Jahwe za Jedyne i Żywego Boga Abrahama, Dawida i Jezuy. To posłanie Grubera odrzucają Izraelczycy, Żydzi, chociaż chrześcijanie również, lecz mniej apodyktycznie, jeśli nie utożsamiają swojej religii z instytucjonalnym Kościołem rzymskokatolickim: sama Biblia przecież nic nie mówi o Kościele!!!

Cytaty:

„Gdy Bóg Biblii mówi o swoim ludzie, ma na myśli naród izraelski. [...] Niektórzy poganie pragną uciec przed rzeczywistością Bożego wybrania Izraela, ponieważ uważają, że to czyni z nich obywateli drugiej kategorii. Nie rozumieją, że Bóg stworzył Żydów po to, by przyprowadzić pogan z powrotem do siebie. [...] Ci, którzy myślą, że Bóg odrzucił Izrael za jego niewierność, a w zamian wybrał ich, sami się oszukują. [...] Każda chrześcijańska teologia jest uformowana na bazie twierdzenia, że chrześcijanie zastąpili Żydów jako lud Boży. Teologia islamska czyni muzułmanów ludem Bożym. Żadne z powyższych twierdzeń nie jest prawdziwe – obydwa są beczelną próbą »kradzieży tożsamości«. [...] Bez Żydów nie ma zbawienia dla

nikogo, nie tylko w przeszłości, lecz również i teraz. Bóg dał Żydom i tylko Żydom, wszystko to, co jest niezbędne do zbawienia. Poganie mogą zostać wszczepieni, aby uczestniczyć w tym wszystkim, lecz nie mogą tego odebrać. Dobra nowina jest »mocą Bożą ku zbawieniu«, a zbawienie pochodzi od Żydów”.

W Jerozolimie, stolicy świata, koniec końców zwycięży Żydowski Kościół Mesjanistyczny (Chrystusowy). Co prawda Izraelici nie upowszechniali swojej religii, mając na uwadze to, że judaizm jest religią zarówno wybranego narodu, jak i wybranej ziemi. Uniwersalny mesjanizm izraelski głoszony przez Grubera jest czymś wyjątkowym: nowa ewangelia dla pogan. Głos na pustyni, to pewne.

Lubię czytać takie frenetyczne księgi wyznawcze poparte autentycznym doświadczeniem, przeżyciem, przemyśleniem. Nawet jeśli są nikczemne? Niekoniecznie: *Mein Kampf* Hitlera nie interesuje mnie zupełnie (opatrzone słowem krytycznym także), to brudna bomba absolutnej pogardy i nienawiści.

\*

Emmanuel Carrère, *Limonov*, P.O.L., Paris 2011.

Eduard Limonow (wł. Eduard W. Sawienko, rocznik 1943, syn oficera NKWD) – poeta, pisarz, dziennikarz, polityk; jedna z najbardziej barwnych, okropnych, cynicznych postaci z kręgu współczesnej kultury rosyjskiej; wyznawca skrajnie bolszewicko-szowinistycznych poglądów. Francuski autor (znający język rosyjski: to umiejętność po matce pochodzenia gruzińskiego, sowietolożce prof. Hélène Carrère d’Encausse) słusznie w zakończeniu zauważa, że „pokonał” go sam prezydent Putin, który rozumując podobnie jak nasz bohater, jako funkcjonariusz komunistycznej KGB osiągnął (wspólny) cel najwyższy: stanowisko prezydenta Rosji (co prawda na początku ukrywając swoje poglądy, że upadek ZSRS to największa katastrofa XX wieku). Temu podpułkownikowi szpiegów w NRD udało się: został „patronem” sowiecko-imperialnej nostalgii.

Świetnie napisana rzecz z każdego punktu widzenia/oceny: formalnego i treściowego. Biografia udokumentowana, która jest esejem, dziennikiem, reportażem. Ton osobisty jest podkreślony, i słusznie. Takie hybrydy gatunkowe cenię, sam piszę wiersze hybrydowe: reportersko-eseistyczno-liryczne. Sam Limonow jako bohater jest fascynujący i odrażający, a więc z zasady „rosyjski” (jak z prozy Dostojewskiego). Może pewnym odbłaskiem takiego „limonowania” mógłby być w naszej literaturze Mariusz Wilk, ale nie przejawia on już ambicji politycznych „na

zesłaniu na Północy Rosji”, którą mitologizuje, nie zapominając o mitologii własnej „ustawionej medialnie” osoby. Limonow jest brudnym, mistycznym faszystą (słowińskim?), Wilk jest rasowym reporterem autobiograficznym, przekonującym aktorem jednego teatru, daleko mu do nieustannej erekcji-eksplozji jurodiwego męta (aczkolwiek Wilk jurodiwym chciałby się stać, nawet na pokaz). No i jeszcze ta polityka, na którą choruje niebezpieczny i żarliwy Limonow!

Chuligan sowiecki, poeta, oryginał, męt społeczny w Charkowie, aktywista podziemia literackiego w Moskwie, dysydent wyrzucony ze Związku Sowieckiego – postać niebanalna i wcale niebagatelna! Nienawidzący Brodzkiego, Sołżenicyna, a wielbiący Lenina, Stalina i Hitlera, a przede wszystkim siebie jako kreatora – natura szeroka, odrażająca, jasnowidząca i nihilistyczna rodem z Biesów. Na wygnaniu w USA doświadczył niewiarygodnego poniżenia („biały murzyn”), miał się różnych zawodów, prowokował obyczajowo, został autorem szalonej autobiografii, która odniosła sukces międzynarodowy. Wyjechał do Francji, dostał obywatelstwo w 1987, od 1989 zaczął podróżować do ojczyzny proletariatu, która zaczęła się sypać. W intencji ratowania Rosji założył Partię Narodowo-Bolszewicką typu wodzowskiego. Pojechał powalczyć po stronie Serbów. W każdym razie daje się sfotografować w pozycji strzeleckiej. Nadczłowiek przepuszczony przez niewolniczą mentalność sowiecką, rosyjską, autorytarną – ujawniane pokręcone kompleksy i ambicje, które fascynują kulturalną Francję, gdzie znaczny sukces odnoszą fikcyjno-autobiograficzne opowieści o społecznych i psychologicznych perwersjach, pedofilii, kazirodztwie i znużeniu seksem. Gdyby Hitler został malarzem, hitleryzmu by nie było. Gdyby Stalin został prawosławnym biskupem, stalinizmu by nie było. Gdyby Mussolini został wziętym literatem, faszyzmu by nie było. Kto wie? Ale każdy z nich dostawał, jak ich wyobrażony kraj stron rodzinnych, mocno w dupę od Boga-Ojca. A Limonow? Też dostawał w dupę, też był poniżany, a poniżenie toросло namiętnie w poniżenie ojczyzniane przez (realnych i wymyślonych) wrogów. Najmniej okrutny był Mussolini. Dlaczego? Bo Włochy, w odróżnieniu od Niemiec i Rosji, nie są państwem apokaliptycznym. Wielkość, do której tam dążono, czyli do powtórki imperialnego Rzymu, rozmyta została brakiem instynktu zadawania śmierci i nieobecnością boskiego kultu wroga-ofiary.

Niczym się niewyróżniający Putin apokaliptycznemu Limonowowi zabrał sławę, władzę, zemstę za historyczno-metafizyczną krzywdę (upadku mocarstwa),

a przecież Limonow byłby lepszy na tym stanowisku despoty (groźniejszy, straszniejszy, mniej skorumpowany: uzbrojony święty apokalipsy?).

\*

Pierre Guyotat, *Formation*, Gallimard, Paris 2007; powieść autobiograficzna. Urodzony w 1940 roku autor kontrowersyjnych i mocnych, nie tylko obyczajowo, powieści z pogranicza faktu, kreacji, biograficznych świadectw: życiopisanie.

Matka urodziła się w Czeladzi koło Sosnowca (miasto fabryczno-górniczne) w 1907 roku we francuskiej rodzinie kapitalistów (ojciec dyrektor fabryki). Poznała język polski i do końca życia uczuciowo związana była z Polską. Ojciec przeszedł na emeryturę w 1930 roku, rodzina wówczas powróciła na stałe do Francji. Przybliżone tłumaczenie: „Moja matka kocha i zarazem boi się tej Polski, której językiem posługuje się swobodnie. Opowiedziała nam nieco o tragicznej historii tego kraju od czasów końca Jagiellonów, wspominała odwagę tego narodu, oraz dziwactwa systemu monarchii elekcyjnej, także o władzy i beztrosce arystokracji, o jej arogancji społecznej... Polubiła język polski, krajobraz polski, wsie polskie, lecz główne uczucie, jakie ją nawiedzało, jeśli chodzi o ten naród – a był on usytuowany między Niemcami a Rosją i zawsze miażdżony – to przerażenie jego losem oraz jego »odśrodkowością« od tego, co dla niej było sercem Europy rzymsko-chrześcijańskiej, od tej strefy absolutnego bezpieczeństwa [...], poza którą wszystkie okrucieństwa zdają się możliwe, monstrualne, radykalne...” Zainstalowanie w takim rzymskokatolickim kraju – odsuniętym od środka chrześcijaństwa – komunizmu jeszcze bardziej wzmocniło to „przekleństwo” położenia poza centrum rzymskokatolickim. Po drugiej wojnie światowej nie mogła ścierpieć języka niemieckiego, chyba że w operze, stała się też filosemitką.

Chłopiec w wieku siedmiu–ośmiu lat dziwił się, że Niemcy ponownie pojawiają się jako artyści, pisarze, dziennikarze. Jakby się nic nie stało: „...słuchając radia, w którym głos zabierali Niemcy, poprosiłem matkę, aby mi wytłumaczyła, jak można się ośmielić mówić po niemiecku, kiedy tym językiem mówili kaci Europy, w języku tych, co zabili jej najmłodszego brata – naszego wielkiego brata...”.

Paul Celan, ocalały z Holocaustu, pisał swoje mroczne wiersze o Zagładzie w języku katów – po niemiecku, mimo że jego matka została zamordowana przez ludzi mówiących tym językiem. W pewnym sensie zdradził matkę, co wzmagało w nim samodestrukcję i załamanie lingwistyczno-metafizyczne. Śmierć przyszła z Nie-

miec i mówiła po niemiecku. Adorno pytał, czy po Auschwitz można pisać poezję. Powinien zapytać: czy można po Auschwitz pisać poezję w języku niemieckim. Widać, że można. A w rosyjskim po Gułagu? Szalamow w tym języku wystawił świadectwo prawdy o ludziach, których zabiło wielopiętrowe kłamstwo. Od mowy nie ma ucieczki w milczenie. Tak i nie.

STEFAN CHWIN

## Dziennik 2023 (3)

Sobota, godzina 13.47. Dzisiaj wiatry z południowego zachodu

Właśnie dostaliśmy e-mail od Sławomira S. Oto 16 grudnia 2022 roku rosyjska rakietą KH-55, po bezkarnym przelocie nad połową Polski, spadła do sosnowego lasu dwanaście kilometrów od Bydgoszczy, ponad trzystutysięcznego miasta, gdzie znajduje się pięć jednostek NATO i Centrum Treningowe Połączonych Sił Zbrojnych. Jak pisze Sławomir S., rakietą może przenosić ładunki nuklearne o masie 200 kiloton, czyli trzynaście razy większe od bomby atomowej, która została zrzucona na Hiroszimę. Ma długość sześciu metrów i waży 1,7 tony.

Po otrzymaniu tej wiadomości zjedliśmy smaczną kolację i czerwone jabłko pokrojone w ćwiartki, które K. ładnie ułożyła na kobaltowym półmisku.

Potem czytałem przed snem Benjamina Constanta.

Jeśli chodzi o Gdańsk, to wiatry wieją zwykle od strony Bydgoszczy.

Wieczór jasny, księżycowy. Z okien naszego mieszkania widzimy redę gdańskiego portu, na której od jakiegoś czasu nadzwyczajny ruch statków – podobno dostawy dla płonącej Ukrainy. Pogoda piękna. Spokój. Niebo rozgwieżdżone.

Niedziela, godzina 16.28. Czytamy Constanta

K. znalazła gdzieś ładny cytat z Constanta. I teraz czyta go głośno z otwartej książki:

„– Wolność... to prawo podlegania wyłącznie ustawom, do tego, by nie móc być zatrzymanym, ani więzionym, ani skazanym na śmierć, ani w żaden sposób dręczonym wskutek samowolnej decyzji jednej lub wielu osób. To prawo każdego do wyrażania opinii, do wybierania sobie zajęcia i uprawiania go; do rozporządzania swoją własnością a nawet do jej trwonienia; do udawania się dokądkolwiek i powracania stamtąd bez pytania o zezwolenie i nie zdając sprawy ze swych motywów ani postępów. To prawo każdego do spotykania się z innymi, bądź po to, by rozprawiać o wspólnych interesach, bądź dla uprawiania kultu, który czło-

wiek ów lub ludzie z nim stowarzyszeni przedkładają nad inne, bądź po prostu do wypełnienia swych dni czy godzin w sposób najbardziej odpowiadający własnej skłonności lub fantazji. Wreszcie jest to prawo każdego do wpływania na sposób sprawowania rządów, bądź przez mianowanie wszystkich lub niektórych urzędników, bądź poprzez przedłożenia, petycje, prośby, które władze są bardziej czy mniej zobowiązane brać pod uwagę...”

– Biedny Constant... – mówię do K. – Wyobrażał sobie, że – mimo okropności Historii – światem rządzi jednak Człowiek Rozumny, którego można do czegoś przekonać, choćby pisząc mądre artykuły czy książki, tymczasem, jak mówi statystyka, osiemdziesiąt procent ludzi na całej Ziemi ledwie skończyło podstawówkę, i to z wielkim trudem, albo nawet nie skończyło jej wcale, a książek żadnych nie czyta i czytać nigdy nie będzie. Obraz świata mają z telewizji, która wbija im do głowy tępe zdania na paskach, żeby wiedzieli, co mówić i myśleć. Można się przerazić, zaglądając do tej Zbiorowej Głowy z jej przesądami, uprzedzeniami, majączeniami, nienawiściami, wściekłościami, naiwnościami i nieprzytomnościami... I pomyśleć, że to właśnie ta Zbiorowa Głowa przez szlachetny akt wyborczy ustanawia porządek w Polsce, w którym my musimy żyć...

K. na to: – Słuchaj, mój drogi, ty w swoim dzienniku nie wypisuj takich rzeczy. Pamiętaj, ich jest więcej niż nas, a większość ma zawsze rację. My powinniśmy Panu Bogu dziękować, że oni pozwalają nam jeszcze żyć i oddychać. Bo mogą z nami zrobić wszystko... i to najzupełniej legalnie! A poza tym każdy, kto chce wygrać wybory, dobrze wie, że musi słodko łąsić się do tej Zbiorowej Głowy, obojętne, jaka ona jest. Bo bez niej – ani rusz. Innego sposobu nie ma.

– No, ale ta większość, jak mówisz, ma tylko trzydziestoprocentowe poparcie. To znaczy, że tak naprawdę jest mniejszością.

– I co z tego, że jest mniejszością? Jak wygrywa, to znaczy, że jest większością. A takich jak my to ona mocno nie cierpi. I to jest istota sprawy.

Poniedziałek, godzina 15.09. Przyklejone rzęsy, kolczyk, przekłuty nos

Wracam z uniwersytetu. Przed dwudziestą jestem na przystanku autobusowym przy Manhattanie. Do odjazdu – jak pokazuje tablica świetlna – mam dwadzieścia minut. Podchodzę do zamkniętego kiosku z gazetami, by czas oczekiwania skrócić sobie odczytywaniem tytułów zza szyby. I wtedy obok mnie zjawia się pierwszy. Jest

niewysoki, kędzierzawy, młody, w kurtce z jakimś nadrukiem, wygląda na licealistę. Przez parę chwil przygląda mi się z bliska. Potem z uśmiechem mówi: – Pan nam kupi piwo. – Rozglądam się. – Ja? – Podchodzą następni. Jest ich trzech. Podobni do pierwszego. Szesnaście, siedemnaście lat. Wśród nich dziewczyna, potargana, strzępiasta, punkowa, czarnolakierowane paznokcie, powyciągany sweter, niebieskie szarawary. Patrzy na mnie zmrużonymi oczami. Ma przyklejone rzęsy. – Pan nam kupi piwo – powtarza pierwszy. – Piwo? – odpowiadam uprzejmie. – Powinniście sobie znaleźć kogoś młodszego, kto ma dużą forszę, nie kogoś takiego jak ja. – Pierwszy wybucha śmiechem, rzucając okiem na pozostałych: – Ale my nie chcemy od pana żadnych pieniędzy. – Jak to nie chcecie? – trochę się dziwię. – Ano, wcale nie chcemy. – Patrzy na mnie, śmiejąc się szczerze. Pozostali też się śmieją. – No to czego chcecie? – No chcemy, żeby nam pan kupił piwo. – Pierwszy wyrozumiale kręci głową. – Na co wam piwo? – Pochylam się ku nim. – Jak to na co? Żeby życie było ciekawsze i piękniejsze.

Czegoś podobnego dawno nie słyszałem, więc tylko wzruszam ramionami. – Ciekawsze i piękniejsze? Jak wy mówicie o ciekawym, pięknym życiu, to życie jest ciekawsze z ładną dziewczyną. Piwo do tego niepotrzebne. – Patrzę na dziewczynę, która się krzywi. – To jak pan był taki jak ja – pierwszy z lekka naciska – to pan nie pił piwa? – Nie piłem. Nie lubiłem. – Dziwne – mówi powoli pierwszy – bo my nie chcemy żadnych pieniędzy od pana. Przeciwnie. My damy panu pieniądze – mówi mocniej i głośnie. Inni podśmiewają się. Patrzę na nich. – I co dalej? – Po prostu pójdzie pan, tam, do tego sklepu, i kupi nam dziesięć butelek piwa. Bo nam nie chcą sprzedać. – Dziesięć? – Tak, dziesięć. – Powstrzymuję wybuch śmiechu. Że też się wybrali! Mam więc iść do sklepu i przytachać im dziesięć butelek piwa, żeby ich życie było ciekawsze i piękniejsze. Nieźle. – Nic z tego – mówię. – Panowie, dajcie spokój. Żadnego piwa wam nie kupię – dodaję z uśmiechem, bo zaczynam się z lekka niepokoić, czy nie oberwę od któregoś za odmowę.

Ale w tej samej chwili pierwszy odwraca się ode mnie, wzruszając ramionami, po czym ruchem głowy wskazuje przechodnia w wieku emerytalnym, który nadchodzi właśnie od strony przejścia dla pieszych przy Olimpie. – Chodźcie. Mamy następną ofiarę – mówi. A oni, porzucając mnie pod kioskiem, podchodzą do emeryta, który wygląda na dość przestraszonego. Odchodzę od kiosku na przystanek, nawet się nie oglądając. Poprawiam torbę na ramieniu. Po minucie autobus nadjeżdża. Wsiadam. Siadam przy oknie. Jadę na Morenę. Z okna widzę, jak otaczają emeryta, śmiejąc się.

Sobota, godzina 15.19. Rumienię się ze wstydu

Na wykładzie z historii kina mówię o tym, co Mefistofeles powiedział w *Fauście*. Że to brzmiało mniej więcej tak: – Ja jestem zło, które dobro czyni. – I głośno rozmyślam, co mogą znaczyć te tajemnicze słowa w sławnej sztuce Goethego. Potem mówię o *Raju utraconym* Milтона i obrazie szatana w tym angielskim arcydziele. Patrzę na nieruchome twarze w kolejnych rzędach. W ostatnim ktoś gra na komórce pod pulpitem stołu. Przez chwilę milczę, potem dość głośno pytam: – Kto z państwa czytał *Fausta*? – Odpowiada mi cisza. Nieruchome twarze. Wiatr za oknem. Cisza przedłuża się. Po paru chwilach unosi się jedna ręka. – Ja czytałam – mówi dziewczyna z przedziałkiem na czubku głowy. I nagle cofa wyciągniętą do góry rękę jak oparzona. Spuszcza wzrok. Czerwieni się aż po same uszy. Ze wstydu.

Patrzę na nią, czując w okolicach serca dobrze mi znaną gorzkość. – Rozumiem panią – mówię dość uroczyście. – Ja też czasem wstydzę się tego, że przeczytałam coś ważnego.

Przedemną dwadzieścia parę nieruchomych twarzy. Patrzę na dziewczynę. Jak na głupią.

Środa, godzina 21.06. Uprzejmie chwalę wojnę

Jesteśmy w tatarskiej restauracji przy Wyspiańskiego. My, Grażyna i Jerzy N. Jedzenie dobre, na ścianie ekran płaskiego telewizora z tańcami tatarskimi dziewcząt w tatarskich strojach, muzyka cicho brzęczy. I miła gadanina. A jak byliśmy w Niemczech to..., a jak byliśmy we Francji to..., a jak byliśmy w Szwajcarii to..., a jak byliśmy w Portugalii to... Sympatyczne ględzenie europejsko-podróżnicze napędza nas miłym ciepłem wzajemnego obcowania, ale ja powoli zaczynam przysypiać z leciutkiej, pajęczej nudy, która powolutku wpłwa między nas sekunda po sekundzie, więc nagle – ni w pięć ni w dziewięć – po tym, co powiedzieliśmy sobie właśnie o Ukrainie, zaczynam wygłaszać... pochwałę wojny.

Takie to sobie pisarskie ćwiczenie retoryczne robię na ich oczach. Że wojna popycha mocno do przodu cywilizację. Że przynosi wiele dobra. Że dzięki niej ludzkość się rozwija. Jerzy N. patrzy na mnie z lekkim zdziwieniem. – Ale jak tu sumować korzyści, o których mówisz, w końcu zginęło tyle ludzi... – Ma oczywiście rację, ale ja się rozpędzam, żeby pajęczą nudę rozgonić, więc ciągnę dalej uparcie, pod prąd, pod prąd! – Gdyby nie druga wojna – potrząsam głową – nie mielibyśmy dzisiaj ko-

mórek i laptopów, ludzie nie poleciliby w kosmos i nie byłoby tylu elektrowni atomowych na świecie, bo bez wojny atomu by dzisiaj nie było, a kobiety nie miałyby nylonowych pończoch, bo wszelkie te wynalazki, także sztuczne tworzywa... z rozpędu wojennego się wzięły. No i penicylina. Bez wojny też by jej nie było. Wyobrażacie sobie dzisiejszy świat bez penicyliny? – No, ale tylu ludzi jednak zginęło... – powtarza Jerzy N. – No cóż – wzruszam ramionami – to przykre, że tyle ludzi zginęło, ale w sumie jakie korzyści! Nie miałbyś dzisiaj ani komórki, ani laptopa. – Ja nie widzę bezpośredniego związku... – mówi niechętnie Jerzy N., przyglądając mi się z ukosa.

Ale mnie duch polemiczny cieszy. W sporze prawdziwie odżywam. Krew szybciej krąży. Dusza się rozjaśnia. K. jednak, niezadowolona z mojego gadania, przekłada znowu zwrotnicę naszej rozmowy na tory bardziej pastelowe. – Kiedy byliśmy w Moskwie to... Kiedy byliśmy na Węgrzech to... Kiedy byliśmy w Hiszpanii to... Wspominki podróżnicze dużo bezpieczniejsze. A ja – cóż? – przygasam, znowu przygasam, prawie ziewam, jeszcze chwilę, a będę ziewać na całego. Nie ziewać! – więc znowu wyskakuję ni w pięć, ni w dziewięć: – Mówcie co chcecie, ale PiS chyba jednak wygra wybory...

Te słówka niedbale rzucone rozżarzają ich od razu. Wielki marsz warszawski, co pół miliona ludzi na ulice wyprowadził, ostro ich podnieca. Byli na tym marszu. Oboje. Razem. – Cóż ty mówisz! Nie mogliśmy wejść do wagonów metra. Tyle ludzi! Tej fali się nie da już zatrzymać. A ty w telewizji mówiłeś... no wiesz... – krzywi się Grażyna N.

No tak, o marszu mówiłem w telewizji dość kwaśno, choć zaprosili mnie, bym coś optymistycznego ludziom przy kolacji powiedział. Przed wejściem do studia K. mnie poinstruowała: – Tylko nie mów nic smutnego... – Podczas występu przed kamerami aż się skręcałem, by nie powiedzieć nic smutnego. Nawet się uśmiechałem na wizji, co chyba zostało dobrze przyjęte. Bo że taki marsz był w ogóle możliwy, że tyle ludzi przyszło, bardzo się zdziwiłem. Taki marsz, największy od czasów wielkiej manifestacji antystalinowskiej na placu Defilad, którą pamiętam z roku 1956. – Ale to nie marszami na warszawskiej ulicy wygrywa się wybory! – chciałem krzyknąć do kamery, kiedy rozmowa poszła na żywo. – Wybory wygrywa się w Pcimiu Dolnym, nie na Krakowskim Przedmieściu! Więc do śmiechu powodów niewiele. – Ale co ty mówisz! – oburza się Grażyna N. – Tej fali nie da się zatrzymać! Pół miliona było. Całe pół miliona. I wszyscy uśmiechnięci. I to jak! Chociaż Wałęsa trochę głądził, to prawda! Ale tyle ludzi! Tyle!

Jeszcze w nich buzuje tamten uliczny entuzjazm, bo tam byli osobiście. Jeszcze ich to nakręca przy tatarskim stole. Bo jeżdżą i biorą udział. Ja też czasem biorę udział, ale coraz rzadziej. Stać w tłumie godzinę, dwie, to dla mnie ciężka sprawa. Szczególnie pod Pomnikiem Stoczniovców, gdy ECS zamknięty.

W poniedziałek, na wizycie w Szpitalu Marynarki Wojennej, spotykam byłego działacza opozycji antykomunistycznej, Edmunda K. Pochyla się ku mnie łaskawie: – Widziałem cię w telewizji. – Tak? – Dobrze mówiłeś. – Po czym dodaje: – Tylko trochę smutno...

Niedziela, godzina 22.23. Drony nad olchami

Niedziela, więc jedziemy za miasto na ogrodowy obiad do Oli P. Dom ładny, pod olchowym lasem, trzy stoły drewniane na strzyżonej trawie, słońce czerwcowe. K. siada przy stole, gdzie króluje Ola, ja siadam z Falskim i Andrzejem S. oraz Edmundem K. Najpierw gadanie o literaturze, gustach, książkach, zdziwieniach, że jeszcze ktoś czyta. A potem okrzyk w naszą stronę od stołu, gdzie rosgawor prowadzi Krystyna J., żona Andrzeja: – Zobaczcie, jak oni siedzą na komórkach!

No, bo siedzimy na komórkach, gdyż dzień niezwykle. Na stole sałatki, śledzie w śmietanie, pieczony boczek, wędzony pstrąg i inne przysmaki, a my... liczymy godziny. Bo Prigożyn ruszył właśnie na Moskwę. Kolumna wagnerowców – dwadzieścia pięć tysięcy ludzi! – prze w stronę stolicy Rosji szosą M4, ostrzeliwana przez śmigłowce armii rosyjskiej. – Dojdą? – pytam Falskiego. – No, mają jeszcze ze dwieście kilometrów... – To zajmie im jakieś trzy godziny. A teraz która? – Szósta, ale czasu naszego, warszawskiego... – To w Moskwie pewnie u nich siódma. Dojdą? – Może dojdą. Ale czy to coś zmieni? – Jakże nie zmieni? Zmieni na pewno. – I co z tego? – Andrzej S. kiwa głową wybacząco. – Jak zmienia Putina, przyjdzie jeszcze gorszy... – No, może tak. Ale zobaczcie – Edmund K. pokazuje komórkę, na ekranie widać kolorowy tłum na jakiejś stacji – to w Rostowie nad Donem – precyzuje. – Ludzie z miasta uciekają. – Przed wagnerowcami? – A kto ich tam wie. Gdzieś uciekają. – A tu zobaczcie – mówię ja, unosząc swoją komórkę. – To jakieś skrzyżowanie w Rostowie. O, na środku jezdni wagnerowcy zakładają miny. A jakieś chłopaki pozują na tle czołgu z czerwonym napisem „Sybir” na pancerzu. Zwariowali, czy co? I śmieją się. A na wieży ruskiego czołgu siedzi Murzyn! Prawdziwy! Tak! Zobaczcie!

Jemy smaczny tort bezowy Oli. Potem drożdżówka z kruszonką i śliwkami. A tu nad głową – jakieś mocne brzęczenie i syrena ostro w powietrzu zawiewa – stra-

zacka? – Drony? – pytam. – Chyba drony. Bo tu czasem puszczaają. – Ale takie głośne? – Czasem to brzęczy nawet mocno. – A od nas do Kaliningradu daleko? – No, do samej granicy z jakieś sto dziesięć kilometrów. – Zaraz – przeliczam w myślach – to rakieta, jak wystrzela, leci stamtąd do nas cztery minuty? – Może i krócej nawet. – A czołgi? – No, jak wyruszą w południe z Kaliningradu, to o piątej będą na Długiej. Przed samym Neptunem i Dworem Artusa.

Robi się trochę chłodniej, zakładam polar. Podchodzę do stołu Oli. K. opowiada dowcipy o moich przygodach w tramwaju. Śmiech. Wiatr leciutko kołysze koronami wielkich olch, które otaczają oświetlony słońcem ogród. Słońce zachodzi. Niby to drzewa cmentarno-bagienne, ale całe w złotym blasku. Jeszcze chwila, a ulecą w niebo...

W domu dostaję stanowczy zakaz od K. – Ani słowa o Putinie. Rozumiesz? Bo ja już nie mogę tego słuchać.

Wtorek, godzina 19.12. Nie mogą się nie rozszerzać

– Wszystkie imperia – mówi do nas R., którego spotkaliśmy o trzeciej na dworcu w Gdańsku – obojętne, czy demokratyczne, czy niedemokratyczne – istnieją w sposób podobny. Aby trwać, muszą się rozszerzać. A kiedy się rozszerzają, zderzają się z innymi imperiami, które też muszą się rozszerzać. Bo jakby przestały się rozszerzać, zaczną się pod naporem innych imperiów kurczyć, to znaczy marnieć, więc nie mogą się nie rozszerzać. Biada narodom, które znajdują się w miejscach, w których imperia zderzają się ze sobą. Najczęściej są one wykorzystywane bez żadnych skrupułów – pod pięknymi hasłami – przez jedno imperium przeciwko drugiemu, za co płacą swoją krwią, która w rozgrywce wojennej nie ma żadnego znaczenia, chociaż płynie całymi rzekami.

Sobota, godzina 17.54. Moja przygoda z bananem

Przed chwilą miałem przygodę w supermarkecie Maxa i Xaviera, więc od razu zapisuję, żeby mi nie umknęła.

Było tak: stoję w kolejce do kasy. Kolejka długa, z dziesięć osób, każda z pełnym koszem. Na końcu kolejki młody Murzyn w białym tiszercie. Przed chwilą widziałem go na stoisku mięsnym. Chciał kupić świńskie nóżki, a że mówi tylko po angielsku, więc pokazywał ekspedientkom swoją czarną, gołą nogę, żeby zrozumiały, o co mu chodzi. Teraz stanął na końcu mojej kolejki, krok za mną. Po chwili przy

drugiej kasie pojawia się ekspedientka. Młoda, w szarym fartuchu, wąskie usta, wąskie oczy, gładko uczesana. Będzie zaraz kasować klientów. Murzyn odrywa się od mojej kolejki i szybko idzie w jej stronę. Za chwilę zostanie pewnie obsłużony. Tymczasem ona na jego widok robi oko do koleżanki z trzeciej kasy: – He, he, to mój kolega... – rechocze porozumiewawczo, po czym szybko ustawia przed Murzynem na gumowym pasie tabliczkę „Kasa nieczynna”. Murzyn, widząc tabliczkę, staje jak wryty, cofa się, szybko podbiega do kasy trzeciej, gdzie stoi sporo ludzi. Staje na końcu. Obie ekspedientki – ta z drugiej i ta z trzeciej kasy – cicho rechocą, że wykiwały czarnego jak głupiego. A niech banan postoi sobie na końcu!

Ta z drugiej kasy, jak tylko widzi, że Murzyn przeszedł do trzeciej, szybko wycofuje tabliczkę z napisem „Kasa nieczynna” i jak gdyby nigdy nic rozpoczyna kasowanie. Część ludzi z mojej kolejki od razu szybko przechodzi do jej kasy, razem z nimi ja. Widząc to, od kasy trzeciej, gdzie jest ludzi najwięcej, Murzyn wraca biegiem do naszej kolejki. Staje za mną. Pokazuję mu ręką puste miejsce przede mną: – You were first. This is your place. – Murzyn – zdziwiony – staje w kolejce przede mną, układa swoje towary na gumowym pasie przy kasie. Po czym bierze mnie w szeroko rozstawione ramiona. Dziękuje mi, że ustąpiłem mu miejsca. Śmiejąc się, ściska serdecznie. Chce ucałować w policzek. – Okay – mówię, z lekka cofając się. Murzyn płaci, wychodzi z supermarketu. Widzę go za szybą. Macha do mnie ręką na pożegnanie.

– Ludzie są obrzydliwi – mówi mój sąsiad z kolejki, który stoi za mną. Słyszając to, przez chwilę zastanawiam się: – Ludzie czy lud?

Niedziela, godzina 19.02. K. znajduje dla mnie coś ciekawego

– Zobacz – mówi do mnie K. – znalazłam coś dla ciebie. Posłuchaj! Ty lubisz takie historie. – I stojąc pod lampą z włosami związanymi w dwa warkocze nad czołem, czyta mi z otwartej książki, wskazującym palcem sunąc po rzędkach czarnych liter: – Pewien Polak, Jerzy Wołkowicki, służył w carskiej marynarce wojennej jako miczman, czyli chorąży. W roku 1905 znalazł się w rosyjskiej eskadrze pod Cuszimą, gdzie flota rosyjska stoczyła bitwę z Japończykami, którą Rosjanie przegrali. Podczas narady u admirała Nikołaja Niebogotowa, gdzie po ostatecznej klęsce zastanawiano się, czy poddać się Japończykom, Wołkowicki wystąpił stanowczo przeciwko kapitulacji. – Walczyć do końca! A potem wysadzić okręt w powietrze i ratować się! – krzyknął, jak Ordon na warszawskiej reducie. – Za

to, że się tak pięknie zachował, Rosjanie wynagrodzili go orderem św. Jerzego. Został bohaterem narodowym Rosji. Opisano go nawet w sławnej książce *Cu-szima*, którą zachwycił się Stalin. Prawdopodobnie dlatego Wołkowicki ocalał, kiedy w 1940 roku jako generał Wojska Polskiego trafił do Katynia, gdzie Rosjanie gładko wymordowali paręnaście tysięcy jego kolegów, takich samych jak on – polskich oficerów.

O, tak, K. ma rację, przepadam ja za takimi historiami i gromadzę je w moim łakomym sercu jak w spiżarni na słotną zimę mojego życia, choć nie bardzo wiem właściwie dlaczego, bo wcale wesołe nie są, chociaż kończą się jasnym happy endem, który powinien napełniać serce radością. Po prostu smakują mi one jak papieska kremówka prosto z Wadowic. K., śmiejąc się do mnie, zamyka książkę uroczystym gestem, jakby to był ciężki, oprawny w złoto mszał gregoriański ustawiony na rzeźbionym pulpicie: – Ciekawe – mówi – czy to sam Pan Bóg osobiście wymyśla takie historie jak ta Wołkowickiego. – Kto wie – mrużąc do niej – może się kiedyś tego dowiemy. Ale wiesz – dorzucam leciutko na deser – to chyba nawet lepsze niż sam *Król Edyp* Sofoklesa. Albo równie dobre.

Poniedziałek, godzina 19.55. Testament mój

Znowu? Tak, znowu lamentują, grożą, pouczają: „Upadek *sacrum!*”, „Rozpacz wobec pustki!”, „Bezdomność człowieka pod pustym niebem!”, „Cywilizacja śmierci!” – Więc mam się zamartwiać? Ręce załamywać? Drżeć? – O, niedoczekanie wasze! Nie dam się wpuścić w ten kanał.

Podoba mi się to, że żyję w pustce. Podoba mi się to, że jestem bezdomnym człowiekiem pod pustym niebem. I nie dam się zaszantażować jakimś brakiem celu i sensu. Idźcie sobie z waszą potrzebą celu i sensu do swojego diabła. Bo są wśród was tacy, co uparcie wmawiają sobie i nam, że diabeł to sens.

Wiara w celowość i sens? – Podobają mi się chwile, gdy patrzę z okna na morze, chociaż sensu w takich chwilach żadnego – oprócz zapatrzenia w przeźroczystą przestrzeń, która nie mówi niczego i niczego nie obiecuje, tylko po prostu jest.

Podoba mi się to, że po śmierci zgasnę jak iskra – bez śladu. Żadnej w tym tragedii nie widzę. Żyjemy, a potem umieramy. W sumie nic wielkiego. Straszne jest tylko to, że swoim zniknięciem możemy sprawić ból ludziom, których kochamy. Tylko to, nic więcej.

O, bardzo ja dobrze pamiętam, jak to ze mną było! To wy od dziecka uczyliście mnie, żebym się bał. To wy chcieliście mnie wpędzić w strach. To wy hodowaliście we mnie strach, bo dzięki mojemu strachowi mieliście zajęcie. Sami się baliście, dlatego chcieliście i mnie zarazić swoim strachem. Nie możemy sobie poradzić z naszym strachem, niech więc on boi się tak samo jak my. Jak się będzie bał, to zapragnie żyć wiecznie. I bardzo dobrze! Niech się boi. Niech drży. Jak my.

I jeszcze – pamiętam – dodawaliście, że ten, kto się nie boi, że ten, kto nie drży, jest płytki, pozbawiony głębi, powierzchowny. Że głębia duchowa, prawdziwa głębia, to strach. Jak to elegancko nazywaliście? Bojaźń i drzenie. Słuchałem was od dzieciństwa, ale duszy mojej nie pozwoliłem zarazić. Bojaźń odpędzałem jak kłuszącego psa.

Zupełnie nie martwi mnie to, że nie zostanie po mnie nawet garstka popiołu. Miałem jedyne pod słońcem życie, potrafiłem kochać i byłem kochany. To mi zupełnie wystarczy. I nikt mi tego nie odbierze, chociaż – jak na to wygląda – zostanie nam odebrane wszystko.

Nigdy nie czułem żadnego bezgranicznego pragnienia, którego – jak wy to mówicie – nic na Ziemi nie zaspokoi, ale wiele razy czułem zwykłe, ziemskie szczęście. Także dzięki Niej. Żadnego innego nie chciałem. I nie chcę.

Poniedziałek, godzina 18.05. Wieczność mówi do myszy

Ach, biedny Gottfried Heinrich Stolcel, kapelmistrz i kompozytor z czasów Bacha, o którego przygodach się dowiedzieliśmy na pięknym przyjęciu pod czarnymi olchami u Oli P.! Kiedy umarł, całą jego obfitą twórczość pieczołowicie zmagazynowano na wieczną rzecz pamiątkę w drewnianych skrzyniach na strychu zamku Sonderhausen, gdzie pożarły ją do ostatniego papierka miejscowe myszy. Z kilkuset zeszytów nutowych nie zostało nic. No, może poza jedną arią.

A dzisiaj koło godziny dwunastej zwróciło się do nas uroczyście Archiwum, że- byśmy złożyli w nim nasze rękopisy. Pięknie! Zaszczyt to dla nas prawdziwy takie zaproszenie. Ogień rozgryzie malowane dzieje, ale pieśń ujdzie cało! Rzecz tylko w tym – jak mówi K. – że kiedy zmieni się władza, wyczyści Archiwum z rękopisów takich pisarzy jak my. Nawet myszy nie będą potrzebne. Wszystko pójdzie do pieca. Co zatem robić, bracia i siostry? Z całym spokojem serca oddawać skarby ducha na wieczne nieoddanie? Czy nie lepiej od razu spalić własny dorobek samemu na łące za miastem pod ciemniejącymi chmurami, bawiąc się świetnie przy trzaskających płomieniach ogniska z kieliszkiem czerwonego wina w palcach?

## MAREK KĘDZIERSKI

### Marginalia (4)

1 sierpnia. Kolejny raz wracam do Powstania. Już prawie osiemdziesiąt lat temu. Nieopisana tragedia. Choć tyle o niej napisano. Tysiące, setki tysięcy małych tragedii, małych olbrzymich tragedii. Sześćdziesiąt kilka dni i nocy, które trudno sobie wyobrazić. Trzeba sobie wyobrazić. Móc wyobrazić.

Bohdan Jaklicz, pseudonim Michał, zginął już pierwszego dnia, godzinę lub dwie po godzinie W., czyli godzinę lub dwie po piątej popołudniu. Podczas ataku na tory wyścigów konnych. Podchorąży, zastępca dowódcy plutonu, pułk Baszta, batalion Karpaty, kompania K-1. Dwudziestolatek, który musiał być bohaterem, poległ na polach Służewca. Przeszedł na Służewiec z domu przy ulicy Kaniowskiej na Żoliborzu. Czasami chodziłem ulicą Kaniowską, wuj i ciotka mieszkali przy Generała Zajączka. Teraz stoi tam rząd tak zwanych bliźniaków, tak się przynajmniej mówiło za peerelowskich czasów. I bliźniaki, sądząc po architekturze, wybudowano w PRL-u. Teraz są one schludne, starannie odnowione, starannie ogrodzone, a tam, gdzie stał dom Jaklicza, z miniogródka strzela do nieba wyższa od budynków tuja. A może to cyprys, klimat się zmienia.

Firma Maspex w ramach projektu *Parasol historii*, przypomina, że plutonowy podchorąży Bohdan Jaklicz związany był z Wadowicami. W 1944 roku tory służewieckie przekształcono w lotnisko, przy którym stacjonowało siedmiuset pięćdziesięciu żołnierzy SS, jak to się mówi, uzbrojonych po zęby. Kolega z plutonu, Jerzy Borowski, pseudonim Bomba, dwa lata młodszy od Michała, wspomina, że każdy powstaniec dostał do ataku dwa ręcznie zrobione granaty, dowódca plutonu miał pistolet, a on sam, Borowski-Bomba, dostał niemiecki karabin sprzed 1914 roku, który tylko raz mógł wystrzelić, bo był zepsuty. „Oprócz tego mieliśmy kamienie”, dodaje powstaniec, który przeżył.

Maspex, z siedzibą w Wadowicach to koncern spożywczy, potentat w Środkowo-Wschodniej Europie. Zaczął działalność w 1990 roku od konfekcjonowania zabie-

łącza do kawy i kakao, a teraz ma pięciomiliardowe przychody. Wadowiczanie to szczególnie ludzie. Odznaczają się przedsiębiorczością i potrafią się zawsze obronić. Ojciec Bohdana, podpułkownik Józef Jaklicz, przez niemal cztery lata, od kwietnia 1929 roku, był dowódcą 12 Pułku Piechoty w Wadowicach. W Wadowicach w 1930 roku awansowano go na pułkownika. A od 1927 roku pułk obchodził swoje święto w rocznicę zwycięskiej bitwy z armią sowiecką pod Leszniowem w obwodzie lwowskim, 1 sierpnia. Dwadzieścia cztery lata przed wybuchem Powstania Warszawskiego. Więc ta data była dla niego ważna dwadzieścia cztery lata przed śmiercią syna.

Pułkownik Jaklicz urodził się w Krakowie i Kraków nosił w sobie już na zawsze. W jego wymowie wyczuwało się, że jest z Krakowa nawet po wielu latach spędzonych na obczyźnie. Zmarł w 1974 roku w Paryżu – Kraków pozostał w jego wymowie. W Krakowie chodził do szkoły i studiował na wydziale filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, uczestnicząc w drużynach sokolich, gdzie oprócz gimnastyki uprawiał szermierkę, jazdę konną i strzelectwo. W zdrowym ciele zdrowy duch – i do tego jeszcze przenikliwość. Studia filozoficzne uformowały jego myślenie, analityczny umysł, zdolny do dyscypliny intelektualnej, widzi się w tym, co po sobie pozostawił, o czym potem.

Józef Jaklicz urodził się 17 września 1894 roku, więc wchodził w wiek męski, wiek klęski, w dniu, w którym przypieczętowana została klęska kampanii wrześniowej. Swoje czterdzieste piąte urodziny obchodził w momencie wkroczenia wojsk sowieckich. Dzień później, wraz z członkami rządu i dowództwem wojskowym, przekroczył granicę rumuńską. Był już wtedy zastępcą szefa Sztabu Głównego RP do spraw operacyjnych i zastępcą szefa Sztabu Wodza Naczelnego w kampanii wrześniowej. Wcześniej, zaraz po Wadowicach, został kierownikiem katedry taktyki ogólnej w Wyższej Szkole Wojennej. W domenie wojny doskonale przygotowany, już w latach 1920–1922 studiował w École supérieure de guerre. Rektorem tej renomowanej uczelni był wówczas Marie-Eugène Debeney, zasłużony w pierwszej wojnie światowej pogromca Hindenburga pod Saint-Quentin, bardzo wpływowy oficer i organizator armii – między pierwszą a drugą, postury nieco mniejszej niż marszałek Pétain, z którym dyskutował na temat linii Maginota.

Debenay, bohater pierwszej wojny światowej, poszedł drogą Pétaina w czasie drugiej. I drogę za to zapłacił. Po przyjęciu od Vichy kolaboranckiego odznaczenia o nazwie *l'ordre de la Francisque gallique* (oficjalny emblemat marszałka Pétaina w funkcji szefa państwa. Praca, rodzina, ojczyzna, tak, znamy to, znamy) w sierpniu 1943 roku, po jakiejś uroczystości pétainowskiej został ugodzony przez jakiegoś maquisarda, członka ruchu oporu, i zamach ten przeżył o jakieś dwa miesiące. Dużo wcześniej, kiedy Jaklicz studiował w Paryżu, młode państwo polskie odznaczyło go srebrnym Krzyżem Zasługi *Virtuti Militari*. Był taki trend, Francja okryta sławą w pierwszej wojnie światowej była inspiracją dla mniejszych potęg, miała słynną doktrynę militarną i wielką armię, przed drugą wojną była drugą najliczniejszą i najlepiej uzbrojoną w Europie, ale nagle ta świetnie uzbrojona armia się rozsyłała, już parę dni po ataku Hitlera została rozbita.

Podobnie jak jego były rektor paryski, Jaklicz przeżył początek lat czterdziestych w państwie Vichy, w tak zwanej wolnej Francji, ale po drugiej stronie barykady, trzeba przyznać, że często niewidocznej. Wojskowy i dyplomata musiał z członkami rządu Vichy omawiać pewne sprawy, ale pomimo tarć i presji wychodził z gabinetów ministrów i prefektów z podniesioną głową.

Wracając do początku stulecia, Jaklicz, wychowany w Galicji, patriotyczno-filozoficznie, przystąpił do Legionów już w 1914 roku, a więc w wieku lat dwudziestu. Podobnie jak mój dziadek Antoni Maksymilian, który też należał do pierwszych legionistów, z tym że miał wtedy lat czternaście, więc Józef w porównaniu z nim był człowiekiem dorosłym, jeśli nie dojrzałym. Obaj obrali karierę wojskowych. Ich biografie spletały się w różnych szkołach i formacjach, Jaklicz, jak wspomniałem, został pułkownikiem w 1930 roku i przez dziewięć lat, mimo przebiccia się na górne piętra hierarchii wojskowej, nie został awansowany, podobnie jak mój dziadek pozostał w randze kapitana od początku lat trzydziestych. Generał Anders awansował Jaklicza do stopnia generała, ale dopiero w 1964 roku. Mój dziadek zmarł nagle w 1948 roku w Lille, wciąż w polskim mundurze, w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach, prawdopodobnie był to zamach.

Pragnienie dowiedzenia się czegoś o drodze wojennej dziadka sprawiło, że zagłębiłem się w biografię Jaklicza, znacznie lepiej udokumentowaną. Obaj zostali 18 września 1939 roku internowani w Rumunii, obu udało się przedostać do Francji *via* alpejskie miasteczko Modane zimą 1940 roku, obaj przez lata sta-

cjonowali w pobliżu Grenoble. Mój dziadek przedostał się tam wraz z poznaną w Rumunii młodą Holenderką Alidą, która w grudniu 1941 roku, jak to się mówi, urodziła mu syna Pierre'a. Na mocno pozowanej fotografii, którą odnalazłem w Afryce Południowej, dystyngowany gentleman w nieskazitelnym garniturze trzyma noworodka do chrztu. Jaklicz – ojciec chrzestny Pierre'a. W kilku listach do przełożonego z roku 1947 kapitan wspomina, że „pana pułkownika” chrzestny rośnie i mówi już trzema językami. Na wspomnianej fotografii na twarzy Pierre'a nic się jeszcze nie maluje, na twarzach czterdziestoletniego Antoniego Maksymiliana i piętnaście lat młodszej Alidy maluje się duma i ulga, twarze pułkownika i matki chrzestnej, hrabiny Goetz-Okocimskiej, są pogodne i emanują spokojną godnością.

Listy dziadka do Jaklicza odnalazłem w Londynie w archiwum Sikorskiego i w Nowym Jorku w archiwum Piłsudskiego jeszcze w czasach wczesnego internetu. Generał powierzył swe archiwum nie instytucji francuskiej, lecz właśnie nowojorskiemu instytutowi. Z korzyścią dla mnie, jako że we Francji dostęp do archiwów jeszcze do niedawna by trudny, zwłaszcza tych, w których można było odnaleźć materiały kompromitujące polityków i notabli. Przez kilka dni wertowałem na Manhattanie, jako jedyny gość w zakurzonej sali, materiały Jaklicza, fascynujące, nigdy niepublikowane. Kilkanaście metrów bieżących. Zacząłem od raportów o kampanii wrześniowej oraz o dramatycznym upadku Francji w czerwcu 1940, kiedy dziwna wojna stała się wojną prawdziwą.

Peregrynacje własnego regimentu po Bretanii Jaklicz tak opisuje w początkowych fragmentach:

„Odmarsz następuje 18.VI. po południu. Spakowałem niezbędne rzeczy do necessaire'a i plecaka [...]. Przed wyjazdem do Guer skontrolowałem tzw barrage t.j. zapórę ogniową pozostawioną na drodze przez Guer, dla chwilowego zatrzymania Niemców. I tutaj nastąpił charakterystyczny dla mentalité i ducha wojskowego franc. wypadek.

Maire mniasta Guer, w towarzystwie kmtd Żandarmerji, (maire odświętnie ubrany i przystrojony w echarpe trójkolorowy) w mundurze, a w ślad za nim tłum ludności, kategorycznie zażądali ode mnie zdjęcia barrage. Motywowali tym, że mer ogłosił Guer jako miasto otwarte, żandarm sam się rozbroił i oczekują na przybycie

Niemców. Nie godzą się na to, aby wojsko polskie się biło i broniło Guer, bo to spowoduje represje niemieckie, oni zaś miasto poddają i kategorycznie nie zgadzają się na walkę. Oczywiście skłamałem mera i żandarma, któremu zapowiedziałem, że gdyby to spotkało mnie w Polsce to jemu strzeliłbym w łeb, a na ludność obróciłbym karab. maszyn. Lecz różnica między Francją a Polską polega na tym, że w Polsce ludność pomagała wojsku w obronie kraju, zaś we Francji ludność moralnie rozbraja wojsko. Żandarmowi oświadczyłem, że powinien się wstydzić, że nosi mundur i jako tchórzliwy zając winien się natychmiast przebrać w cywila. Nasze słowne starcie trwało dosyć długo. Ostatecznie kazałem zdjąć barrage”.

Tak – skapitulować przed kapitulującymi. Kilkadziesiąt stron szczegółowego raportu, spisane w Tuluzie dwa miesiące po wydarzeniach, z pedantycznym podaniem nazwisk, nazw miejscowości, dokładnych dat, wszelkich detali. I już z tych słów można wnosić o zderzeniu kultur i mentalności.

„W tym okresie po niespełna miesięcznej wojnie, wszyscy marzyli tylko o tym, aby wojna się skończyła, wszystko jedno z jakim wynikiem. Niechaj Niemcy zajmą całą Francję, byle tylko nie być w obawie bombardowania, byle tylko móc pić wino i aperitify. Naród rozbroił wojsko, które zresztą nie było lepsze. Zarówno ślady panicznej ucieczki, jakie spotykałem w czasie dalszej wędrówki i to w rejonie, gdzie Niemców nigdy nie było, jak również opowiadania kolegów z frontu wskazywały na to, że wojsko nie biło się i bić się nie chciało.

Przyczyna zdemoralizowania wojska i ludności szła również od góry. Paryż, a potem wszystkie miasta od 20,000 ogłoszono jako miasta otwarte, to znaczy bronić ich nie wolno – czy może być większy idiotyzm?”...

W innych dokumentach urzędniczo zdaje sprawę ze spraw błahych, odwała pracę administracyjną. Po klęsce wrześniowej kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy przedarło się do Francji, aby walczyć z Niemcami. Po blitz-kapitulacji relatywnie niewielu polskim żołnierzom udało się przedostać do Wielkiej Brytanii, gdzie, nie tylko z powodu chęci walki armii brytyjskiej, ich losy potoczyły się inaczej. Jaklicz zarządzał akcją przerzucania żołnierzy do Anglii, potem nadzorował pobyt żołnierzy w kompaniach tak zwanych robotników cudzoziemskich oraz koordynował działania polskiego ruchu oporu z francuskim.

Wspomnienia pułkownika o klęsce w 1940 roku czytam ze świadomością, że powstały one kilka miesięcy po błyskawicznym poddaniu Francji przez ekipę Pétaina. Kult bożyszcza tłumów przetrwał aż do czasów Mitterranda, który, mimo że sam był w ruchu oporu, rok w rok w czasie swej długiej prezydentury udawał się na grób niesławnego marszałka. Po napisaniu tego raportu, jakże krytycznego w stosunku do, jak by się dzisiaj powiedziało, zarządzania kryzysowego strony francuskiej, Jaklicz jeszcze przez cztery kolejne zimy kierował działaniami żołnierzy w południowej Francji, zaangażowany tak w organizację ruchu oporu (rozdziały o organizacji siatki szpiegowskiej na całym terytorium Francji czyta się, jak sobie wyobrażam, z większym napięciem niż powieści Le Carrégo), jak w codzienne paktowanie z reżimem Vichy, który w jego własnej opinii nie był wprawdzie takim diabłem, jak go malują, ale wydzieliał zapach, od którego on sam się odwracał.

Materiały uzmysławiają wewnętrzne rozdarcie Jaklicza. Rozpięty między wizjonerstwem a urzędniczeniem pułkownik musi utrzymywać poprawne stosunki z administracją reżimową i reagować na codzienne utyskiwania tak zwanych rdzennych Francuzów w miejscowościach zamieszkiwanych przez polskich żołnierzy (że piją wódkę, głośno się zachowują, są dziwni i niezrozumiałym mówią językiem – we Francji mówi się po francusku!).

Materiały dokumentują także kolizje wewnętrzne, utarczki i potyczki Jaklicza z rodzimymi Polakami, na każdym szczeblu, począwszy od sfrustrowanych żołnierzy, którzy chuliganią, a kończąc na najwyższych dowódcach. Znajduję wśród nich na przykład transkrypt szyfrogramu Władysława Sikorskiego (którego Jaklicz znał od czasów kampanii ukraińskiej 1919 roku – to on dał Sikorskiemu chrzest bojowy). Upomina 21 kwietnia 1942 roku dowódcę Organizacji Wojskowej Juliusza Kleeberga: „W swojej depeszy wpadł Pan Generał w ton, który uznaję za nieodpowiedni w stosunku do Naczelnego Wodza. Na przyszłość kategorycznie zabraniam tego rodzaju wystąpień”, komunikuje Sikorski i wyraża swe wątpliwości co do meritum: „Ponieważ Pan Generał kategorycznie twierdzi, że przyjazd Pana do Londynu jest technicznie wykonalny, polecam przedstawić mi, jak Pan to sobie wyobraża, jak również, w jaki sposób wyobraża Pan sobie powrót do Francji. Dawne projekty Pana Generała o specjalnym użyciu łodzi podwodnej są nie realne wobec zaareztowania obydwóch

wybitnych Francuzów, których miał Pan przywieźć do Londynu i na co szedł Rząd Angielski. Sokół trafiony bombą na Malcie nie może być skierowany do południowej Francji. Podpisano Sikorski, Szef Sztabu Naczeln. Wodza". Koniec cytatu. Poszło o pismo Sikorskiego do Churchilla w sprawie konieczności przyjazdu Kleeberga do Londynu w celu udzielenia informacji o tajnych organizacjach na terenie Francji. Czytam tę tajną korespondencję z poczuciem, że jestem świadkiem *history in the making*.

Tak, wojna dla wojskowego to nie tylko konfrontacja zła z dobrem i walka na śmierć i życie, ale i uwikłanie w spory z innymi po twojej stronie. I z tej strony ciągle atakują. Świat pełen jest niegodziwości, rodzimi cwaniacy wykorzystują sytuację bez względu na sytuację.

Po kilku dniach wertowania pozostawionych przez pułkownika, awansowanego na generała dziesięć lat przed śmiercią, a ćwierćwiecze po wojnie, robi mi się duszno, wychodzę z wyludnionego Instytutu Piłsudskiego zgorzkniały, solidaryzując się z goryczą Jaklicza – jak to możliwe, że postać tak szlachetna musiała aż tyle na siebie wziąć i nie padła obok pola walki? Tej wiedzy nie mogę wywieść z jego archiwum.

Pomyśleć, że cała ta biurokracja miała miejsce, mówiąc biurokratycznym językiem, w czasie, kiedy Jaklicz miał pieczę nad prowadzonymi do 1944 roku akcjami dywersyjnymi w południowej Francji, zwłaszcza w rejonie Grenoble, w tym na trudno dostępnym dla niemieckich formacji zmotoryzowanych płaskowzgórzu Vercors. To tam odbywają się nocne przerzuty, lądują samoloty z Londynu, przywożące gotówkę i materiały dywersyjne, stamtąd zabierają one zgromadzone przez ruch oporu informacje i materialne dowody zbrodni niemieckich.

Wiosną 1944 roku, jeszcze przed wyzwoleniem już wtedy okupowanej bezpośrednio przez Niemcy południowej Francji, Jaklicza przeniesiono do Zjednoczonego Królestwa. Kapitan Kędzierski pozostał na południu, brał udział w kilku spektakularnych aktach sabotażu i wyzwalanii Marsylii, a następnie, wczesną jesienią przyłączył się do polskich oddziałów w Lille. Alida z dwójką już dzieci zamieszkała pod Paryżem.

Wiosną lub najpóźniej początkiem lata Jaklicz musiał wiedzieć o przygotowaniach do Powstania. Czy wiedział o tym, że syn jest w podziemiu? Z archiwum nie mogę się o tym dowiedzieć. Ale w części pamiętników napisanej 15 października 1941 roku w Marsylii notuje, że o świcie 1 września 1939 „pierwsza moja myśl rodzinna

zdecydowała sprowadzenie natychmiastowe żony i dzieci, przebywających na wakacyjnym letnisku". Uspokojony, że są w domu, świadomy, że klęska polska jest nieuchronna, podejmuje decyzję, że rodzina pozostanie w Warszawie. „Oficerowi nie wolno ciągnąć za sobą na wojnę rodziny. Zdumiał mnie spokój, z jakim żona przyjęła tę decyzję. Mimo 20-letniego pożycia małżeńskiego, nie spodziewałem się znaleźć w niej tyle siły i hartu". Ale kiedy 12 września z Włodzimierza Wołyńskiego po raz ostatni „nawiązał łączność” z rodziną, syn mu napisał: „Tatusiu, kiedy Tatuś spełni swą obietnicę i zabierze mnie do siebie". Tak, obiecał mu to wcześniej: „Dlaczego 15-letni chłopak, dębczak na schwat, niema wzmacniać się, hartować swej woli i charakteru w huku dział i bomb, przy boku ojca?". Ojciec miał przecież do dyspozycji „6-cio osobową limuzynę". Dziesiątki samochodów oczekiwało jego rozkazów. Dzieliły go od rodziny „2–3 godz jazdy". Wystarczyło posłać samochód i ewakuować ją do Zaleszczyk. „Nie odpowiedziałem na apel mojego chłopaka. I decyzji tej nigdy nie żałowałem, chociaż była, jest i może jeszcze będzie moim wyrzutem", pisał, przypomnijmy, w 1941 roku. Ta myśl musiała być wyrzutem od 1 sierpnia 1944 roku.

W 1947 roku Jakliczowie razem zamieszkali w Paryżu, nie wiem, kiedy przyjechała do niego żona, ani czy dołączyła do nich córka. To tam trzydzieści kilka lat później odwiedził ich Antoine Kędziński, młodszy brat Pierre'a. Urodzony w 1945 roku, od piątego roku życia mieszkał w Afryce Południowej, dokąd po śmierci ojca zabrała synów matka Holenderka. Antoine, przezwany Tolkiem, wybrał się do Francji na krótko przed śmiercią chrzestnego swego brata. Józef Jaklicz przyjął go w swym mieszkaniu przy rue de Vaneau. Było bardzo serdecznie – w relacji Tolka wyłania się postać mężczyzny zachowującego się raczej formalnie, ale nie zamkniętego w sobie, człowieka zarówno intelektu, jak i emocji, obu kontrolowanych. Powściągliwy, czasem jednak nie potrafił powściągliwości trzymać w ryzach – jego postać przypomina Jana Karskiego.

Oczywiście wyobraźni próbuję teraz przedstawić sobie ten dzień. Kiedy to było? Na początku lat siedemdziesiątych. W mieszkaniu przy rue Vaneau wszystko było starannie poukładane.

Może rano, przed spotkaniem z Tolkiem, pan Józef wyszedł z budynku, bez wyżyła, którego tak sobie ukochał. Szedł sam, ostrożnie w kierunku rue de Babylone. Pułkownik Jaklicz z Krakowa, nie, już generał, idzie jak co dzień rano rue Vaneau,

w tym wieku, w którym kruchy kształt pamięci topi się jak воск. Choć wszystko pamięta, dobiega go ziemia. U zbiegu rue Vaneau kupi gazetę, „La Croix” albo „Le Figaro”, papierosów już nie kupuje, siądzie przy stoliku na trotuarze, podniesie do ust filiżankę, ktoś mu powie *bonjour monsieur*, a może nawet *bonjour monsieur le Général*. Tak, jest generałem, ale mianowany został już w stanie spoczynku, jak to się mówi.

Ja, dowódca konspiracyjnego Wojska Polskiego we Francji, mówi sobie, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Legii Honorowej – to najwyższe odznaczenie, Legia Honorowa, ale moja jest najniższej kategorii – beneficjentów grubo ponad sto tysięcy. Oddałem dzieciństwo, wiek męski i całe życie mojej ojczyźnie, w ojczyźnie i na obczyźnie. Ojczyzna się nie obroniła, dlatego już nie wróciłem, dlatego walczyłem o Francję, dla Francji, ale po tej walce Francja ode mnie się odwróciła. A zwłaszcza od nas. Już nie mówi się o stu tysiącach polskich żołnierzy gotowych dla niej, wielkiego sojusznika, oddać życie. Mówi się o braku demokracji w sanacyjnej Polsce, o komunistycznym reżimie i zacołaniu i myli Warszawę z Mińskiem. Mieli nas tysiące. Straciłem syna, ale będzie ze mną, będzie z nami w Montmorency.

Pułkownik-generał honorowy już nie schodzi dzień w dzień ze swym wyżłem na rue Vaneau. Ale jak wtedy, kiedy wyżel oprowadzał go wokół École militaire, odczuwa gorycz, gorycz na myśl o tym, że kiedy mówi, że jest Polakiem, z akcentem doskonale wyuczonym jeszcze przed École supérieure de guerre, jego interlokutor kiwa głową, o tak, mamy tu dużo Polaków, górników i uciekinierów, takie dziwne nazwiska, trudne do wymówienia. I piją. Pić jak Polacy, tak się mówiło w Lille i okolicach. Jaklicz rozgląda się wokół siebie w Café Vanneau i widzi słaniających się na nogach już od rana lub spadających z barowych stołków klientów. Nie wróci do kraju, będącego wciąż w rękach komunistów. Jak, dzień w dzień, on, dumny Polak, który tyle włożył w obronę Francji, obywatel francuski, biegły w języku, wyuczony na sztuce militarnej francuskiej, którą chciał przeszczepić na grunt polski, reaguje na zaczepki ludzi w Café du Commerce? Prawdopodobnie, jak Karski, wydyma usta i arystokratycznie stara się tego nie zauważać...

Bohdan Jaklicz w symboliczny sposób dołączył do rodziców pochowanych na cmentarzu w podparyskim Montmorency. Tablica pamiątkowa uwiecznia postać młodego powstańca:

PLUT-PCHOR POWSTANIA WARSZAWY, JEDYNY SYN STANISŁAWY  
I PŁK. DYPL. JÓZEFA JAKLICZA POLEGŁ NA POLACH SŁUŻEWCA  
ZA WOLNOŚĆ POLSKI.

WIECZNE ODPOCZYWANIE SYNECZKU NASZ JEDYNY RACZ CI DAĆ PANIE.

Przyszeli styczeń 1940 rok. Zostałem zweryfikowany, otrzymałem pierwsze pobory. Myśl sprowadzenia rodziny do Paryża nie dawała mi spokoju. Ilekroś spotykałem się z ludźmi, słyszałem o przyjeździe tej lub innej rodziny moich dawnych podkomendnych. Pewnego dnia, powziąłem decyzję. Poszedłem do Regine'y. Pokazano mi rozkaz : rodziny wolno sprowadzać tylko oficerom, którzy posiadają przydziały. Ja po 6-ciu latach wojny o zdobycie Niepodległości Polski i 27 latach służby zawodowej wojskowej znajdowałem się w Armji Polskiej we Francji bez przydziału. Lecz ppłk. Liebich miał nadzieję. Prośba o sprowadzenie 16-sto letniego chłopca będzie uwzględniona, w Polsce jest zagrożony.

Nie - oderwać od matki i siostry tego, którego uważałem za mego zastępcę, za opiekuna i obrońcę, za jedynego żywiciela, powziąć tę decyzję było ponad moje siły. Zostałem nadal samotny.

Fragment pamiętnika Józefa Jaklicza

## KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

### Komora (7)

Iść z nim, rozmawiać, oddychać, współdziałać i służyć. Głosy myśli, serca i ducha. Nie zostawiony samemu sobie, ale z nim i z nimi. Formowany i formujący. Krok po kroku, słowo po słowie. W pokoju, niepokoju i znowu w pokoju, przywracając i opisując. Z powodzeniem i bez powodzenia, żeby iść naprzód. W próbach i zaniechaniach, ze skutkiem i bez skutku, z zadowoleniem i bez zadowolenia, tyle tylko, że może być, ale z nadzieją, utwierdzany i pokrzepiony, w drodze. W napięciu, niepewności, gdy trzeba pocieszany, nawet gdy same czarne myśli.

Czas, okruciny i nurt.

Rozdzierany i wynagradzany. Tożsamy z nimi, z Nim i z sobą. Bez narzekań i oskarżeń. W gotowości. Wśród murów, w ruinach, w bramach, nad rzeką i w parku. Odwodzony, wodzony, jak na uwięzi. Nie raz nie w tym, co dobre, ale w tym, co złe, tłumacząc się i tracąc wolność. Wynika to z milczenia czy z głosu?

Komora. W ukryciu, ale i na widoku. Świadek bycia w niej i poza nią. Napięcia między jednym a drugim. Godziny milczenia, myśli, medytacji i godziny monologów i rozmów, mówienia i pisanie.

Jedyny wyjście wcielić w siebie głos, iść za nim i stawiać się nim, jedyny ratunek.

U Becketta w komiczno-tragiczny sposób pokazane są dziury i szczeliny współczesnej sztuki, przez które widać jej płaskość, wulgarność i pustkę, bezpośrednio, w prostych i zawitych odniesieniach, odwołaniach i wskazówkach. Jest też otwarcie na obecność Boga, zachęta do pójścia w Jego stronę lub czekania na Niego, z nadzieją i bez nadziei, odejścia od siebie i świata oraz zaproszenie do podróży, dążenia i poszukiwań. Obecność słów i gestów, które mówią. Przywołuje je i stawia przed nami, unaocznia, ukonkretnia i świadczy, że trzeba otworzyć się, żeby to zobaczyć, odczuć, przyjąć i wcielić w siebie, w swój świat. Jakby ktoś, może niekiedy dziwnie

i pokrętnie, chociaż przecież wyraźnie i stanowczo, mówił przez niego, w nim i nim, jego ustami, sercem i duchem, prowadził jego rękę. Gdzie indziej, daleko, ale słysząc to tu i teraz, obok, w świecie przedstawionym, w którym się porusza i w sobie, w świecie, w którym się jest. Doświadczenie z obcowania z nim, od początku, ale trzeba się otworzyć i współpracować, wtedy to się objawia i wpuszcza do środka. Przez słowa i znaki wchodzi się w porozumienie, a nawet bliskość, stając się uczniem i uczestnikiem, nosicielem i przekazującym. I jest to realne, nie wymyślone, wysnute ze słabego poruszenia ducha, martwe jak sama litera. Wchodzi przez oczy (widzenie), uszy (słyszenie) i serce (czucie, współczucie i czułość) i prowadzi do bliskości, związku i miłości. I idzie się z tym drogą, która zmienia życie. Z uwagą i pokorą, w natchnieniu, w dobrą, bo w końcu w dobrą stronę. Ograniczony możliwościami i warunkami, niekiedy zaskoczony i zdumiony. Wśród przeszkód, złych słów i spojrzeń, świadomy, że nie jest sam i nie robi czegoś osobno, ale postępuje za kimś, służy głosom, które tam słyszy i swoją ręką zapisuje słowa, które tam widzi. Krótko i zwięźle, tak jak potrafi najlepiej, chociaż jest to trudne, bardzo trudne. Dobrze przygotowany i ciągle jeszcze niewystarczająco, rozproszony i zamknięty, jak w tunelu. To działa, zmienia, daje nadzieję i światło. Ale trzeba mieć w sobie choćby jedną iskrę, jakiś tłący się żar, chłonąć słowa, rozumieć je i wzniecać w sobie.

Niedowiarek przywracany do życia. Tak mało, tak wiele. Jak to jest możliwe?

Powtórzenia, przywołania, powroty, może ciemne i niejasne, ale kierują do światła i jasności.

Opis na co i na kogo kierujący uwagę? Wypełnianie się. I pustoszenie. I znowu od nowa.

Pozbywanie i uniżanie się, tym większe, gdy nie ma się już prawie nic i schodzi się najniżej jak to możliwe. Ratunek, jakby przeciw prawdopodobieństwu.

Gdy jest posłuszny Jedynemu, który jest ponad wszystkim, działa moc.

Rozejście, które staje się coraz większym zespoleniem.

Pytania, które najlepiej zostawić bez odpowiedzi. I pragnienia, które najlepiej od razu odsunąć.

Gdy słyszy głos, jest wybrany, czuje, że działa w nim duch. I potem opuszczenie.

Podtrzymuje i chce z nim być. Nigdy nie jest sam, chociaż zły duch szarpie, szamoce, wpycha w zamęt i chaos.

Ile razy mówię: Zostaw to!

Ale każdego dnia otwarcie, pobudka, pokarm i wspomnienie.

On jest blisko, najbliżej jak to możliwe, kieruje słuchaniem i mówieniem, jesteśmy razem.

Zasmuceni i pocieszeni, zranieni i opatrzeni, uwięzieni i uwolnieni, ograbieni i obdarowani, przygnębieni i znowu podniesieni na duchu.

Tędy droga. Głos, łaska i siła, żeby nią iść.

Ci, którzy już to wiedzą i czekają, w pełni i jeszcze nie w pełni.

Prosząc, błagając i dziękując, w przyptywach i odpływach, w tej cudownej zwrotnej dynamice.

W przejściu i przechodząc, z ciemności w światło.

Pilnując jedności słów i postępowania i dążąc, żeby była jak największa.

Widząc coś, o czym nigdy się nie słyszało. I pojmując to, co było niesłychane i nie do pojęcia. Tak może być. I tak będzie.

Tyle kłopotów, udręk, zmartwień. I światło!

Jedyna siła, słowa, w nich moc i nasza uległość, posłuszeństwo.

Brama, promienie blasku, głos, wyjście na zewnątrz. Zimno. Bez słów, tylko wewnątrz, w środku.

Napełniać się i śpiewać, w tym bezładzie i pustce, jakby na zatracenie, wiernie, najwierniej, przy nim, pod chmurami i pod gwiazdami, złączeni w jedno.

Narożnik i głowica węgła. Lęk, niepewność, ale obecność, powitanie, rozmowa i działanie razem, bez lęku, na twardym gruncie, jak w natchnieniu.

Przaśne i zakwaszone, zasunięte i odsunięte, zamknięte i otwarte, rozrzucone i ułożone, na zewnątrz i wewnątrz, i jasność.

Nie widzą? Nie poznają? Nie mogą zobaczyć? Jakby rzeczywiście nie widzieli lub widzieli coś innego. Na uwięzi są? Zniewoleni?

Gdy znika, wtedy wie, kim nie jest.

Przeprowadzony, w więzi, w serii pomyłek i nieszczęść i raz po raz szczęście.

Tam, gdzie jest złaczenie, najmocniejsze.

To, co scala, i to, co jest odrzucone, trwałe fundament.

W innej postaci, w sobie i na zewnątrz, jak ja i nie ja, w toku.

Czy jestem pusty i jednoznaczny?

Hebrajskie słowo hesed. Na zawsze.

Niekiedy niewiara silnie wzmacnia wiarę. Trzeba umrzeć, żeby się narodzić, tak jak trzeba narodzić się, żeby umrzeć.

Narodzenie z ciała i narodzenie z ducha, z dołu i z góry.

Kto jest u niego na pierwszym miejscu? On? Bóg? Ktoś inny?

Duch Święty, hebrajskie Ruah Hakodesh, obecny nieustannie, od pierwszych linii Księgi do ostatnich.

Głosy z ziemi, słycać je wokół i w środku. Sieją zamęt, niepewność, strach, smutek i zło.

Dlaczego raz po raz dążymy do tego, co szkodzi i niszczy? Wtedy pytaj: Kto mną kieruje?

Czy wiara może być przeciw Bogu?

Kto ma u ciebie ostatnie słowo, zło czy dobro?

Obecność i ponowna obecność, nasza i w nas. Skóra i wnętrze. Doskonalenie się, utwierdzanie, umacnianie i ugruntowywanie, zawsze z kimś.

To, że ktoś wskazuje drogę, nie znaczy, że będzie za nas nią szedł.

Park, martwa rzeka, ogródki, łąki, zarośla. Ławki, latarnie, mostek i schody do góry.

Opowiadam o duszy. Mówię o przeżyciach, myślach, uczuciach, poszukiwaniach, niepewnościach i pewności, o słowach, pismach, księgach, fragmentach i skrawkach. A jak to razem zagra? Nie wiem.

Nie moimi słowami, które stają się moimi i zostają moimi, na zawsze.

Olśniony, czysty, jasny i zmieszany, mętny i zmacony, z głosami i bez nich, w ciemności i w świetle, w drodze i na postoju, w mówieniu i w milczeniu, w wierności i w niewierności, w życiu i w śmierci, w łasce.

Będący blisko i wiedzący, że jest prochem. W jarzmie i na wolności.

Bez początku i końca, według wzoru, wracający do miejsca, z którego wyszedł, nawrócony, naśladowający, z pasją, starający się na zło odpowiadać dobrem.

Znający głosy, wystający w bramach, wchodzący i wychodzący, wiedzący, gdzie ma iść i idący.

Jakie są brzemiona, które na niego nałożono? Właściwe.

To, co oni nazywają wolnością i wolność rzeczywista.

Widząc Jego, lepiej widzę siebie. Wpatrując się w Niego, znajduję siebie. Od dziecka Go znam, rozpoznaję i idę za Nim.

W Nim są moje źródła, jest moim początkiem. Głos i znaki. Przypominają, odnawiają i utwierdzają.

Kto widzi mnie, widzi też jego. Jestem w nim, a on jest we mnie. To, co i jak mówię, nie mówię z siebie. To on mówi, przeze mnie. Nie raz wydaje się, że jestem bliżej niego niż siebie, bez żadnego dystansu. Jest to dostępne dla każdego, ale nie dla każdego możliwe. Wykracza poza porządek rzeczy, wymaga zmiany i przedstawienia. Ci, którzy tego nie robią, odpadają, nie są przeznaczeni. Nie wiedzą, że to, co najmniejsze, może stać się wielkie i największe. Przejście, jakiego przedtem nie widzieli. Ale muszą w nim być i na odwrót. Stawać się podobnym do niego, zmieniać, przekształcać, przekraczać samego siebie, tak jak inni, w nim. Widzieć jego działanie w sobie i w swoim życiu. Dzielić się nim i łączyć.

Za murami, nad rzeką. Siedzenie i słuchanie. Rozróżnianie jednego i drugiego głosu.

To wykluczone tylko swoimi siłami, niemożliwe. Jedynie w jedności, wtedy inne energie. Przechodzenie od jednego do drugiego, dzięki resztkom, z dołu do góry, pod pieczęcią.

Nie jednolici, ale w harmonii, w coraz większej harmonii i sile. To, co zapisane, świadectwo. Życie i inne tchnienie, to wszystko.

W ciasnych granicach i przekraczając je, rozszerzając i zawężając. Idąc i słuchając, na otwartej przestrzeni, naprzód. Niezamknięty i zostawiony samemu sobie. W mocnym lub słabym świetle. W sprzecznościach i przeciwnościach. Z zapalem. W walce.

Widziany i urzeczywistniony. Wspierany i wspierający. Przybliżany, oddalany, poznawany. Na powierzchni i w głębi. Odbierający i przekazujący, w radości. Pomieszany z nim i z nimi, ale przecież do odróżnienia, żywy, nie jak wyschłe kości.

Przychodzący z pomocą, w szumie i w ciszy, w ogniu i w popiele.

Nie zaryglowany, ale otwarty. Spaczony, ale nie wypaczony, atakowany, pomijany i umacniany.

On jest, w nim i we mnie, a my jesteśmy w Nim, tak jak On jest w Nim i On jest w Nim, w Duchu, a my jesteśmy w Nich, razem i osobno, tak jak on jest we mnie, a ja w nim, tworząc jedność, w takiej różnorodności.

Wstręt do zła. Tym większy, gdy jest blisko i gdy przenika.

Brak cierpliwości w milczeniu, skupieniu i pokorze. Zmienić to.

Dobrze myśleć o tych, którzy działają przeciw nam, nie mieć do nich żalu i pretekstu, w żadnym razie nic nie robić przeciw nim, a w miarę możliwości wspierać i pomagać.

To, co mówi się i pisze, odnosić do siebie i własnego życia.

To, co przejawia się wewnątrz, i to, co wynika na zewnątrz, w głowie, w sercu i w duchu, w spotkaniach i rozmowach z innymi, w słowach i wydarzeniach.

Mówić i pisać tylko to, co jest konieczne.

Nic nie jest moje, niczego nie mam i chciałbym być niczym i moje jest wszystko, wszystko mam i jestem w pełni.

Fragmenty, które rozwijają inne fragmenty i słowa, które dopełniają słowa. Widzenie z co najmniej dwóch punktów. Prawda przedstawiana w kawałkach.

Nie jedność dwóch, ale to, że mają jedną naturę.

Próby, żeby sprawdzić i poznać. Choroby ciała i choroby duszy. Pokarmy dla jednego i pokarmy dla drugiego.

Ja w nim i on we mnie. Przez niego i on przeze mnie. Ja nim i on mną. Po to, żeby się wypróbować?

Odłamki, resztki, urywki. Na zachętę. Jako ślad i znak. Bez ducha kalekie i martwe. Odróżniać to, co szkodzi, od tego, co służy.

Idą za marnością, nie wstydzą się tego, a nawet są zadowoleni. Do czasu.

Krzesać siły ze swoich słabości, bogacić się z niedostatków. Poznawać i dążyć do celu.

Na wylocie. Kroki umacniane słowami. Nie tyle doskonalenie się w Jego mocy, ile Jego moc doskonaląca się w mojej słabości. W zjednoczeniu, żeby to było widoczne. Nie w literach, ale w duchu.

Odnawiane każdego dnia. Jeżeli tak nie jest, tworzą się wyrwy. Im lepsze naśladowanie, tym lepiej. Niepowodzenia, które są startem do nowych prób. Nie przeciwieństwa, ale dopełnienia. Podobieństwa, jak w zwierciadle. Na opak? Ciemności w świetle, błyski, lśnienia, jasność.

W niczym żadnej mojej zasługi. Tylko przekazywanie. Prawdziwie sobą jestem jedynie w związku z nim.

Masz wzór i kalkę. Swoisty to wzór i dziwna kalka.

Jak zasiejesz, tak zbierzesz. Słowa, które wypowiadamy i zapisujemy, to nasze bogactwo lub bieda i nędza.

W ukryciu dawane i w ukryciu otrzymywane. Światło, które jest ciemnością, i ciemność, która staje się światłem.

Wrywanie i sadzenie. Burzenie i budowanie. Nacięcia i ostre cięcia. Na próżno i nie na próżno, na korzyść i na niekorzyść, po nic i po coś. Skreślanie i dodawanie.

W ruchu i w bezruchu. W mocy i w niemocy, w trakcie rodzenia. Na powierzchni i w środku. Powierzony i powierzający. W ciasnym przesmyku i na bezkresnej przestrzeni, w zamknięciu i na zewnątrz. Upewniony i bez pewności. W śnie i na jawie, w dymie i w ogniu.

Wiedząc, jakie owoce wydaje. Tam zaczynając, gdzie wielu kończy. Bez złudzeń, od razu, nie czekając, do trzech razy sztuka.

Mówiąc i oddalając się. Bliski i oddalony. Jeśli chcesz.

LESZEK SZARUGA

## Świat, w którym żyłem (10)

24

Przed laty mój ojciec napisał, że poeta, jak każdy zresztą, on jednak nade wszystko, nie może być wolny od polityki, lecz może być wolny wobec niej, co oznacza, że może ją traktować jako przedmiot refleksji, niekoniecznie się w nią bezpośrednio angażując. On też nieco później podrzucił mi książeczkę Machiavellego *Księżę*. Było to już po mojej lekturze *Żywotów sławnych mężów* Plutarcha oraz *Żywotów wybitnych mężów* Neposa. Machiavelli wydał się mi wyjątkowo interesujący, choć o wpływie, jaki ta rozprawka wywierała na kształtowanie osobowości polityków, dowiedzieć się miałem nieco później. Tak czy inaczej uodporniony zostałem na twierdzenia przekazywane przez domorosłych „marksistów”, a powiadające o znikomej roli jednostki w historii i o decydującej roli „mas ludowych”.

Zresztą cała historia zdaje się dowodzić, że to właśnie jednostki potrafią owe „masy ludowe” skłonić do działania, czy to uwodząc je, czy przymuszając do czynu. Różnie to się dzieje. Od świata europejskiego antyku jesteśmy już znacznie oddaleni i raczej trudno sobie wyobrazić działania polityczne czy społeczne wzorowane na tych, jakich podejmowali się ludzie w czasach Peryklesa bądź w epoce renesansu. Z drugiej jednak strony tradycje ateńskiej demokracji, zasady prawa rzymskiego czy idee oświeceniowe wciąż kształtują, przynajmniej w Europie czy w Stanach, choćby bez świadomości odwoływania się do nich, postępowanie naszych współczesnych.

Być może jednak warto się zastanowić nad naszą sytuacją z trochę innego punktu widzenia. Jakieś dwieście lat temu z okładem, w okolicach Wielkiej Rewolucji Francuskiej, europejska, potem zaś globalna społeczność znalazła się w nowej, dotąd jakoś nie do końca dobrze rozpoznanej sytuacji, którą kształtuje dynamika procesów demograficznych. Powstanie społeczeństw masowych z jed-

nej strony, z drugiej zaś zakorzenienie się idei państwa narodowego są źródłem coraz silniej narastających kryzysów, których natura wciąż wymaga bardzo pogłębionych badań. Tym to dziś istotniejsze, że w chwili obecnej, w pierwszych dekadach XXI stulecia – w dobie nieznanego dotąd historii przyspieszenia technologicznego – społeczność planetarna zdaje się zmieniać swój charakter i samo pojęcie społeczeństwa masowego staje się anachronizmem.

Zważywszy że za mojego życia liczba ziemian zwiększyła się z trzech i pół do ośmiu miliardów, sytuacja jest wyraźnie odmienna od tej, z jaką dotąd mieliśmy do czynienia. Generuje ona szereg wcześniej nieznanych problemów i zagrożeń, wśród których dwa mają znaczenie fundamentalne: pierwszym jest narastające zagrożenie ekologiczne, drugim zaś narastająca fala ruchów migracyjnych, których skutki w pewnej mierze można porównywać z tymi, jakie w europejskiej przestrzeni wywołała wędrówka ludów na przełomie antyku i średniowiecza. Kwestią zasadniczą w ich rozwiązywaniu staje się konieczność przemodelowania zasad uprawiania polityki – jak na razie jednak politycy, z zasady skupieni na sprawach lokalnych i doraźnych, rzadko są skłonni pojmować swe powinności w perspektywie planetarnej i raczej ignorują niż przyjmują do wiadomości ustalenia poczynione co najmniej pół wieku temu przez badaczy.

Wiek XXI wydaje się czasem większego niż kiedykolwiek dotąd przyspieszenia przemian we wszystkich dziedzinach życia – problem w tym, że w wielu wypadkach, w sferze działań społeczno-politycznych zaś w szczególności, zdajemy się nie pojmować ich charakteru, a rozpoznania badawcze dotyczące zarówno zagrożeń, jak i perspektyw rozwojowych pozostają dalece niewystarczające. Sytuacja w pewnej mierze przypomina tę, w jakiej znalazł się uczeń czarnoksiężnika niezdolny do zapanowania nad mocami, które uruchomił. Intuicyjnie wyczuwamy, że dotychczasowe podstawy współistnienia ludzi na planecie muszą ulec zasadniczym przewartościowaniom, lecz wciąż nie wiemy – choć nie brak trochę na oślep czynionych prób sprostania sytuacji – na czym owe przewartościowania miałyby polegać. Tym bardziej, że w miarę wzrostu populacji pojawia się coraz więcej nieświadomych, mnoży się liczba czynników sprawiających, że zachowania ludzkie są coraz mniej przewidywalne.

Jednocześnie struktura świata, która do niedawna jeszcze wydawała się w zasadzie rozpoznana, zaczyna się, za sprawą rozwoju nauki i technik badawczych –

fizyki, w szczególności mechaniki kwantowej, ale też przecież kosmologii – stawać coraz bardziej tajemnicza i radosne przekonanie o tym, że „świat widzialny jest poznawalny”, okazuje się nieporozumieniem, choć religie zdają się temu zaprzeczać, jasno wskazując zarówno skąd, jak i dokąd idziemy. Szaleńcze próby ratowania racjonalistycznego światopoglądu przez wskazywanie, że możliwe jest – przynajmniej w przestrzeni doświadczeń kwantowych, takich jak obserwacje splątania i teleportacji fotonów – oddziaływanie ludzkiej świadomości na materię, jest tyleż frapujące, co raczej złudne. Wiadomo, że świat coraz skuteczniej wymyka się racjonalnym wyjaśnieniom, co może o tyle jest zasadne, że wiemy za sprawą Freuda, iż poza wolą i świadomością, które rzekomo mogą kreować zjawiska w realnym – lecz cóż znaczy „realny”? – świecie, niezwykle silne oddziaływanie na nasze postawy ma podświadomość. Stąd zasadne wydaje się pytanie o to, czy – a jeśli tak, to w jaki sposób – materia jest bytem nie do końca racjonalnym i czy aksjomaty, do których się odwołujemy, a które w końcu sami sobie ustanowiliśmy – takie jak stała grawitacji, nieprzekraczalna prędkość światła i stała Plancka – naprawdę są aksjomatami.

## 25

Trzy światła rozjaśniają przestrzeń ludzkiej egzystencji. Pierwszym jest światło rozumu zdolne zwrócić się przeciw sobie, drugim jest blask objawienia i jeśli by w nim tylko pozostawać i mu bezgranicznie ufać, można się wyzbyć wolnej woli, jest też wreszcie, po trzecie, błysk olśnienia – oślepiający, gdyż łączy paradoksy. Wszystkie trzy warto na siebie nałożyć, gdy szuka się odpowiedzi o sens egzystencji i naturę rzeczy. W tym też kierunku chyba zmierzała myśl Mistrza Eckharta, co najpełniejszy wyraz znajduje chyba w słowach Kazania 30: „Dziwne, że jakaś rzecz wychodzi na zewnątrz, a mimo to pozostaje wewnątrz. Dziwne, że wszystkie stworzenia wychodzą na zewnątrz, a mimo to pozostają wewnątrz. Co Bóg dał i dać obiecał, jest dziwne, niepojęte i niewiarygodne. I dobrze, że tak właśnie jest, bo źle by się działo, gdyby to było zrozumiałe i wiarygodne. Bóg jest we wszystkich rzeczach. A im bardziej jest w nich, tym bardziej poza nimi; im bardziej wewnątrz, tym bardziej na zewnątrz, a im bardziej na zewnątrz, tym bardziej wewnątrz. Wiele już razy mówiłem, że Bóg w tej właśnie chwili stwarza cały ten świat” (przekładał Wiesław Szymona OP).

Cały ten świat... Cały świat w jego zmienności i niezmienności, we wszystkich jego wersjach, o których relacje pojawiają się w kolejnych biografiach i cały świat pomnożony przez liczbę narodzin i śmierci ludzi. Czy tylko ludzi? Może także wszystkich istot żywych? I jak się kształtuje taka przestrzeń wieloświata? Píše Mistrz, że „źle by się działo, gdyby to było zrozumiałe i wiarygodne”. Píše Szymborska, że oszczędzony jest nam idiotyzm doskonałości (*Cebula*). W błysku olśnienia niezrozumiałe staje się zrozumiałe, ale nie znajduje wyrazu w języku: stajemy w tym świetle oniemiałi. Wiemy i zarazem nie wiemy, rozumiemy i nie jesteśmy w stanie pojąć. Więcej nawet: mamy dowody na współistnienie sprzeczności poświadczające ich niesprzeczność, lecz nie znajdujemy w języku formuły pozwalającej rzecz wyrazić. I nie jest chyba przypadkiem, że myśl europejska, zakorzeniona w poszukiwaniach presokratyków, rozwijała się – jak dotąd, gdyż to może przejściowy stan rzeczy – ku filozofii języka i dalej, ku filozofii dialogu. Język atoli, na poziomie doświadczeń racjonalnych, może sprostać konstruowaniu narracji powszechnie zrozumiałych, gdy wszakże ma ogarnąć sferę irracjonalną – a ta jest, co wiemy, niezbywalna – okazuje się ułomny. Zdają sobie z tego sprawę doskonale zwłaszcza tłumacze poezji.

Wiele razy powtarzałem lekturę powszechnie znanego wiersza Paula Celana *Todesfuge* (*Fuga śmierci*), który doczekał się kilku polskich przekładów. Wszyscy tłumacze słynny *passus* „*der Tod ist ein Meister aus Deutschland*” przekładają zgodnie: „śmierć jest mistrzem z Niemiec”. Kusi mnie od dawna, by złamać tę znowę i zaproponować lekcję: „śmierć to mistrzyni z Niemiec”. Oczywiście – dla niemieckojęzycznego poety śmierć musi być rodzaju męskiego, lecz każdy Polak wie, że rycerz jest poślubiony śmierci, a śmierć jest rodzaju żeńskiego. To samo nie jest tym samym. Czy ta różnica ma znaczenie, czy też raczej należy przejść nad tą wewnętrzną sprzecznością przekładu do porządku dziennego i uznać, że w gruncie rzeczy to sprawa interesująca jedynie dla „badaczy owadzych nogów”, których w Satyrze na bożą krówkę przywołuje Konstanty Ildefons Gałczyński:

Więc upraszam entomologów,  
czyli badaczy owadzych nogów,  
by się na tę sprawę rzucili z szaleń.

Rzecz w tym, że wedle przyjętych zasad szał owym badaczom nie przysługuje, oni powinni postępować rozumnie i beznamiętnie. Tymczasem wiele zdaje się wskazywać, że takie postępowanie blokuje aktywność naszych zdolności poznawczych, i to nie tylko w przestrzeni nauk określanych mianem humanistycznych, lecz także w ogólnie pojmowanym przyrodoznawstwie czy nawet naukach ścisłych. Nie przypadkiem powracają wciąż zapowiedzi – a może już nie tylko zapowiedzi – pojawienia się „nowej fizyki” czy „nowej humanistyki”. Jedno wydaje mi się dość oczywiste: czas, w którym żyję, to epoka nagłego przyspieszenia, tak gwałtownego, że zdaje się nie pozwalać na kontrolowanie zachodzących przemian.

PIOTR SZEWC

## Z powodu i bez powodu (71)

Bez tytułu i daty (LX)

Życ bez siebie w dawnej „Twórczości” nie mogli, podziwiali się i szanowali, a przy tym serdecznie się nie lubili, dokuczali sobie, nie szczędzili złośliwości, byli względem siebie nieszczerzy... Ktoś kiedyś zapewne przyjrzy się praktyce współbycia redaktorów znakomitego miesięcznika w różnych jego okresach, rozsypanych głosów na ten temat znajdzie wiele. Czytam w 4 numerze „Twórczości” z roku 2023 *Dziennik 1970* Juliana Strykowskiego w opracowaniu Ireneusza Piekarskiego, tekst został przedrukowany z brulionu pozostającego w archiwum domowym autora *Głosów w ciemności*. W Jabłonninie, czytamy w zapisie z 30 sierpnia, świętowano dwudziestopięćciolecie „Twórczości”. Strykowski narzeka, że „posadzili go prawie na samym końcu za Najderem, jest to sprawka J[erzego] L[isowskiego]”. Później, gdy wracali do domu, było jeszcze gorzej: „J[arosław] kazał mnie i A[damowi] W[ażkowski] wysiąść na Ochocie z samochodu. Poszliśmy piechotą do domu. Ważyk odebrał to jako obrazę. Myślę, że miał rację”. O Andrzeju Kijowskim notuje 7 września: „Jest w nim fałszywa szczerość, albo szczerza fałszywość, która mnie zawsze od niego odpycha. Patrzy na mnie z góry i udaje, że tego nie robi. W istocie rzeczy człowiek, w którego towarzystwie źle się czuję. Zawsze się boję, że zechce ze mną poigrać jak kot z myszą. Jestem wobec niego bezbronny. Jest znacznie ode mnie inteligentniejszy”. O Jerzym Lisowskim z 21 października: „On [...] nie ma żadnego punktu widzenia, a jego sąd o literaturze w ogóle mnie nie interesuje. We wszystkim i w tym też stara się kopiować Jarosława”. I jeszcze raz o Kijowskim w zapisie z tego samego dnia: „Tyle mi w życiu nadokuczył, w rzeczywistości mnie nie lubi albo raczej irytuję go, drażni go moja niemęska mentalność, pewne wyskoki, ale gdy szuka człowieka, któremu by powierzył swoje żale, przypomina sobie o mnie”. I jeszcze o Iwaszkiewicz z 28 grudnia: „Anka [Baranowska] mi zarzuciła, że traktuję nawet Jarosława źle, tak jak petentów przychodzących z rękopisami. Jest to złośliwa

insynuacja. Za grafomanami oczywiście nie przepadam. Martwa Pasieka jest bzdurą i nie widziałem powodu, żeby mu jej nie oddać, kiedy tego sam zażądał". Tymczasem *Martwa Pasieka* ukazała się w majowym numerze „Twórczości” z 1971 roku.

Z rozmów z Julianem Strykowskiem pamiętam, że cenił twórczość Andrzeja Kuśniewicza, nawet mu trochę zazdrościł „sławy”, bardziej za granicą niż w kraju. W Dzienniku 1970 napotykam zaś kwaśne i w gruncie rzeczy negatywne uwagi: „Czytam Król[a] Obojga Sycylii. Podręcznik realiów wojskowych i innych ck. cesarstwa austriackiego. Nudna i nieznośna maniera używania czasu przyszłego. Nie wiem dlaczego K[azimierz] Wyka tak się tą książką zachłystywał. Już bardziej mogę wierzyć smakowi literackiemu Jarosława [?], który książkę tę zganił”.

Lokalność bardziej uważam za (naturalną) właściwość niż (przyjętą) cechę, bardziej za stan niż postawę. Jedni przyjmują ją z całym dobrodziejstwem, z jej przewagami i ograniczeniami, inni ją odrzucają, gdyż nią gardzą (lub się jej wstydzą), uważając, że lokalność ich ogranicza. Lokalność dowartościował – bez manifestów, bez sformułowanego programu, bez szumnych deklaracji – Białoszewski, pisarz „miejski”, stołeczny, warszawski. I różni inni pisarze, na przykład Marek Nowakowski, też jakże warszawski, ale i arcymistrz lokalności Mickiewicz, a w sferze muzyki – Chopin.

## ARTUR SZLOSAREK

### Notatki do zapomnianych podróży (16)

Zaczernione strony. Spontaniczny remanent

Piątek. Marsz do Dahlem. Rutynowy, prawie codzienny obchód Domäne–Dahlem. Mijam matki, dzieci z piłeczkami, wózki z dziećmi, emerytów z pieskami, kota na smyczy, emerytki pod murami, w słońcu. Przestrzeń do ogarnięcia... Wdech – i wydech. Błękity, brązy, zielenie. Kozy, kury i konie. Gospodarstwo rolne w środku miasta, otwarte. Powrót bez zatrzymania. Po południu – w Pankow, u Krzysztofa. *Doppio passo*. Powrót z przesiadkami, nocne procesje, jednak mniej intensywne niż przed laty. Schody. Nieruchome. Perony. Przestoje. Sobota. *Amantes*. W reżyserii Vincente Aranda. Z Victorią Abril i Maribel Verdú. Niedziela. Carlos Saura, wybitny fotograf, dokumentalista. Potem wielki Goya. *Pinturas negras*. *Los caprichos*. *Los disparates*. Inspiracje Lebensteina? Ciemne świecidła *Xięgi*? Zanim ze ścian w Domu Głuchego odkuto widma namalowane przez Goyę, Jean Laurent utrwalił je na kliszach fotograficznych. Później na płótna, zanim olejne zjawy namalowane na gipsowym tynku z domieszką oliwy zawisły na ścianach Museo del Prado, nakładał je Salvador Martínez Cubells, przez cztery lata. Dzięki fotografiom wiadomo, że nie udało się przenieść wszystkiego. *El diablo está en los detalles*. Saturna namalował Goya na parterze, w jadalni. Czy patrzył na taką makabrę, a widoczna była wtedy wyraźniej, zamazana dziś, mitotwórcza erekcja, gdy po *aperitivo* zasiadał do stołu w towarzystwie ukochanej Leokadii Weiss? Mówi się, że był już wtedy nie tylko głuchy, ale i obłąkany, czemu kładzie kłam prowadzona przez artystę korespondencja, klarowna, logiczna i jasna. Jak znakomity *Autoportret z doktorem Ariettą* z 1820 roku, który widnieje na okładce polskiego wydania *Milczenia ciała* Ceronettiego. (Ostatni z nich powiada: „są dwie możliwe ucieczki: w dobrowolną śmierć lub w duchowość. Nigdy nie było aż tylu zatrząśniętych drzwi w świecie widzialnym”). Choroba, jak deliryczna randka w ciemno lub weneryczna ciuciubabka w prepanoptycznym psychiatryku, pogłębiła głuchotę

Goyi i osłabiła jego wzrok, ale artysta nie życzył sobie, żeby ktoś spoza kręgu najbliższych ujrzał psa, który zapadając się pod ziemię, widzi nad głową i ponad górą dwa ptaki w przelocie, co uwiecznia klisza, ale czego już nie widać na płótnie. Kundel Goyi, ten *el perro*, również jest jak gdyby z ostatniej linii obrony, prowadzonej przez Kafkę w niekompletnym *Procesie*, który też nie chciał, jak wyprzedzający epokę cykl zagadkowych malowideł, zahipnotyzować świata widzialnego, jedynie go przeżyć. Jak wstyd. Goya umiera w Bordeaux. Na wygnaniu. Kiedy w 1901 roku, po siedemdziesięciu trzech latach od jego śmierci – a tyle samo liczył lat, kiedy się wprowadzał do podmadryckiego Domu Głuchego – dokonano ekshumacji, by prochy z inicjatywy rządu sprowadzić do stolicy, nie znaleziono w jego grobie czaszki – i do dziś nie wiadomo, w jakich okolicznościach zniknęła... Trzeba koniecznie obejrzeć *Goyę w Bordeaux* Saury. Może już w nadchodzący weekend. Ten ma być ciepły – tak mówią. Jak po zdmuchnięciu świecy.

„Żebro [*La côtellete*]

Oto co któregoś dnia zrobiłem z moim ciałem:

W 1945 roku w Leysin, chcąc wywołać odemę wewnątrzpłucnową, wyjęto mi kawałek boku, a następnie z namaszczeniem oddano, zawinięty w strzępek gazy (lekarze – szwajcarscy, to prawda – ogłosili tym samym, że moje ciało należy do mnie, choćby poćwiartowane: jestem właścicielem mych kości, tak za życia, jak i po śmierci). Przez długi czas trzymałem w szufladzie ten kawałek siebie, rodzaj kościstego penisa przypominającego kostkę z baraniego kotleta, i nie bardzo wiedziałem, co z nim począć: nie śmiałem się go pozbyć, bojąc się targnąć na własną osobę, mimo iż na nic się nie przydawał, zamknięty w sekretarzyku pośród tak »cennych« przedmiotów jak stare klucze, dzienniczek ucznia, karneć balowy obity masą perłową i portfel na wizytówki z różowej tafty, który należał do mojej babki B. Wreszcie któregoś dnia zrozumiałem, że rolą szuflady jest łagodzenie, przygotowywanie śmierci przedmiotów, które przechodzą przez to pobożne miejsce, tę zakurzoną kaplicę, gdzie zachowując je przy życiu, dajemy im czas na posępną agonię, lecz nie ośmieliłem się wyrzucić tego skrawka siebie do wspólnego śmietnika, toteż cisnąłem żebro i gazę z balkonu, zupełnie jakbym rozrzucał romantycznie me własne prochy, na ulicę Servandoni, gdzie pewnie wywuchał je potem jakiś pies”.

Roland Barthes, *Roland Barthes*, przełożył Tomasz Swoboda

Cienie świecą z billboardów. Po  
przejściu przez tory chłopiec staje  
i popędma psa. Nie spodziewaj się  
cudu po rzeczowym zdjęciu. To  
jest krzesło. To stół

Marcin Sendecski, *No, chodź*

„Wydaje się, że »książę tego świata« jest w Ewangelii Jana postacią bardziej konkretną niż diabeł w znaczeniu ogólnym, to znaczy upadłego anioła. Nie jest to też wprost »Szatan«. Wskazówki co do tożsamości »księcia« uzyskujemy w dalszych pismach Janowych. Pojawia się oto postać nazwana »Antychryst« (*antichristos*) – i to aż cztery razy, w I i II Liście Jana, i nigdzie indziej w Piśmie. Hebrajskie tłumaczenie Nowego Testamentu oddaje to »imię« jako *soten ha-Mmašiaħ* – »Przeciwnik Mesjasza«. I. List Jana ostrzega, iż »Antychryst, o którym słyszeliście, iż idzie, teraz już jest na świecie« (1 J 4, 3). I. List Jana mówi o nim »Zły« (*ho poneros*) – to termin znany z »Ojciec nasz« – »...i zbaw nas ode (Z)łego«. Jest on »fałszywym prorokiem« (*pseudoprophetes*), »kłamcą« (*pseustes*) i »zwodzicielem« (*planos*). Za główne kryterium kłamstwa i zwodzenia przez Antychrysta Apostoł uznaje niewiarę w inkarnację (*en sarki*) Chrystusa. Apokalipsa w podobnych funkcjach opisuje »bestię« (*thyrion*) jako »pseudo-proroka«, który »zwodzi« (*planeo*), czyni znaki i cuda (*semeia*), »a imię jego 666«. To jakaś osoba, a nie ogólna sytuacja odwiecznego dualizmu, skądinąd też obecnego w tle całego pisma. Jednocześnie ważny aspekt Antychrysta widzimy w rozmnożeniu jego postaci: »Wielu antychrystów nastało«, »Wielu... wyszło na świat« (1 Jn 2, 18; 4, 1). Jest to zgodne z »apokalipsą synoptyczną« (Mt 24/Mr 13), gdzie występuje analogiczne, ale inne określenie *pseudo-christoi*: »Albowiem powstaną fałszywi chrystusowie i wielu zwiodą (*planeo*), nawet wybranych. Tak, jakby Antychryst nie miał jednej lub pełnej osobowości. Bibliści kapituluja konkluzjami: »teksty zagadkowe, nauka tajemnicza«. Natomiast Pismo jasno ostrzega: jego przyjście oznacza, że »nadeszła ostatnia godzina« (1 Jn 2, 18 *eschate hora*), »koniec« (Mt 24, 14 – *telos*). Za podstawową cechę tej eschatycznej sytuacji wskazane teksty Nowego Testamentu podają wszechpotężne »zwodzenie«, podszycie się Antychrysta pod Mesjasza, zajęcie najświętszych instytucji sakralnych, czynienie olśniewających cudów”.

Michał Klinger, *Strażnik wrót. Próby z hermeneutyki teologicznej*

Rzadko myślimy o świecie, jak niemowa, któremu się – skądinąd: słusznie – wydaje, że jego upośledzenie zwalnia z obowiązku kupna biletu przed wejściem do tramwaju. Takie myślenie jest poważnym błędem, na popełnienie którego jednak, choćby raz w życiu, musimy sobie pozwolić, jeśli chcemy pozostawić jakiś ślad dla innych. We wtorek, 9 grudnia 1917 roku, autor powieści, które nie uległy zakończeniu, pisze: „Mesjasz przyjdzie dopiero wtedy, kiedy nie będzie już potrzebny, w dzień po swoim przyjściu, ale nie w dzień ostatni, lecz ostatni z ostatnich”. Może więc nie myli się Peter-André Alt, kiedy wypunktowuje w solidnej biografii *Franz Kafka. Der ewige Sohn*, że „tam, gdzie nie ma nadziei, paradoks łagodzi cierpienie, dając umierającemu możliwość zawarcia pokoju z przedłużającą się agonią”?

W ostatnią niedzielę, 11 czerwca 2023 roku, zakończył się w Norymberdze 38. Kongres Kościoła Protestantckiego. Jak podaje światu internetowa edycja dziennika „Die Welt”, ostatnie – oraz entuzjastycznie przyjęte – kazanie wygłosił na nim pastor Quinton Caesar, który wezwał wiernych do większego zaangażowania w walkę ze zmianami klimatycznymi i rasizmem, a także do spójności społecznej. Duchowny, który pochodzi z RPA, jest od roku protestanckim pastorem w Wiesmoor, aktywnym na Instagramie, gdzie identyfikuje się jako „teologiczny pastor aktywista” i „twórca cyfrowy”. W swoim wystąpieniu odniósł się głównie do tematów krytycznych, takich jak zmiany klimatyczne, migracja i transseksualizm. We fragmencie płomiennego kazania, przerywanego spontanicznymi okrzykami radości i gromkimi brawami, podkreślił, z charyzmą przypominającą koncerty Jamesa Browna, że wszyscy – i bez wyjątku – należymy do pokolenia *Last Generation*. Zaakcentował, że Black Lives zawsze Matter, jak również położył nacisk na fakt, nie kryjąc się z autentyczną pasją, że

### BÓG JEST QUEER.

„Zdechł pies, którego Rosjanie zamknęli w sputniku, i teraz rakieta krąży wokół Ziemi ze zdechłym psem na pokładzie. Jeśli tak dalej pójdzie, za jakiś czas Ziemia będzie krążyć wokół Słońca ze zdechłą ludzkością »na pokładzie«”.

Sándor Márai, *Dziennik 1957–1966*, przełożyła Teresa Worowska

Czy ciało jest rozumem duszy? Mandelsztam dostaje od Achmatowej jajko.

## Dzieła w toku

Tom wstępny wydania sejmowego *Dzieł wszystkich* Jana Kochanowskiego ukazał się w 1982 roku i do tej pory opublikowanych zostało jedenaście, łącznie z trzema ostatnimi, które pojawiły się po długiej przerwie – w komplecie ma być dziewiętnaście woluminów, czekamy między innymi na *Fraszki* i *Poezję łacińskie*.

Mistrz Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego i tych, którzy znaczą w poezji, był, jak mówi Czesław Miłosz w *Historii literatury polskiej*, do początku XIX wieku najwybitniejszym słowiańskim poetą. Od niego zaczyna się ojczysta poezja i język – jest ich żywym źródłem. Pierwszy wydawca Jan Januszowski tak w liście dedykacyjnym do kasztelana Jana Myszkowskiego opisał to dzieło: „zostawił po sobie, choć niewiele, jednak tyle, ile wszystkim dosyć; a podobno i rzec mogę, więcej niż owi, co pisali wiele”. Co lepszego można powiedzieć?

Gdy po latach wraca się do *Odprawy posłów greckich* (1577), olśniewa świetność i zadziwia aktualność wielu fraz i fragmentów. Powstała z inspiracji Horacego, zakorzeniona w mitologii, w Iliadzie to epizod poprzedzający wojnę trojańską, jest jakby relacją z polskiego sejmu, pokazującą głupotę i demagogię szlachty. Schemat jest prosty: ekspozycja, obwieszczenie katastrofy i katastrofa ujęte w pięć epejsodionów, ze stasimonami, wyrazi-

stymi personami i bohaterem zbiorowym, którym jest państwo.

Pierwszy, drugi i nade wszystko trzeci stasimon Chóru, klasycznego składnika tragedii antycznej, zaczynające się kolejno „By rozum był przy młodości...”, „Wy który pospolitą rzeczą władacie...” i sławny, napisany białym wierszem, według odkrytych przez niego zasad sylabotonizmu „O białoskrzydła morska pławaczko...”, o łodzi, którą Parys przyłynął do Grecji, a ponadto filipika Ulyssesa z epeisodionu czwartego „O nierządne królestwo i zgińienia bliskie...”, lament pozbawionej daru przekonywania wieszczki Kassandry „Po co mnie próżno, srogi Apollo, trapisz...”, gdzie znajdują się perełki jak: „Prozno się odejmuję, gwałt mi się dzieje, / Nie władnę dalej sobą, nie jestem swoja” (czyli „jestem w cudzej mocy”) czy przekleństwo Menelausa, króla Sparty i męża Heleny. Elipsy, wyrzutnie, anakoluty, analogie, peryfrazy, metafory, instrumentacja słowa, indywidualizacja języka postaci, repetycje, rygor konstrukcyjny i dyscyplina wiersza. Olśniewająca lapidarność i jasność, arcy-mistrzowstwo. Tom zamyka filologiczny przekład prozą *Orfeusza sarmackiego* przywołujący tytułowego bohatera, symbol natchnionej doskonałości słowa i muzyki, jako *porte-parole* poety i „uwydadniający intencję zbudzenia Polaków w obliczu zagrożenia ojczyzny z letargicznej martwoty ducha”. Jakże to dziś ważne!

Zaprezentowana jest reprodukcja fototypiczna i transkrypcja. Roi się, co w *Objaśnieniach* widać jak pod mikroskopem, od odniesień, skojarzeń, cytatów, aluzji, parafraz, przekształceń, wskazań, przywołań, wieloznaczności, wtrętów, wyrażenia przysłowiowych *et cetera*, pokazujących erudycję i kunszt autora.

*Fragmenta albo pozostałe pisma* to ułamki, drobiny, jakby odłamane czy ukruszone części, nieukończone lub nieoddane do druku utwory i zapisy, inspirowane fragmentami Cyserona i Petrarke, który swoją twórczość traktował „jako zbieranie na nowo w całość fragmentów własnej duszy, a także odzyskiwanie okruszków czasu”. Rozpoczyna kolekcja dwudziestu trzech apoftegmatów, czyli sentencji, powiedzeń prozą, krótkich narracji bliskich facecjom, zestawianych między innymi z bardzo popularnymi w renesansie Apoftegmatami Erazma. To precyzyjne, zwarte konstrukcje zakończone pointą, jakby załączkowa forma sławnych Fraszek. Anegdoty są w swoisty sposób uaktualniane, przechodząc z wersji na wersję, od oryginału, na przykład Castiglione’a przez odmiany Reja, Górnickiego i innych, nie raz wywrócone na nice. Odniesień jest wiele, co skrętnie dokumentują *Objaśnienia*. W Pieśniach pojawiają się mitologiczne i biblijne motywy i tropy, i ciągle nawiązania głównie do Horacego, ale także między innymi do Seneki, Cyserona, Wergiliusza, Owidiusza, Propertiusza, Simonidesa, Petrarke i nieustannie do mitów i Biblii – inspiracje, imitacje, naśladowania, podobieństwa,

są nimi nasiąknięte, bo, jak wiadomo, „czas nie da trwać żadnej rzeczy w jednej mierze, / A jako wszystko niesie, tak zaś wszystko bierze”, w tym przypadku przetworzone ręką mistrza. Są: pieśń erotyczna, pieśń miłosna i pieśń o wycofaniu się z miłości (swego rodzaju palinodia), fragment opisu siedziby Muz, kolęda, czyli krótka pieśń noworoczna skierowana do Boga, list poetki o dobrej sławie, wartości cnoty i zmiennej Fortunie, wiersz makaroniczny o wyborze drogi życiowej, w którym w komiczny sposób zderzona jest wytworna łacina uniwersytecka nasycona rozpoznawalnymi frazami wziętymi od największych poetów i pisarzy z prostakimi i wulgarnymi powiedzeniami pochodzącymi z języka potocznego (*macarone* w północnych dialektach włoskich oznacza „kluski” albo „głupka”). I dalej dwanaście dystychów o wymowie moralnej i parenetycznej, z których chciałoby się wszystkie zacytować, wiersze „na obraz”, czyli epigramaty z przesłaniem moralizatorskim i dydaktycznym, początek poematu o bitwie z Amuratem pod Warną, w której zginął Władysław III Warneńczyk, *Alcestis*, fragment wiernego przekładu pierwszego aktu tragikomedii Eurypidesa, mowa wygłoszona na pogrzebie starszego brata Kaspra, w której podejmuje polemikę z poglądami stoików, epitafium Kaspra Kochanowskiego, epitafium dedykowane hrabiemu Janowi Tęczyńskiemu, fragment nagrobka księcia Krzysztofa Radziwiłła zwanego Piorunem, epitafium „Co raz Bóg przejrzał, to już być musi...” o pogodzeniu się z wolą

boską i władzy Boga nad życiem i śmiercią, epitafium „Próżne nasze staranie...” o nieuchronności śmierci i inne.

Traktat *Ortografia polska* napisany na zamówienie kanclerza Jana Zamojskiego i zachowany w dwóch wersjach to edytorska i filologiczna ciekawostka. Punktem wyjścia są w nim litery alfabetu łacińskiego, potraktowane jako nazwy klas polskich liter, w skład których wchodzi zarówno te właściwe łacińskie, jak i ich warianty ze znakami diakrytycznymi. Jest to więc rzecz o literach z przykładami oraz radami i przestrogami o ich właściwej pisowni. Zachowały się dwa teksty podpisane nazwiskiem poety, jeden z 1592 roku wydany przez Jana Ursinusa, uznawany za wersję główną, i drugi z 1594 roku będący edycją Jana Januszowskiego – podstawą iblowskiej edycji są obie. Są także reprodukcja fototypiczna i transkrypcja tekstu, wstępy, objaśnienia, komentarze i indeksy. To językowo inny Kochanowski, zawiły i hermetyczny, na przykład w zakresie składni język ten różni się znacznie od języka jego tekstów literackich, między innymi pod względem użytych w nich konstrukcji eliptycznych.

Gdy czyta się go, myśli się o Mickiewiczu i Miłoszu i dziękuje za ten wielki dar, jakim jest polska poezja i literatura.

Krzysztof Myszkowski

Jan Kochanowski, *Odprawa posłów greckich*, opracował Tadeusz Witczak przy udziale Marka Osiewicza oraz Moniki Szczot i Marka Janickiego, *Dzieła wszystkie*, tom 6, Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich, Warszawa 2021

Jan Kochanowski, *Ortografia polska*, opracowali Marek Osiewicz, Marcin Kuźmicki, *Dzieła wszystkie*, tom 11, Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich, Warszawa 2021

Jan Kochanowski, *Fragmenta*, opracowali Elwira Buszewicz, Barbara Milewska-Ważbińska, Wojciech Ryczek, Krystyna Wilczewska, Zdzisława Zawadzki, *Dzieła wszystkie*, tom 5, Wydawnictwo Instytutu Badań Literackich, Warszawa 2022

## Dichter: kilka razy Krynicki

Ryszard Krynicki jest poetą, który od początku podąża niezatartym śladem swojego języka. Zdaniem Paula Celana, autora dla niego niezwykle ważnego i tłumaczonego od wielu lat, język musi pozostać w ruchu, „żeby zarysować sobie rzeczywistość”. Wiersz, będąc formą przejawiania się języka, ze swojej istoty jest czymś dialogowym, tym samym może przedostać się przez „dzianie się” i wyjść na „światło dzienne”, by poeta mógł opisywać „niezabliźniony świat”.

Tom *„język, to obnażone serce”*. *Niezabliźniony świat*. 70 wierszy trafia do rąk czytelników w osiemdziesiąt rocznicę urodzin Ryszarda Krynickiego, w serii Universitas „Poezje” pod redakcją Andrzeja Nowakowskiego, autora korespondujących z wierszami fotografii. Istotnym elementem są także cztery komentarze krytyczne napisane przez Tomasza Kunza, Pawła Próchniaka, Piotra Śliwińskiego i Mariana Stalę, który ułożył całość i opatrzył wstępem. Wybór składa się z utworów z różnych okresów twórczości – znajdziemy wiersze

z debiutanckiego *Aktu urodzenia*, liryki z lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych oraz teksty najnowsze. Otrzymujemy zatem pewną sumę, która pozwala dość dobrze rezeźnić się w poetyckim świecie autora *Kamienia, szronu* i chociaż można odczuć pewien niedosyt, to przecież zawsze możemy sięgnąć po opublikowane przed kilkoma laty *Wiersze wybrane* wydane przez Wydawnictwo a5.

Ten najnowszy wybór obejmuje trzy istotne tematy i co ciekawe, wszystkie one pojawiają się już w tytule. Pierwszym z nich jest motyw języka, który u Krynickiego stanowi narzędzie opisu, oceny, weryfikacji i diagnozy świata. Idąc za myślą Jacka Gutorowa, powiemy że ów „język jest wszechpotężny i już zawsze obecny, wszędzie i we wszystkim”. Warto podkreślić jest również to, że dla autora *Organizmu zbiorowego* „w literaturze najważniejszy jest język indywidualny i indywidualny styl wypowiedzi”. Siłą jego poezji tkwi w jej, by tak rzec, zbrataniu się z ciszą – stanowi ona ostateczną formę afirmacji wobec języka, który poddawany jest całkowitemu przekształceniu, aby móc służyć poezji. Zmierzając nieuchronnie ku milczeniu i ciszy transcendentalnej, język Krynickiego załamuje się w przestrzeni *Dichtung*.

Drugim motywem, do którego autor porównuje język, jest „obnażone serce”. W jednym z najbardziej znanych liryków Krynicki mówi: „Język, to dzikie mięso, które rośnie w ranie, / w otwartej ranie ust, żywiących się skłamaną prawdą, /

język, to obnażone serce, nagie ostrze” (*Język, to dzikie mięso*) – język multiplikuje się, staje się narzędziem prawdziwego kłamstwa, któremu on stanowczo się sprzeciwia. W stanowiącym życiowe motto Krynickiego utworze czytamy: „[...] nie wiem, czy już znam prawdę, // wiem, że nie chcę kłamać” (*Choćby była tak prosta*). Poezja jednak bierze się z języka, który jest wokół, dlatego też poeta ucieka się do ciszy i milczenia, gdyż mogą one ów język uświęcić. Dla niego język jest żywiołem, żywą tkanką, która pozostaje „na zawsze niezasklepiona [...] otwarta” – jak napisał w \*\*\* (*Inne...*). Jednakże, poza „najboleśniej obnażoną” i „otwartą” raną języka w poezji Krynickiego równie nagie i otwarte pozostaje serce. Poeta ofiarowuje je każdemu żywemu istnieniu, zwłaszcza temu, które jest osamotnione, cierpiące i potrzebujące. Przykładów, gdzie pochyla się nad losem Innego, znajdziemy niemało. Przypomnijmy utwór *Byłem tutaj*, jeden z najważniejszych dla samego autora: „Mówi on [...] o bezdomności, która jest jednym z największych nieszczęść, jakie mogą spotkać człowieka”. *Byłem tutaj* to wiersz-zdarzenie, w którym niczym w krótkim filmie lub „improwowanym spektaklu przypominającym misterium” (określenie Iwony Misiak) nakładają się na siebie pojedyncze sceny. Początkowe ujęcie stanowi jakby zapis oka kamery, drugi to punkt widzenia samego poety, i wreszcie trzeci, najważniejszy, to punkt widzenia Nikogo, o którym autor nawet nie próbuje mówić.

Błysk, gasnący hieroglif promienia na  
murze –  
i powtarzane z uporem bezradne za  
klęcie  
„Kilroy was here” jak naskalne  
ryty. We wnętrzu zmroku bezdomny  
rozkłada swoje kartony na nocleg. Nikt  
odbija się w ścianie.

(*Byłem tutaj*)

Uznać można go za tekst przekraczający granicę egzystencji i metafizyki – zwraca uwagę na niezbyt odległy świat, którego granice zapewniają orientację w naszym świecie i są możliwe do przekroczenia. Mówi o ubóstwie i bezdomności za pomocą piętrzących się obrazów organizujących nastrój powagi. W tym znaczeniu (w) znosi granicę egzystencji. Jeśli natomiast zwrócić się w stronę metafizycznego charakteru wiersza, to jego wymiar i możliwe znaczenia będą zależne od doświadczeń wewnętrznych konkretnych czytelników, gdyż właśnie one stanowią kontrapunkt dla lektury tych tekstów.

Pochyla się nad losem człowieka strapionego, bezdomnego, zranionego i uciemiężonego, jednak należy uzupełnić, że jego troska nie obejmuje tylko ludzi, często bowiem w centrum uwagi stawia także zwierzęta, zwłaszcza te najbardziej kruche, narażone na niebezpieczeństwo, których istnienie bywa chwilowe. Znajdziemy u niego między innymi wiersze o ślimakach, utożsamianych z japońskim mistrzem haiku Issą, pojawiają się także ptaki oraz bardzo bliskie mu koty. Wśród

wielu wierszy o zwierzętach w omawianym tomie znajdziemy piękny, zamykający wybór – o wiewiórcie. W \*\*\* (*Wracając do domu...*) opisuje sytuację, gdzie ruda wiewiórka uchodzi z życiem przed jadącym samochodem i wspina się na wysoki jesion, co kończy się refleksyjnym komentarzem: „Cóż mogło mnie dzisiaj / spotkać lepszego?”. Zwierzęta pojawiają się także w utworach zbliżonych gatunkowo do japońskiego wzorca haiku. Będące odniesieniem do tejże liryki, wybrane wiersze Krynicki określa mianem „prawie” haiku. Przykładem jest składający się z dwu linijek *Nie mogę ci pomóc* z tomu *Haiku. Haiku mistrzów*, który to, wraz z *Wierszami wybranymi* (wydanie nowe, poprawione z 2015 roku), stanowi podstawę dla układu omawianego wyboru. Czytamy: „Biedna ćmo, nie mogę ci pomóc, / mogę tylko zgasić światło”. Topos ofiarowanego serca obrazuje w poetyckim świecie Krynickiego wszelką egzystencję i człowieczeństwo. Jawi się on więc nie tylko jako poeta języka, ale również, może przede wszystkim, jako poeta serca.

Ostatni z motywów, chyba najbardziej pojemny, zawierałby się w strukturze „niezabliźnionego świata”, który, mimo że okaleczony, w tej poezji „świta”. Będący, jak mówi we wstępie Stala, „najwybitniejszym z żyjących tu i teraz poetów”, nie pozostaje skupiony tylko na samym języku, ale na tym, co może zostać przez niego objawione. Prawda jego wierszy – „wyrazista, konkretna, a zarazem tajemnicza”, o czym pisze

Próchniak, dotyka wielu zagadnień oraz tematów, nierzadko przedstawiających mnogość „światów pozornych i światów odbitych, / światów wybuchłych i światów wchłoniętych” (*Ile światów*). Wsluchujący się w „cichnący psalm ziemi, nieme nawoływanie się / planet, pożegnanie galaktyk” (*Szron*) poeta stara się dotknąć sensu, a raczej istoty istnienia. Wyrażane za pośrednictwem języka prawdy przybliżają, zarówno podmiot tej twórczości, jak i jej czytelników, do osiągnięcia granicznego punktu, lub, jak zapewne chciałby tego sam Krynicki, „magnetycznego punktu, przez który przenika Bóg” (Sachs). Czytając te wiersze, widzimy, że poeta stawia wiele pytań natury metafizycznej, gdzie to, co „Ślepe? Głuche? Nieme? / Niepojęte? // Jest. Boli” [\*\*\* (*Ślepe? Głuche? Nieme?...*)], a z czasem już tylko „Jest”. Jednocześnie podstawowym rysem staje się, o czym mówi Stala, „nieustanne czuwanie-przy-świecie”. Krynicki jako Dichter odpowiada na wezwanie drugiego człowieka i podejmuje wysiłek zbliżenia się do istoty ludzkiego istnienia. Czuwa i patrzy jak „świta niezabliźniony świat” (*Fragmenty z roku 1989*). Czytając te wiersze, widzimy, że ich autor za pomocą trzech, czterech linijek potrafi zbudować, jak napisał Sergiusz Sterna-Wachowiak, „symboliczną przestrzeń wędrówki człowieka od *biosu* do *ontosu* i dalej w głąb duszy i ku *ethosowi*, który jest istotą rzeczy ludzkiej”. Wydarzające się w przestrzeni języka poetyckiego Krynickiego przekroczenia zdają

się wieść go ku niemieckiemu *Dichtung*, będącym tym, co Gadamer nazwie układem surowym, ale także żarliwym, usilnym szukaniem słów, zająkiewaniem się.

Aktywny od ponad pół wieku Krynicki stale pracuje i operuje językiem, ale także, ujmując rzecz metaforycznie, „operuje język”, to znaczy wyodrębnia z tekstu słowa i nacina je, odsłaniając to, co ukryte jest pod powierzchnią. Dzięki ciągłej praktyce, także jako tłumacz i edytor, oswaja język, przenika przez źródło wielu znaczeń i sensów, tak że przechodzi on proces kondensacji i co ważne otwiera się jeszcze bardziej na czytelnika. Wprowadza do struktury wiersza precyzję, subtelność oraz delikatność i nadaje duchowy rozmach. Jego słowa są celne, uważne, konkretne, utwory zaś są poświadczane przez doświadczenie, życie, refleksję i chwile olśnienia. Nie są one jedynie, jak napisał w *Obronie żarliwości* Adam Zagajewski, domeną absolutnej dowolności.

Dodam jedynie, idąc tropem Stali, że skierowana w stronę „*dankende Dichtung* [myśląca poezja]” (Steiner) poezja Krynickiego – będąca jednocześnie modlitwą, medytacją, sentencją, a także, jak dobrze wiemy, haiku, które jest „przejawem Niemości, niewyartykułowanej całości, źródła istnienia” (Izutsu) – zapewnia Poezie mocne i trwałe miejsce w polskiej poezji XX i XXI wieku.

Karol Maluszczyk

Ryszard Krynicki, „język, to obnażone serce”. *Niezabliźniony świat. 70 wierszy*, Wydawnictwo Universitas, Kraków 2023

## Chłopiec

Najnowszy tom Bogusława Kierca, zatytułowany *Dla tego*, to podróż w czasie ku odległym archipelagom przeszłości i dzieciństwa, wewnętrzna wędrówka ku sobie dawnemu i minionemu, a równocześnie ekstatyczny taniec w „wiecznym teraz”, w chwili obecnej, której nie ma się przemijanie. Ten ciąg paradoksów można by mnożyć, ale nie w tym rzecz, by spróbować określić swoją tożsamość w przywoływaniu straconego czasu, w kreśleniu pejzażu wspomnień, ukrytych za metaforycznymi obrazami i lirycznymi frazami. Tożsamości są różne, i jest ich wiele, one migają jak wieczorne światła miasta, jak błyski na wodzie rzeki, płyną strumieniem mowy. To bowiem właśnie język jest najważniejszym podmiotem tych wierszy, on jest bohaterem i przedmiotem pożądań.

Cokolwiek mówię, jest niesprawiedliwe  
wobec bezmownych faktów i objawień,  
ale nie chodzi mi o sprawiedliwość,

ni o dumanie nad codziennym dziwem  
bycia, lecz o tę nieuwagę – prawie  
na okamgnienie – bolesną i tkliwą.

(*Błysk*)

Język poznawany wciąż od nowa, po-  
nawiany co chwila, kreowany jak projekt  
na papierze architekta, w jego wyobraźni,  
wizji nowego budynku. Język wytwarzany  
i używany, lepiony i malowany, gotowany  
i przyrządzany, pełen zapachów i kolorów,  
ekstazy i wibracji, rytmów krwi i porządków

rytuałów codzienności. Język wychwalany  
i smakowany, zachwycający i zdumiewa-  
jący, pochłaniany i dotykany – w dziecię-  
cym zatraceniu. Język twój i mój, język  
Bogusława Kierca – młodzieńca w skórze  
dojrzałego mężczyzny, chłopczyka w ciele  
seniora. To język niemający granic, prze-  
kraczający doczesność, a równocześnie  
zanurzony w konkretnym, określonym  
momencie dziejowym, w punkcie współ-  
czesności, tu i teraz. Rzeki języka i toż-  
samości wpływają do wspólnego nurtu,  
łączą się ze sobą, by płynąć wspólnie ku  
przyszłym zdarzeniom.

Tak się mówi: za życia – znaczy, że się  
miało  
jakiś udział w tym życiu i doczesne ciało

splecione z nieśmiertelną duszą (czy  
rozplata

ten warkocz śmierci niechybna, czy  
w jakichś zaświatach

inaczej się te sploty tulą; czy my sami  
jesteśmy chwilowymi tutaj kochankami

widzialnymi za życia, a za życiem –  
całkiem  
innym będącym ślicznie już dla siebie  
całkiem

wniebowziętych aniołków, jeśli się  
zdarzyło,  
że przebaczyła naszej miłości ta Miłość,  
co porusza i słońce i gwiazdy i twoje  
i moje niewidzialne te drobnoustroje;  
(*Nawias*)

Już tytuł zbioru kieruje uwagę czytelnika w stronę świata człowieka – zastanawiamy się, dla kogo pisze wiersze autor *Routera*, komu chce wyznać te pulsujące emocjami zdania, kto jest dla niego najważniejszy? Kim jest „ten”, ukryty w sygnaturze książki? Czy sam wrocławski aktor i poeta? Czy ktoś jeszcze? Czy Kierc – jako „ja to ktoś inny” oraz wiele osób, które spotkał na drodze życia? Wskazanie „tego” jest istotne, bo podkreślona zostaje właśnie ta, a nie inna ludzka podmiotowość, ale równocześnie uwypuklona została owa dynamika tożsamości, która daje znać o sobie na kartach tomu. „Dla tego, kim byłem” – zdaje się mówić autor *Manatek*, i nie jest to nowy ton w jego poetyckiej dykcji, bo od samego początku swojej twórczości ten temat podejmował, ten problem go nurtował. Kim byłem i kim będę? Kim jestem i kim się stałem? Kim chciałem być i kim jeszcze zostanę? Kim mnie ukształtował los i co ze mną zrobi jutro? Kim byłem wczoraj, a kim mnie uczyni doświadczenie kolejnego ranka? Kto we mnie mieszka w tej oto teraźniejszej chwili, a kogo w sobie zastanę, gdy wszędzie słońce? To pytania tej wspaniałej książeczki z wierszami.

Tyle że widać jeszcze elementy ciała:  
twoje oczy, ramiona, płaski brzuch  
i tklivy  
pod tym brzuchem emblemat twojej  
płci, sprężone

uda; mógłbym wymieniać dalej, ale cała  
architektura ciebie i złudne porywy  
wyobraźni, by sobie ciebie na tę stronę

mojego bycia tutaj przenieść, nie scalają  
się w ciebie jedyne, takiego jak  
chciałem  
mieć przy sobie, by wierzyć, że sam  
jeszcze żyję,

zanim śmierć mnie wyprawi w podróż  
ku tym krajom,  
gdzie razem okazemy się tym samym  
ciałem,  
o które, patrząc na nie, nikt nie pyta –  
czyje.

## (2. Jedyny)

I jeszcze – nieustające refleksje o ciele, o somie, o cielesności, o granicach skóry, kości, mięśni, tłuszczu, o zdumiewających metamorfozach ludzkiej powłoki, konstrukcji, kompozycji biologicznej tkanki. Czytając, słyszałem w głowie melodię i słowa znanej pieśni z motywem „dusza z ciała wyleciała”. Ta animula i to przebranie, to wnętrze i kostium, to, co w środku i ukazane, to ukryte i widzialne – odwieczne zagadnienia poezji, uniwersalne problemy sztuki. „Ten we mnie”, a może – „ta we mnie”? Ta dusza, co jeszcze z kruchego ciała nie uleciała, jeszcze jest, śpiewa i tańczy, i mówi, i pisze. „Dla tegotej” – mojej animuli, chciałoby się powiedzieć, korzystając ze sposobu zapisu wrocławskiego aktora, wszak wydał on nie tylko *Notesprospera* (2019), ale i *jatentamten* (2017) – to wciąż te same kręgi na wodzie jeziora mowy. „Dla tegotej” – duszy we mnie mieszkającej, lłkającej i smutnej, ekstatycznej i zanurzonej w „jasnościach promienistych”.

Wiem, że jest nieśmiertelna i wytrwale  
wierzę  
jeszcze w jej nieśmiertelność, mając ją  
za swoje  
ja, jeśli wolno mi sobie przywłaszczyć

to ja, bo między takim a mną, mówiąc  
szczerze  
o duszy nieśmiertelnej, jakiś trzeci stoję,  
a ktoś okrywa niewidzialnym płaszczem

Prospera to wciąż jeszcze nie zużyte  
ciało.

Nie wiem, czy jest Arielem dawno  
uwolnionym,  
który chce mi okazać swoją moc nade  
mną?

Czy Dzieckiem, kiedy samo siebie nie  
poznało  
we mnie, nagim, co zrzucił przejryste  
zaślony  
niczego, gdy przyzywa mnie łakome  
Ciemno.

(Ciemno)

Właśnie – „wciąż jeszcze nie zużyte  
ciało”. A zatem wiersze pisane – „dla tego  
ciała”, wszakże nie wiadomo, kiedy nagle  
zmienionego, postarzałego, przemijalnego,  
wnet bolesnego, przynoszącego trud  
i przenoszącego obolałe kości, dziwnego  
i adorowanego, poznawanego i zdawać  
by się mogło dobrze znanego, a przecież  
zagadkowego oraz nieustannie zdumie-  
wającego. Dla tego ciała młodego i ciała  
starego. Dla chłopczyka i dziewczynki. Dla  
dziecka – dawno byłego i teraźniejszego

we mnie. W tobie, płaczącym i „płomien-  
nie nieobojętnym”.

Ten wątek – młodego „ja” w ciele se-  
niora, dwóch osobowości w jednym,  
a nawet trzech, czy kilku / kilkunastu,  
dziecka w dorosłym, chłopca w mężczyź-  
nie, „ja zewnętrznego”, społecznego *versus*  
„ja wewnętrznego”, prywatnego – przewija  
się nie tylko przez cały zbiór autora Zza, ale  
i przez dotychczasową jego twórczość, po-  
dobnie jak motyw Prospera i Ariela, z nie-  
śmiertelnego arcydzieła Szekspira.

Ciebie sobie wybrałem, jesteś mi  
najmilszy,  
o tobie moja dusza i śpiewa, i milczy,

na tobie moje oczy uczą się widzenia  
tego, co twoja piękność w piękniejsze  
przemienia,

do ciebie moje ciało lgnie  
niewidzialnego,  
choć stoję tutaj na tym, ty na tamtym  
brzegu

rzeki, nad którą chodzę, żeby wierzyć  
w ciebie  
niebieściej niebieskiego, na tym gołym  
niebie.

(Prospero do Ariela)

W istocie podejmuje bolesny i trudny  
problem czasu, rzeki nocy i dni:

Tak się kończy Początek i zaczyna  
Koniec;

zdawało się, że płynie, a widać, że  
płonie.  
(*Heraklit*)

Podąża drogą tych wszystkich, którzy  
uchwycić chcą – jak Proust – „poszukiwa-  
nie straconego czasu”, ale filtruje to za-  
gadnienie – w sposób fascynujący – po-  
przez wielki temat Erosa, dykcję miłości.  
W ten sposób da się odczytać jego zbiorek  
jako pisany „dla tego – boga serca”, który  
nasyca naszą egzystencję afirmatywnym  
poczuciem sensu i nadziei, radości i przy-  
jemności, wolności i zachwyty, ale i żalu  
oraz rozpacz, smutku i lęku, samotności  
oraz niepewności. Jeszcze nie: „miłość  
z ciała uleciała”, ona jeszcze trwa i nas ko-  
łysze, prowadzi nas uskrzydlające uczucie  
obecności bliskiej osoby i przyjaznego  
świata. Bo to miłość także do rzeczywisto-  
ści, również do języka. Jeszcze nie: „język  
z ciała uleciał”, on jeszcze istnieje i nas  
cieszy, wędruje z poetą pod ramię, podró-  
żuje w terytoria rytmu i rymu.

Z mułu ziemi stworzony, jeszcze  
w błocie ciała,  
w torfowiskach wcielania nie  
odróżniam siebie  
od innych ciał, jak one, łakomy  
chwilowej

tożsamości z tą jawą, co się właśnie  
stała  
w prześwicie przebudzenia; zanim się  
wygrzebię  
z nory mijającego snu, jeszcze na  
głowę

kładziesz mi tkliwe dłonie splecione  
w koronę,  
żebym naiwnie pojął swoje powołanie  
do bycia niby-królem, niby-błaznem,  
niby-

-niedojrzałym aniołem czy  
kameleonem –  
i, wreszcie przebudzony, znów nie  
jestem w stanie  
pojąć, że ten, którego widzę na szkle  
szyby,

łudzi mną, gdy od dawna przed  
terminem konam.

(*Przebudzenie*)

To wspaniale skonstruowane wiersze.  
Podobnie jak Stanisław Barańczak wro-  
cławski twórca komponuje swoje liryki  
z „chirurgiczną precyzją”, dba o niecodzien-  
ne rymy i rytmy, nieoczywiste brzmie-  
nia i podobieństwa wyrazów, aliteracje  
i konsonanse, buduje tkankę utworów  
z dystychów, tercyn oraz tetrastychów  
(w tomie znajdziemy tylko cztery wiersze  
stychiczne oraz sześć złożonych ze strofo-  
id) – zawsze z pieczołowitością i maestrią,  
panowaniem nad żywiołem języka. Jest  
wirtuozem formy wierszowej, gry z ma-  
terią i duchem, troskliwym opiekunem  
tekstu lirycznego. To czuły narrator wy-  
powiedzi Erosa, chłopiec zapamiętałe  
bawiący się klockami gramatyki mowy  
poetyckiej, dziecięcy *homo ludens*, zatra-  
cony w swoim świecie, dziewczęcy *homo*  
*faber* ubierający ulubione lalki słów w ko-  
lorowe sukienki, trzymający dłoń na pul-

sie taktów, dobierający świetnie brzmiące zakończenia linijek. Dlatego warto czytać wiersze Kierca. Dla tego świata poetyckie- go chce się śpiewać.

Paweł Tański

Bogusław Kierc, *Dla tego*, seria: Forma 21, Wydawnictwo Forma, Szczecin 2023

## Raport z obłązonego świata

Na okładkach tomów poezji Piotra Piaszczyńskiego *Pamiętnik meteopaty* i *Po północy* widnieje informacja, że autor urodził się w Olsztynie w 1955 roku, ukończył polonistykę na toruńskim UMK, jest poetą, tłumaczem i publicystą mieszkającym obecnie w Niemczech; publikował w paryskiej „Kulturze”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Zeszytach Literackich”, „Twórczości”, „Odrze”, „Tygodniku Powszechnym”, „Rzeczpospolitej”; wydał kilka zbiorów poetyckich oraz książkę esejistyczną, a jego utwory były tłumaczone na bułgarski, francuski i niemiecki. Wiele osób popatrzy na biogram z uznaniem, lecz w tomiku *Po północy* widnieje wiersz *Biografia*, będący *de facto* autobiografią, który zdaje się przeczyć oficjalnej notce:

Urodził się...

Później  
niejeden raz  
(szczególnie przy wódce)  
gorzko tego żałował.

Jednak żył nadal  
i wciąż żałował szczerze.

Można iść o zakład,  
że gdy mu czas powie: amen,  
będzie się śmiał

(ze swej głupoty).

Który z biogramów jest prawdziwy? Prawdziwe są oba, bo ten pierwszy zdaje relację z faktów, zaś drugi stanowi samoocenę. Pierwszy jest niepowtarzalny, drugi – uniwersalny, bo każdy człowiek w chwili bezlitosnej szczerości mógłby o sobie tak powiedzieć. Ta nieznaną litości prawdomówność i deheroizacja własnych poczynań nadają ton poezji Piaszczyńskiego. Już w pierwszym wierszu omawianego zbioru, zatytułowanym *Diagnoza*, czytamy:

Jeżeli o mnie chodzi,  
zwlęć się z wyra przed szóstą,  
pod koniec listopada  
– heroizmu szczyt.

Upływ lat uczy, że wstanie z łóżka może być porównywalne do wspięcia się na wysoki szczyt – dość zamienić człowiekowi młodość na starość i zdrowie na chorobę.

Jak o tym pisać? Już dwa przytoczone cytaty pokazują, że Piotr Piaszczyński pisze najprościej jak się da, nie bojąc się zarówno wyświechtanych frazeologizmów – bo wyświechtane są dni i noce ludzkiego żywota, jak i zdań niezdamnych –

bo niezdarny jest albatros, który stulił skrzydła. Tak uzyskana prostota jest pełna godności i prawdy, oswaja z cierpieniem i uczy o nim mówić.

Obydwa tomy są lirycznymi dziennikami; na pierwszy, prowadzony od wiosny 2018 do jesieni 2020 roku, składają się pięćdziesiąt trzy wiersze; drugi, pisany między listopadem 2020 a kwietniem 2022 roku, liczy pięćdziesiąt siedem utworów.

Czytając *Pamiętnik meteopaty*, warto dłużej zatrzymać uwagę przy *Wierszyku o śmierci*, który – choć zawiera tylko dwa słowa – ma nielichy potencjał interpretacyjny i przypomina o ważnej prawdzie, że poezja to – ujmując rzecz od strony praktycznej – sztuka układania słów. „Kata strofa” – dwa słowa na określenie śmierci, która jest zarówno katastrofą, jak i strofą kata, pieśnią liryczną kata. Śmierć przestaje być bezosobowa, ktoś ją nam zadaje, ktoś podobny do poety, a prawda o tym ukryta jest w słowie – trzeba je tylko przerąbać na dwoje.

Poważna zabawa słowami formuje też rozmaite sensy w wierszu *Krzyż*, który wart jest przytoczenia w całości:

Dawniej,  
wcale nie tak dawno,  
bolał mnie  
Krzyż.

Bo wierzyłem. Chyba nie  
dość mocno i ślepo,

skoro ta wiara  
(*moja winą*)

zmęczyła się  
(*moja winą*)  
i wyczerpała  
(*moja bardzo wielka winą*).

Jeszcze nadziei  
tli się  
chybotliwy płomyk...

o miłości mówić  
nawet nie śmiem. Teraz,  
kiedy się budzę  
i ciężko wstaję,  
boli mnie krzyż.

Sądzę, że to  
dobry znak.

Oto życie ludzkie rozpięte na *Krzyżu* wiary, nadziei i miłości, a potem na krzyżu bólu, bo tym jest ból krzyża. Napięcie między cnotami chrześcijańskimi a człowieczym cierpieniem zostało uzyskane dzięki prostej zamianie wielkiej litery na małą, ale nie jest prosto wpaść na ten pomysł, a jeszcze trudniej jest go udanie pod względem poetyckim zrealizować.

W tomie *Po północy* moją uwagę zaintrygował wiersz opatrzony datą 25 sierpnia 2021 roku i noszący tytuł *No Satisfaction*. Liczy trzy wersy, które pełnią funkcję poetyckiego nekrologu poświęconego Charliemu Wattswowi: „śmierć perkusisty / toczących się kamieni / nie zatrzyma nic”. Trzy krótkie linijki skupiają najlepsze cechy poezji Piotra Piaszczyńskiego: minimum słów – maksimum

treści; wiedziony młodzieńczym przyzwyczajeniem chciałem już napisać: minimum słów – maksimum muzyki, ale przypuszczam, że autor nie wzięłby mi za złe owego przejęzyczenia, za które byłaby odpowiedzialna audycja muzyczna Piotra Kaczkowskiego; a może nawet uznałby, że w przypadku tego wiersza formuła minimum słów – maksimum muzyki pasuje jak ulał? Tytuł oczywiście nawiązuje do słynnej piosenki Stone-sów (*I Can't Get No*) *Satisfaction*, toteż warto sobie przypomnieć, czytając wiersz Piaszczyńskiego, tekst Micka Jag-gera wyrażający – krótko mówiąc – rozczarowanie światem. A śmierć Charliego Wattsa może jedynie spotęgować to rozczarowanie, bo niczego nie zatrzyma, ni-czego nie zmieni, kamienie, wydarzenia będą się toczyć dalej, jakby Watts w ogóle nigdy nie istniał. Jednak ten wiersz Piotra Piaszczyńskiego jako jedyny jest pozba-wiony interpunkcji – i dzięki temu moż-liwa jest inna egzegeza, nie tak posępna, bo gdyby po słowach „śmierć perkusisty” postawić przecinek, otrzymalibyśmy zdanie: „toczących się kamieni / nie za-trzyma nic”, czyli Rolling Stonesów nie zatrzyma nic, mimo śmierci jednego z nich, a w przyszłości mimo śmierci ich wszystkich, muzyki zespołu The Rolling Stones nic nie zatrzyma, będzie grana, będzie odmieniała świat.

Rozpisałem się o tym wierszu, aby dać przykład dyskretnej wirtuozerii słownej Piotra Piaszczyńskiego; poza tym warto przy tej okazji podkreślić, jak ważne są muzyczne wątki tej poezji, nawiązujące

także do Binga Crosby'ego śpiewającego *White Christmas*, do *Epidemii euforii* grupy Klan, do śmierci Jimiego Hendrixa.

Pod koniec książki wojna z własnym szatanem, światem i ciałem ustępuje miejsca innej wojnie. Luty przypomina, że wszystko zaczęło się od silnego wia-tru: „Leżę na tapczanie i tępo się gapię / na drzewa za oknem, jak nimi szarpie / zaciekle o żeńskim imieniu wichura... / Czy aura może być bardziej ponura?”. Następne dni przyniosły odpowiedź, że może. „A było tak przyjemnie: / klucze żurawi ciągnęły po niebie / i wiosnę wi-działy już oczy duszy... / Cóż, górą zawsze czarne scenariusze”.

Książkę zamyka wiersz *Niemowa*, wy-rażający uniwersalne doświadczenie wer-balnego paralizu, który dotknął wielu z nas 24 lutego 2022 roku: „Wzięło i odebrało / mi mowę”. Raptem świat stał się nieopi-sywalny; mamy pod ręką tyle tekstów o domu umarłych, o innym świecie, o nie-ludzkiej ziemi – a gdy przychodzi samemu opisać oddziały chorych na szaleństwo, brakuje słów, które „diabli wzięli”. Znowu w ekspresji powszechnego odczucia przy-chodzą poecie w sukurs utarte zwroty, które nazywają zjawisko, lecz go nie tłū-maczą, bo żeby wytłūmaczyć, trzeba wie-dzieć. A kto z nas wie?

Robert Papieski

Piotr Piaszczyński, *Pamiętnik meteopaty. Wier-sze 2018–2020*, Wydawnictwo Austeria, Kra-ków–Budapeszt–Syrakuzy 2021

Piotr Piaszczyński, *Po północy. Wiersze 2020–2022*, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Buda-peszt–Syrakuzy 2022

## Ignis w ręku Tomasza Różyckiego

Tomasz Różycki w najnowszej powieści *Złodzieje żarówek* opowiedział własną historię PRL-u. Obrął perspektywę człowieka wspominającego dzieciństwo (lub bardzo wczesną młodość) spędzone w „mrówkowcu”, który, niczym żywa istota, spogląda oknami i balkonami na zalesione, niewysokie Góry Opawskie, na Morawy, na dymiące zakłady przemysłowe, na życie codzienne mieszkańców nieistniejącej już Czechosłowacji. Typowy dla demokracji ludowej wielorodzinny blok przybiera w omawianym utworze postać labiryntu, mitycznej, a zarazem niemitycznej przestrzeni. Jest ona bowiem nawiedzana przez bogów, ale też można natknąć się w niej na ludzkie fekalia. „Mrówkowiec”, zorganizowany horyzontalnie i wertykalnie, sięga nieba, z którego pada „boski” deszcz. Mieści w sobie układ korytarzy, pozwalających „koczownikom” PRL-u krzątać się w codziennych sprawach zarówno w poziomie, jak i pionie. Po części to kopiec człowieczych termitów, a po części setki osobnych mikroświatów, gdzie Radziwiłłowie, Opalińscy, Mickiewiczowie, Ogińscy... żyją po swojemu, odrębnie.

Ważnym miejscem opisywanego przez pisarza „mrówkowca” jest balkon: „Balkony! Dziesiątki ich zwisały ponad przepaścią i miastem, unosiły się ponad trawami i alejkami terenów zielonych pod blokiem”. Poza tym, że pozwala lustrować w pogodne dni bliższą i dalszą okolicę, to zarazem stwarza okazję do przedsiębra-

nia różnych aktywności. Limitowana mieszkalna przestrzeń wielorodzinnego budynku, przeważnie za ciasna i niewygodna, czyniła balkon bardzo pożądanym architektonicznym elementem, dzięki któremu bohater-narrator doznawał uczuć o metafizycznym charakterze. Niech za przykład posłuży ten oto niezwykle interesujący fragment z początkowych partii powieści: „Te bliskie, niemal na wyciągnięcie ręki, kontakty z niebem i chmurowizją miały wielkie znaczenie, szczególnie gdy szalały burze. Nie muszę dodawać, że niebo w owych dniach w większości wypadków było niezwykle ponure i przedstawiało całą masę skłębionych i nawarstwionych problemów i kompleksów, rozwiązujących się z czasem z wielkim hałasem i rozdzieraniem szat niebieskich, a także za pomocą błysków, warknięć, huków i wyładowań”.

Organizacja przestrzeni „mrówkowca” jest w utworze Różyckiego wpleciona w codzienność peerelowskiej rzeczywistości przygranicznego miasteczka. Co prawda w opisach banalnych przedmiotów i zdarzeń odnaleźć można charakterystyczny dla Różyckiego rytm poetycki, ale mimo to daleki jest on od mityzacji rzeczywistości. Bieda, kolejki, skąpe wydzielanie żywności, nieustanne przerwy w dostawie prądu i bieżącej wody z jednej strony, a z drugiej poszukiwanie wspólnotowości, wspieranie się i celebrowanie imienin odsłaniają dziwne oblicze okresu socjalistycznego w dziejach Polski. Reglamentacja żywności i przedmiotów codziennego użytku wespół z reglamenta-

cją wolności, sygnowaną ideologicznym hasłem „RADIO I TELEWIZJA OKNEM NA ŚWIAT” (zapis oryginalny), pojawiającym się w utworze kilkakrotnie, wyznaczają granice rzeczywistości, po której porusza się bohater-narrator. Swoistym symbolem ludzkich niedogodności, utrapień i mozołów są tytułowe żarówki. Ich nagminna kradzież dezorganizowała życie mieszkańców „mrówkowca”, korzystających z wind, ciemnych korytarzy, piwnic, ale zarazem oddawała ogólną atmosferę peerelowskiej codzienności. Mrok w tej powieści nie tyle wywołuje w prezentowanych postaciach uczucie grozy czy niepokoju, ile raczej uruchamia szereg zachowań obronnych, z których potem rodzą się pozytywne odruchy społeczne, a więc gotowości do bycia we wspólnocie, większej od przeciętnej skłonności do okazywania sobie szlachetnych uczuć. Nie dotyczy to oczywiście wszystkich, bo wśród bohaterów powieści Różyckiego znajdziemy donosicieli i współpracowników tajnych służb. „Żarówki w windzie nagminnie kradziono, co sprawiało, że podróż upływała przy zgrzytaniu mechanizmów dźwigowych i telepatię się całej kabiny w przyjemnej ciemności. W końcu żarówkę zabezpieczono za pomocą kraty, co uchroniło ją przed wykręceniem, ale nie przed osmałeniem. Tak więc, czy żarówka była wykręcona czy niewykręcona podróż i tak odbywała się po ciemku. Żarówki zresztą wykręcano wszędzie: na półpiętrach, na schodach, na korytarzach, na piętrach, w piwnicach i na strychach – słowem: gdzie tylko można było je znaleźć”.

W dalszej części tekstu pada porównanie mroku „mrówkowca” do ciemności, w której ukrywali się przed swoimi prześladowcami pierwsi chrześcijanie. Nawet jeśli uznamy tę myśl za rodzaj literackiej prowokacji, to istota zestawienia historycznie bardzo odległych od siebie zdarzeń zmierza w kierunku uwypuklenia znaczenia ognia. Bohaterowie powieści byli zmuszeni do używania otwartego płomienia, by opędzić gęsty mrok z powodu przerw w dostawie prądu. Różycki nie uwzniośla losu „koczowników” PRL-u. Poza tym podąża traktem dobrze już w polskiej literaturze wydeptanym. Po-brzmiewa w jego prozie echo głosu Mirona Białoszewskiego, Tadeusza Konwickiego, ale także Jacka Dukaja (*Wroniec*). W omawianej prozie widoczny jest wpływ autora *Szumów, zlepow, ciągów* w sposobie opisywania życia „mrówkowca”. Żywioł oralny *Złodziei żarówek* uobecnia się w inicjalnym zdaniu: „Posłuchajcie, jak skoczyła moja Matka”. Autor wyznaczył czytelnikowi rolę aktywnego słuchacza „niesamowitych” historii, które zostały albo przeżyte przez opowiadającego, albo tylko przez niego zasłyszane. Można by zaryzykować tezę, że Różycki wykorzystuje tradycję szlacheckiej gawędy oraz sięga po literaturę „gadana”, do mistrzostwa opanowaną przez Białoszewskiego. Zapowiedziane w pierwszym zdaniu zdarzenie związane ze skokiem Matki z balkonu „mrówkowca” znajduje swój finał dopiero na końcu utworu. Zanim czytelnik dowie się o tym, co było niezwykłego w tym czynie, usłyszy cały szereg mikrohi-

historii osób związanych z bohaterem-narratorem.

Żłodzieje żarówek nie są złodziejami rowerów ze znanego filmu Vittoria de Siki; co prawda w obu przypadkach bieda zmusza do niemoralnego postępu, ale świat Różyckiego pozbawiony jest tragizmu, obecnego od pierwszego ujęcia kamery w arcydziele włoskiego reżysera. W omawianej powieści nie brakuje za to scen humorystycznych, żartu i ironii, ale te tony wcale nie dominują. Sądzę, że jest w tej prozie pewna nadwyżka sentymentu, zakotwiczonego we wspomnieniach, które utkane zostały z dziecięcych czy nastoletnich obserwacji peerelowskiej rzeczywistości. Rodzinne i towarzyskie spotkania, grupowe oglądanie czarno-białej i kolorowej telewizji, polegiwanie na balkonach w okresie późnowakacyjnym i wiele innych wspólnotowych doświadczeń związanych z codziennym życiem „mrówkowca” wytwarzało, jak wynika z utworu Różyckiego, w polskim społeczeństwie odruch solidarności ponad podziałami światopoglądowymi. I nie tylko chodzi o wspólnego wroga uosabianego przez komunistycznych dygnitarzy i o wspólną udrękę wywołaną permanentnym brakiem, a zarazem głodem – w dosłownym i przenośnym znaczeniu – ale także o solidarność egzystowania w marazmie, beznadziei. Tę peerelowską aurę pisarz uchwycił zupełnie dobrze. „Galoreta, kurczak, sałatka, jajka w majonezie, ciasto – wszystko zapowiadało się malowniczo, ale przecież w tym wieku lubi się najdziwniejsze potrawy. Uwielbiałem na przykład

śmietaną, potrafiłem wypić całą butelkę, albo zjeść łyżką spory kawałek masła bez żadnych dodatków, zwłaszcza że masła przeważnie nie było w sklepie i traktowano je jako rarytas”.

Bieda, pozwalająca jedynie egzystować i cieszyć się wystanymi w długich kolejkach „luksusowymi” towarami, jak kawa, cukier, szynka, banany, nabiera w utworze znamiona jakiegoś fatum, od którego, jak wiadomo, ucieczki nie ma. Pisarz sprawę tę ujmuje między innymi tak: „Dlaczego właściwie bogowie gwałcili ludzi, wchodząc w ich ciała? Po co im było to ucieleśnienie, przybranie ludzkiej formy?”. Pisani małą literą demurgowie co pewien czas pojawiają się w odnarratorskim słowie, wprowadzając element zaskoczenia. Są źródłem toczącej polskie społeczeństwo choroby, na którą lekarstwa nie ma: „W moim kraju żal i zazdrość, atakujące niemal wyłącznie razem, i niemal zawsze nie do rozróżnienia czy oddzielenia, powodowały raczej dalsze zatrucie, zmącenie umysłowe, i widz zamiast refleksji moralnej i poczucia znikomości własnego istnienia wobec wyroków przeznaczenia doznawał raczej poczucia głębokiej niesprawiedliwości, sytuując się pośród jej ofiar, wskazując oskarżycielskim ostrzem jadu w kierunku drugiego, winnego jego nieszczęścia”.

Kontekstem refleksji zawartej w przywołanym cytacie jest opowieść o mieszkańcach domków jednorodzinnych, którzy zazwyczaj – choć przecież niekoniecznie tak było naprawdę – lepiej materialnie usytuowani od „koczowników”

PRL-u mogli pędzić życie niezależne od kaprysów władzy i bogate na przekór ogólnemu niedostatkowi. Zarazem jednak byli postrzegani przez tych z „mrówkowca” jako głupsi i mniej zaradni.

Szczególnie interesująco wypadają te fragmenty powieści, w których Różycki opisuje dziecięce zabawy bohatera-narratora z dziewczynami – Bermudą i Felą – a także ze Stasiem, potrafiącym robić ubrania na drutach, co było efektem zapobiegliwości rodzica niż autentyczną pasją chłopca. Dzieciństwo w okresie peerelu ujęte przez pisarza w niespójny, bo „gadany”, ciąg sugestywnych obrazów ma w sobie dużą dozę autentyzmu. Mimo to jego literackie opracowanie zawiera w sobie pewną aurę tajemniczości, której nie można sprowadzić jedynie do stereotypowo postrzeganego dzieciństwa jako „wieku niewinności”. „Bardzo często, kiedy zegałem się z Bermudą i chowałem się za wyłomem muru lub za drzewo, widziałem, że odchodzi kilka ledwie kroków, a za rogiem czeka na nią już ktoś kolejny: Paderewski, Konstantynowski, Zwierzyński, Ajwazowski, Wertyński, Rożestwieński czy Waldemar Sprośny. Pojawiał się także dużo starszy nauczyciel Szostakowicz”.

Literacka defilada postaci noszących znaczące nazwiska w tym wypadku pozwala przesunąć tematykę powieści w kierunku ciemniejszej strony rzeczywistości, gdy o dzieciństwo i wczesną młodość chodzi, w tym o relacje męsko-damskie oraz inicjację seksualną. Podobnie jest z „zakazanymi” zabawami bohatera-narratora, który wraz z kolegą

Włochatym eksperymentował z ogniem. Motyw ognia i podpalania jest mocno wyeksponowany w utworze. Jak wiemy, wedle koncepcji Heraklita, *ignis* to podstawowa zasada istnienia wszechświata. Grecki filozof pojawia się w narracji Różyckiego jako ten, którego pisma spełniają funkcję Schulzowskiej Księgi. Inicjacja młodych bohaterów *Złodziej żarówek* (żarówka także łączy się z *ignis*) dokonuje się w aurze „ogniowych” odkryć, inspirowanych Heraklitejską koncepcją wszechświata. Ogień przybiera, wedle antycznego myśliciela, postać wody, powietrza, ziemi, by powrócić do swej pierwotnej postaci. Dodać do tego wypada i ten fakt, że Heraklit wyróżnił dwa kierunki transformacji *ignis* – w górę i w dół. W pierwszym wypadku ogień zmienia się w powietrze, potem w wodę, a na końcu w ziemię. W drugim zaś kierunku ziemia paruje i w ten sposób uruchamia ciąg reakcji, których kulminacją jest ogień. Heraklitejski wieczny ruch staje się więc w *Złodziejach żarówek* ważnym, by nie powiedzieć podstawowym konstrukcyjnym elementem. Konsekwencją tego jest wyraźnie zaznaczona w utworze względność rzeczy i upływającego czasu, co doskonale widać w powtarzającym się motywie wyprawy bohatera-narratora do Stefana, będącego w posiadaniu młynka do kawy: „To wszystko miało się dopiero okazać siedem lat później, kiedy szedłem korytarzem do Stefana, żeby nam zmielił kawę. Siedem lat! A może sześć, a może nawet osiem? Siedem, a nawet siedemdziesiąt siedem lat później”.

Niczego stałego w świecie *Złodziei żarówek* nie ma. „Mrówkowiec” pęka i rozpada się, ale nie na tyle, by dokonała się jego całkowita destrukcja. Mieszkania niby mają swoją niezmienną lokalizację, ale zarazem niektóre z nich jakimś sposobem przesuwają się w określonym kierunku, na przykład na wschód. Czas w utworze co prawda odmierzany jest mechanicznymi zegarami, ale bohaterowi-narratorowi niekiedy trudno jednoznacznie stwierdzić, czy dana czynność trwała lat pięć, czy tylko pięć minut. Heraklityjska względność i zmienność rzeczy „dopadła” i czas, i przestrzeń. Dlatego też finałowa scena umyka rozumowi w kierunku aury trochę baśniowej, trochę mitycznej.

Podsumowując, *Złodzieje żarówek* to kolejna w polskiej literaturze wartościowa opowieść o późnym okresie PRL-u. Niewątpliwym walorem utworu jest ograniczenie prezentowanego świata niemal wyłącznie do przestrzeni „mrówkowca”. Dzięki temu pisarz bardzo dobrze uchwycił obraz międzyludzkich relacji, a zarazem toczących je destrukcyjnych procesów, którym komunistyczny system poddawał każdego człowieka. Na szczególną pochwałę zasługują włączone w tkankę powieści motywy odnoszące się do dzieciństwa, sportretowanego przez Tomasza Różyckiego z dużą dozą wycucia okresu adolescencji.

Maciej Wróblewski

Tomasz Różycki, *Złodzieje żarówek*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023

## Oslabienie, odchodzenie

Od kwietnia 1978 do grudnia 1980. Wpatrywanie się, wypatrywanie, namysły, westchnienia, rojenia, tęsknoty, oczekiwania. Miron. Pan Miron. Poeta Miron. Jaki jest? Jaki jest na przykład jego światopogląd?

Widzenia, obserwacje, wyobrażenia. Domysły? Przywidzenia? Zdawanie się. Jak to opisać? Jak wyjaśniać? Interpretować? W którą stronę?

Stały rytm. Spania, chodzenia, pisania. Mało czyta, raczej kryminały. Nie jest bywalcem teatrów, filharmonii czy muzeów. Nie przesiaduje w czytelniach i bibliotekach. Łóżko, trakt, notes i coś do pisania.

Matka, ojciec, szpital. Garwolin, plac Dąbrowskiego, Chamowo, Hoża, Żoliborz, Magdalenka, Obory, Saska Kępa, MDM, Marszałkowska, Lizbońska, Chłodna i inne. Jak w tunelu. Podróże, między innymi do Gdańska, Sopotu, Poznania i dalsze: do Macedonii, Egiptu, USA, Kanady.

Wkręty, wykręty, dokręty. Rozwinięcia, zaniechania. Seksprzygody i związki romantyczno-współzyciowe. A życie intelektualne i duchowe? W rozbucho? W zaniku? W normie? Jaka jest ta jego norma?

Za mało nad sobą pracuje? Nazbyt sobą jest zajęty?

Mironczarnia, Miron i jego męka, męczarnia, rozczerwanie siebie i świata, rozjaśnianie, w cieniach szarości, ściemnianie i bielenie. A może tylko czarowanie, kołowanie?

Przesłania sobą? Jego twarz, sylwetka, głos, nasze wyobrażenia i zasłyszenia o nim,

przypominanie fragmentów, fraz, słów. Wdajemy się w to, wtapiamy lub próbujemy wejść, szukamy wyjścia, raz tak, raz tak, na ile to możliwe. Ale gdzie prowadzi?

„Kicia Kocia się przelęknęła, że Anula będzie na nią zła. I z tego wszystkiego pojechała do Anuli. Nie zastała jej. Pojechała drugi raz. Anula to doceniła, że widocznie Kici Koci bardzo na niej zależy. Swoją drogą i ja pojechałem do Anuli innego dnia, żeby osobiście jej to wytłumaczyć. Anula się tym wszystkim ubawiła. Powiedziała mi, że poprzedniego dnia o ósmej wieczorem poszła niby spać, ale właściwie nie spała. Ocknęła się o trzeciej w nocy. I zaczęła się zastanawiać, co ona przez te siedem godzin w nocy robiła, i przypomniała sobie, że o ósmej wieczorem, tak z głową trochę odwróconą, przy świetle żarówkowym, w bok powiedziała słowo »jaśmin«, coś jej zapachniało, zaczęła sobie wyobrażać jaśmin i powtarzać »jaśmin, jaśmin«. I nie wie, czy spała, ale chyba właściwie nie spała. I tak na temat tego jaśminu przez siedem godzin”.

Do Obór przywiózł czarne ceraty, pozasłaniał nimi okna i pokój ma ciemny. To teraz jest jego pokój. Strykowski mówi mu, że jest taki antyliteracki, pisze niby jak naiwny prostaczek, z aprobatą.

Puste przebiegi, banały i rzeczywiste perełki. Znużenia, znużenia, ale i ożywienia, poruszenia. Ślimaczenie się, doły, dołki, drażnienie, ale i podniebne loty. W Skopje i okolicach jest prawie jak w Warszawie. Znośna i nieznośna lekkość. Niefrasobliwość? Nie kontroluje się? Na wybór kardynała Wojtyły na papieża re-

aguje dosyć osobliwie i jeszcze dodaje te smutno-śmieszne dopiski. Taki jest? „Pisanie nieraz wbrew sobie, choć jestem jednocześnie w tym, co robię”. Usprawiedliwienie? Zabezpieczenie?

Optymista? Satyryk? Sceptyk? A może karykaturzysta? Spod jasnej czy ciemnej gwiazdy? Organizuje czy dezorganizuje? Ład wprowadza czy chaos? Brat-łata czy nietowarzyski sobek? Skromny, nieskromny? Przyzwoity, nieprzyzwoity? Dwóch, a może i trzech w jednym?

Leci do Afryki. Egipt jest jak fatamorgana. Co z tego się pamięta? Nastrój, styl, jakąś aurę, wskazanie, bliskość, człowieczeństwo? „Obojętność może wynikać z powolności temperamentu i z piekła rezygnacji”. Czym jest to piekło rezygnacji?

Paleta kolorów, szarość, biel i czerń, prześwity, zamurowania, ściany. Sny, zapisy rozmów i myśli, przemyślenia, niedomyślenia i pasma bezmyśleń. Strzępy, natłok, pustki, przerwy, luki, szare i ciemne przejścia i labirynty. Niekiedy brzmi to jak muzyka, karmi, daje radość, ale i smuci, zobojętnia, umelancholijnia.

Jest lekki jak piórko. Bawi, zachęca i zniechęca, błądzi lub idzie naprzód, to tak, to siak. Poważnieje, upoważnia, daje patent i znika, znowu spowalnia i znowu jest beztroski, dzwonią dzwonki i dzwoneczki, a może nam tylko tak się wydaje. Widzimy też literatów, szkicowo, wrywkowo jakby przypadkowo, poetów, prozaików, krytyków, tłumaczy. Są ibłowskie profesorki, krąg towarzysko-rodzinny, Jaddwiga, Ania i Tadzio Escy, Kicia Kocia, Le, Lu i Lu, i inni.

Są fragmenty magmowe, nie do czytania, ale są i wspaniałe, cudowne. Z pogranicza prozy i poezji, a właściwie z ich zmieszania, w tej matni. Miłosz jest w tym mistrzem, na swój sposób Herbert i Różewicz, on jest inny. Zagaduje i ucieka w dygresje, dialoguje, ale częściej monologuje, z ekspresją i bez ekspresji, jałowo, a czasami nie, powtarzalnie i niepowtarzalnie, z chęci i z niechęci, żeby szło.

Wyznaje: „Poezja – ma być załapaniem nieogarniętego, próbą przecisku – i traci; okazuje się, że nieogarnięte jest niejasne, nie przejdzie wszystko przez ucho igielne, i dobrze. Za mniemane braki, starcie z formą, z tym przeciskiem, muzeum ograniczenia, niespodzianka formułowań, brzmień – jak odpłata”.

Przejścia, nawroty, kawałki i kawałeczki, drobnienie, szatkowanie, ale spina styl, on, narrator. Place, ulice, zakręty, skrzyżowania, korytarze, wejścia i wyjścia. Złe i dobre nastroje, życiowe, prozatorskie i poetyckie, choć trudno rozdzielić jedno od drugich. Przysposabianie, poprawianie, wczytywanie, szukanie, przepisywanie i ustalanie, rozwijanie ciągu.

Ameryka. Ćmienia, jaśnienia i znowu ćmienia, ściemnienia, ciemności, błyski, znowu jak w Warszawie i okolicach. Niepewność i zewnątrzność bycia. W Nowym Jorku zamiast pójść na manifestację antypolskorządową (jest październik 1982), idzie do sklepu porno oglądać świerszczyki i filmiki; nie chce narażać się konsulatowi, bo ma tam swoje interesy. Okropne, żałosne scenki jak ta z susianiem do pudła po soku pomarańczowym.

Nie ma kogo lub czego na stałe w tym się uchwycić, chyba że jego, bo ciągle jest, on i w kółko on, Miron i Miron, na okrągło, jego tok. Przesiaduje w kinie dla homoseksualistów, które nazywa „kinem mojego obrządku”, nie tylko filmy tam wyświetlają. A nocuje u zakonnic. Po co takie rzeczy pisać? Po co drukować? Ale przecież są te śliczne fragmenty, żywe i wciągające, inspiracje, realne zaczarowania, a to już wiele.

Staję się niekonsekwentny? Tak jak on. Na co mi to potrzebne?

W Polsce trwa stan wojenny, ale mało go to obchodzi. Tak, jest irytujący, bywa nie do przyjęcia, ale zaraz znowu zachwyca w tych niezwykłych błyskach-epifaniach, kawałkach, ułamkach, pojedynczych zdaniach, równoważnikach zdań i ich seriach, a nawet tylko samych słowach. O Barańczaku tyle ma do powiedzenia, że „straszenie zapolitykowany” i odwiedza go dlatego, że napisał o nim książkę, a nie że jest opozycjonistą i walczy o wolność. Miłosz do niego dzwoni, chce z nim rozmawiać, ale nie za bardzo jest o czym.

Opis jego amerykańskiego lokum: „Na jednej ścianie mojego pokoiku okno (zasłaniane roletą) i krzyż, na drugiej drzwi pakamerzyku i serce Jezusa, trzecia, koło łóżka – pusta, czwarta z telefonem i lustrem, w którym odbija się serce Jezusa”.

I ciągle: kino porno, orgie, sex shopy. Przy Miłoszu rzeczywiście jest, jak sam mówi, „gapowaty, intelektualnie nierozgarnięty”. To smutne, chociaż nie aż tak bardzo, bo Miłosz to kolos, potęga.

Wiele jest o Murzynach różnych rzeczy, które mogą razić. W rzeczywistości, w nierzeczywistości, rozdzielaniu, nierozdzielaniu, dzieleniu i łączeniu. Zawodzą zmysły i rozum, ale nie daje za wygraną.

„Zatęskniłem dziś – po przebudzeniu – za starym korytarzem na Lesznie, z tamtymi ludźmi. Korytarz od 1944 r. nie istnieje. Zacząłem go sobie dokładnie wyobrażać. Pomyslałem: czy chciałbym w nim być?

Czy jako tamten z tamtych czasów? Nie, bo za naiwny.

Czy jako ten dzisiejszy? Nie, bo za sceptyczny.

Jedyna rzecz: niech ten korytarz zostanie sobie beze mnie. W mojej wyobraźni”.

„Kicia Kocia

– ty umiesz słuchać innych

– tak, mam ten dar

– to ciekawe, mimo twojego egocentryzmu, a może umiesz słuchać dlatego, że jesteś egocentryk. Ty słuchasz, jak ktoś mówi?

– tak.

Nie mam za to potrzeby włączania się w uczuciowość masową, może dawniej czasem tak, teraz nie. Wiem, że uczucie osobności jest zwodnicze. Zdaję sobie sprawę z nieoryginalności osobności, z jej pozorów. Jednak nic mi to nie przybliży potrzeby społeczności. Więc mam dystans do »Solidarności«. Bo właśnie teraz jest czas kołysania się razem. Ja się z nimi razem nie kołyszę. Ale na osobności słucham ich uważnie”.

Niekiedy mozół, pisanina. Roi słowa, wybija rytm, ro, mi, mi, ro, roni, miarkuje, miaruje, miruje, mironuje, minuje i rozmi-

nowuje, rozmironowuje, po i co w trakcie, mironicznie i mironowo, może miarowo, na ogół nie, pazurami, pazurkami i po ścięciu też.

Wszystko staje się zmienne, inaczej niż w dzieciństwie.

Po co tyle pisać? Po co pisać ciągle? To, co się dzieje. Nawet gdy przeżera się ptasim mlekiem, po rzyganiu, rozwolnieniu, bólach żołądka, osłabieniu, zawrotach głowy, bezsenności, bólach – też zapisuje.

Notuje: „Przyjemność pisania jest niezastąpiona niczym”.

Rzeczywiście?

Z *Pogorszenia*, które obejmuje czas od maja 1982 do kwietnia 1983, zostały trzy zeszyty, cztery zaginęły lub ktoś je zniszczył. Jeszcze trzynaście listów do Eumenid, czyli dawnych Erynii – Marii Janion, Marii Żmigrodzkiej i Małgorzaty Baranowskiej, pisanych z reanimacji w Szpitalu Grochowskim i z rehabilitacji w Aninie, ostatni z 6 maja 1983.

Zmarł w nocy z 17 na 18 czerwca 1983.

Ostatni wiersz, z 26 maja, kończący się:

jeszcze coś z czegoś wybieram  
jeszcze się czają niemożliwości

Krzysztof Myszkowski

Miron Białoszewski, *Nadawanie. Pogorszenie. Tajny dziennik 2 oraz Listy do Eumenid, Utwory zebrane*, tom 16, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023

## Portrety w autoportretach

Książka Adama Zagajewskiego *Najwyższy człowiek świata. O Józefie Czapskim* posiada swoją własną historię, naznaczoną tragicznym wydarzeniem. Autor miał w zamyśle poświęcić Józefowi Czapskiemu zbiór sześciu esejów, tak właśnie zatytułowanych, ale ten zamiar pokrzyżowała mu nagła choroba i śmierć. Pozostawił cztery wcześniej opublikowane eseje oraz jeden nieukończony. A jednak, wbrew wszelkim trudnościom, dzięki inicjatywnie Mai Zagajewskiej, żony poety, oraz przyjaciół, a także Wydawnictwu a5, książka powstała. Inna trochę niż zamierzona, ale moim zdaniem – nic oczywiście nie ujmując eseistycznym talentom Zagajewskiego! – ciekawsza, a przynajmniej bardziej wielostronna. Opracowując ją pomysłowo i starannie, Andrzej Franaszek zrekonstruował nieukończony esej poety, a całość uzupełnił korespondencją Zagajewskiego z Czapskim z lat 1983–1989 oraz zapiskami z tego okresu zawartymi w *Dzienniku* malarza. Zamieścił również rozmowę, którą prowadzili z Czapskim Barbara Toruńczyk i Marek Zagańczyk, oraz rozmowę z Zagajewskim o Czapskim przeprowadzoną przez Zdzisława Kudelskiego. Bardzo dobrym pomysłem było przypomnienie wierszy Zagajewskiego, o których pisze Czapski, oraz kolorowych reprodukcji obrazów malarza, stających się przedmiotem namysłu poety. Ten zabieg pozwala lepiej śledzić wzajemne uwagi korespondujących o ich twórczo-

ści. Rzecz kończą wiersze Zagajewskiego poświęcone Czapskiemu, bardzo dokładne i staranne przypisy oraz *Posłowie* pióra Franaszka. Uwagę od razu zwracają zdobiące okładkę znakomite i nader wymowne zdjęcia autorstwa Mai Zagajewskiej: na jednym z nich, zgodnie z tytułem, podczas spaceru w podparyskim miasteczku Sailly w roku 1986, prawie dwumetrowego wzrostu malarz góruje nad poetą, na drugim to poeta, stojąc, „góruje” nad siedzącym malarzem, co symbolicznie ustala między nimi bliskość, a także chwiejną i zmienną równowagę. Jednym słowem, jest to książka w dosłownym i przenośnym znaczeniu wielobarwna, nieczym palimpsest wielowarstwowa, a ponadto znaczeniowo migotliwa.

Wylaniają się z niej pośrednio, dające się zrekonstruować na podstawie tekstów, dwa autoportrety Czapskiego i Zagajewskiego, zaś bezpośrednio ich portrety, przez nich nawzajem szkicowane. Autoportrety, dosyć cząstkowe, fragmentaryczne współtworzą materiały o różnym stopniu emocjonalnego i semantycznego skupienia, słuchające odmiennych reguł sztuki. Zagajewski jawi się tutaj nade wszystko jako poeta, eseista i epistolograf, Czapski jako autor listów oraz prywatnego dziennika. W jego autoportrecie brak niestety esejów, w tym także dotyczących malarstwa, co znacznie zuboża jego wizerunek. Z kolei na kreślony przez poetę portret malarza składają się wielorakie materiały: listy, wiersze, fragmenty wywiadów oraz reproduktowane obrazy, na portret poety – jedynie listy przyja-

ciela oraz drobne zapisy w jego *Dzienniku*. Inaczej mówiąc, każdy portretujący przegląda się w kreowanym portrecie niczym w zamglonym lustrze, natomiast portretowany odzwierciedla niektóre rysy portretującego. Słowem, zależność jest obustronna. Portret Czapskiego zostaje w znacznym stopniu wzbogacony przez jego „ramę”, czyli eseje Zagajewskiego, które, poza wszystkim, przedstawiają tego wybitnego myśliciela i artystę również jako wyjątkowego człowieka – do głębi prawego, pełnego ujmującej prostoty, wdzięku, dobroci, gotowości niesienia pomocy innym, czasem nieco egzaltowanego, a nawet do pewnego stopnia naiwnego. Jednocześnie wybuchającego głośnym protestem przeciwko wszelkim objawom zniewolenia, podłości, nikczemności i okrucieństwa.

Dzieliło ich właściwie wszystko – osobiste losy, pół stulecia, w którym przewaliła się tragiczna i krwawa dwudziestowieczna historia, przynależność do dalekich od siebie pokoleń oraz całkowicie odmiennych formacji kulturowych, pochodzenie społeczne, rodzaj wychowania wreszcie forma artystycznej działalności. A jednak bardzo się do siebie zbliżyli. Czapski nawet nazwał Zagajewskiego „swoim bratem”. Książka daje się zatem czytać jako zapis ich wzajemnej sobą fascynacji oraz rodzącej się i pogłębiającej serdecznej przyjaźni, co Andrzej Franaszek dokładnie i subtelnie odtwarza w swoim Posłowniu. Trafnie wskazuje przy tym na zasadniczy spór, jaki malarz i poeta toczyli ze sobą o porządek świata, a dokładniej o ból istnienia. W jed-

nym w listów Czapski podsumował ten spór słowami: „umieściłeś mnie na krańcu moich krzyków i hysterii o grozie życia w ogóle. A siebie jako obrońcę tego świata przez jego piękno. Sprawa jest bardzo inna. Każdy z nas, przypuszczam, ma w sobie te dwie strugi myśli. W każdym razie ja, gdybyś widział chociażby te fotografie drobnej części moich płócien, widziałbyś, że i ja przed samym sobą bronię piękna natury. Trzy ćwierci tych obrazów to pola i zachody słońca i chmury różne i nawet parszywe wazoniki na starych krzywych stołach. Ale przecież ten hołd mój i miłość natury jest równoległy z krzykiem, że życie jest niemożliwe” (list z 31 lipca 1987).

Zagajewski w jednym z wcześniejszych listów słowa przyjaciela o okrucieństwie świata uznawał za „przeciw-szczepionkę”, dodając, że „sam akt pisania wierszy jest pewnego rodzaju teodyceą, usprawiedliwieniem Boga i jego świata” (list z 15 kwietnia 1986). Jak dodaje Franaszek, skoro „gwałtowność uczuć Czapskiego jest czymś niebezpiecznym, właściwie toksyną”, to „może wszak ratować przed powierzchownością odczuwania, przed choćby pograżeniem się we własnym, najbardziej osobistym szczęściu” albo przed nadmierną egzaltacją. Oczywiście obydwu przyjaciół różniła odmiennność temperamentu, gwałtownego u Czapskiego, spokojnego i melancholijnego u Zagajewskiego. Ale ta różnica, jak sądzę, sięgała głębiej.

Nie mam zamiaru streszczać esejów Zagajewskiego, byłoby to bezcelowe i w pewien sposób humorystyczne. Piszę

o swoim przyjacielu mądrze, przenikliwie i po prostu – pięknie. Ma zresztą rację, twierdząc, że „O Czapskim pisano już sporo, w Polsce i za granicą. Mimo to wydaje się, iż jesteśmy dopiero na początku drogi...”. Zdecydowałem się zatem rozpocząć lekturę tej książki od tekstów, których nie znałem, bo nie były dotychczas publikowane, od korespondencji i fragmentów dziennika Czapskiego. Zawsze zastanawiało mnie, na czym polega sekret swoistości i odmienności stylu autora *Na nieludzkiej ziemi*, którego uważam za jednego z najwybitniejszych polskich pisarzy, wciąż za mało chyba docenianego. Jego listy wymieniane z Zagajewskim, osobą tak od niego różną, a zarazem w jakimś stopniu podobną, oraz notatki czynione na gorąco w *Dzienniku* trochę zbliżają do odpowiedzi na to pytanie.

Przede wszystkim: Czapski, jak można zauważyć, tym samym stylem posługuje się w całym swoim piśmierstwie, niezależnie od tego, jaki gatunek w danym momencie uprawia – czy jest to esej, wspomnienie, dziennik czy prywatny list, wszędzie odciska swoją niepowtarzalną sygnaturę. Pisząc, nieodmiennie pozostaje sobą, nie uprawia żadnych gier, nie kryje twarzy za maskami, całkowicie pozbawiony jest egocentryzmu i kokieterii, ale zarazem – z lekceważeniem odnosi się do konwencji, jakby w ogóle nie istniały czy go nie obowiązywały. Te cechy wcale nie są tak powszechne! Dzieła wielu pisarzy, także ich korespondencja, to nierzadko parada w rozmaitych kostiumach oraz odgrywanie wielorakich ról. Skrajnym tego, choć

nieodosobnionym przypadkiem jest piśmierstwo Witolda Gombrowicza. Jednolitość stylu oraz dystans wobec obowiązujących norm nie są u Czapskiego wyłącznie, jak sądzę, rezultatem jego radykalnego zerwania ze swoim, arystokratycznym środowiskiem czy immanentną cechą jego osobowości oraz wrażliwości. Polszczyzna Czapskiego uderza bowiem zasadniczą odmiennością nawet od polszczyzny pisarzy emigracyjnych należących do podobnej warstwy społecznej.

Wystarczy jego styl porównać ze stylem Konstantego A. Jeleńskiego. Zapewne waży tutaj fakt, że język polski był dla nich tylko jednym z języków, którymi się biegle posługiwali, wzbogacał się zatem przez wielojęzyczne otoczenie. Jednakże Czapski pisze inaczej niż Jeleński. Jego styl pełen jest obcojęzycznych kalk, których u tamtego trudno znaleźć. Być może dlatego, że Jeleński urodził się w 1922 roku i wychowywał się w międzywojennej Polsce, został absolwentem prestiżowego przedwojennego warszawskiego gimnazjum imienia Stefana Batorego, maturę zdał w 1939 roku w elitarnym liceum w Rydzynie. Tymczasem Czapski urodził się w 1896 roku w Pradze, ale wzrastał w państwie rządzone przez cara i studiował prawo w Petersburgu. Obcych języków uczył go w rodzinnym pałacu w Przyłukach guwernantki. Oczywiście znał polski od dzieciństwa, ale polską literaturę odkrył dla siebie dosyć późno, zafascynowany *Legendą Młodej Polski* Stanisława Brzozowskiego, a później listami Cypriana Kamila Norwida.

Innymi słowy, polszczyzna autora *Tumultu i widm* uformowała się od początku poza wpływem wzorów, standardów językowych, nawyków oraz lektur polskiej inteligencji, zwłaszcza tej, która zamieszkiwała Polskę centralną. O jej kształcie i barwie decydowały zatem – obok mocno uwewnętrznzonego wpływu obcych języków – nieskrępowany i samodzielny wybór środków ekspresji. Widać to bardzo wyraźnie już w pierwszym liście, który Czapski pisze do Zagajewskiego 23 maja 1983 roku: „Drogi Panie, To »drogi« nie jest zdawkową formułką. Chciałbym tylko powiedzieć i podziękować: dotknąłem do Pana tomiku (ja się boję wierszy, których nie znam; zawsze się boję, że ich nie zrozumiem) i parę Pańskich wierszy było dla mnie nagłym szokiem: ja już wiem, kto Pan jest. [...] Pan jest trochę »Niemiec« – mam dwa takie przekazy niemieckie, które mam zawsze przy sobie [...]. Ja nie znam ani Hofmannsthala ani Hölderlina; tak samo nie znam, jak Pana nie znam. I Pan mi dał nagle takie samo wzruszenie, że płaczę”.

Wyraźne kalki z obcych języków, głównie zapewne z rosyjskiego, nadają tej wypowiedzi nieoczekiwaną wyrazistość. Bo przecież silniej brzmią zdania: „ja już wiem, kto Pan jest”, „Pan jest trochę Niemiec”, „Pan mi dał [...] takie samo wzruszenie, że płaczę” niż ich formy gramatycznie poprawne. Dosyć paradoksalnie, właśnie dzięki tym potknięciom i pewnej chropowatości, być może pobrzmiewaniem również staropolszczyzną, mowa polska jak gdyby odzyskuje swoją świe-

żość i wigor oraz nabiera nowych, nieoczekiwanych blasków.

Poza odmiennym „sformatowaniem” językowym Czapski łamie także obowiązujące powszechnie konwenanse: z jednej strony pisze, że się obawia, iż wierszy Zagajewskiego nie rozumie, z drugiej wyznaje, że ich lektura pobudziła go do łez. Ta jawna emocjonalność i bezpośredniość, wręcz uczuciowa nagość, czyli ostentacyjne zerwanie osłony, którą stanowią powszechny obyczaj i konwenans, unieważniają dwudziestowieczny styl bycia, zalecający uczuciowy chłód, dystans i powściągliwość. To druga cecha stylu wypowiedzi Czapskiego, która jak gdyby przenosi go w epokę romantyzmu, gdzie poeci nader chętnie ronili łzy. Czapski jest w piśnieniu poruszająco szczery, a przecież brak w jego wypowiedziach sentymentalizmu czy ekshibicjonizmu! Wyraża niesłychanie otwarcie swoje mocne wzruszenia, ale nimi nie epatuje, doskonale zna granice, których nie wolno przekroczyć, i starannie ich przestrzega. Podobnie jest zresztą, gdy na przykład w *Dzienniku wojennym* analizuje niezwykle wnikliwie i subtelnie swoje najbardziej intymne doświadczenia religijne i erotyczne.

Być może tak silne i nieskrywane wyjawianie emocji bierze się w jego piśmarstwie, oczywiście poza charakterologicznymi skłonnościami, o czym nader trudno wyrokować, z formotwórczego wpływu kultury rosyjskiej, z obracania się w młodości głównie w kręgu Rosjan oraz z intensywnych lektur między innymi Lwa Tołstoja i Fiodora Dostojewskiego,

do których często się w swoim pisarstwie odwołuje. Chyba nie przypadkiem tak łatwo nawiązywał kontakty z wybitnymi rosyjskimi pisarzami i myślicielami, na przykład z Dmitrijem Mereżkowskim, oraz przyjaźnił się przez lata z Dmitrijem Filosofozem. W tym kontekście nader wymownie brzmi odpowiedź Zagajewskiego na cytowany list: „Rzeczywiście, trochę jestem »Niemcem« – jak Pan napisał – to znaczy pociąga mnie ten kąt, pod jakim niemiecka poezja obserwuje świat. Jak na autora »słowiańskiego« jestem trochę suchy i chłodny. Ale bezustannie śledzę w sobie presję »słowiańskich« klimatów i czuję, że granica między tymi dwoma żywiołami przebiega przez mój umysł” (list z 5 czerwca 1983).

Powiedzieć, że Czapski był bardziej Rosjaninem, a Zagajewski bardziej Niemcem, byłoby nie tylko grubym, ale i zabawnym uproszczeniem! Niemniej żywioł słowiański z pewnością silniej wywierał presję na malarza niż na poetę. Jego wylewność oraz emocjonalna eksplozywność stylu bardzo kontrastują z powściągliwością i dystansem przyjaciela oraz jego skłonnością do spokojnej autoanalizy. Może to wpływ kultury polskiej, emocjonalnie chłodniejszej od kultury rosyjskiej, a także obecność wzorów zachodnich? Tego typu uogólnienia zawsze są ryzykowne i zawodne, trudno jednak pominąć różnice temperamentów narodowych, nawet jeśli to grozi zatrześnięciem się w pułapce stereotypu.

Czapski często używa niekonwencjonalnego określenia „szok”, pisząc o swych

silnych i wyjątkowych odczuciach towarzyszących nie tylko odbiorowi wierszy Zagajewskiego, ale także niektórych obrazów, literackich dzieł, a nawet zaobserwowanych scenek ulicznych. Po odczytaniu mu na głos przez Zagajewskiego jego wiersza *Noc* powiada: „Są rzeczy zupełnie niezrozumiałe, jeżeli chodzi o przekaz w sztuce. Człowiek czyta, chwali czy gani wszystko zewnątrz i nagle jest szok. Słuchając Ciebie, miałem wrażenie pierwszy raz tego szoku. Kiedy się ma wrażenie, że wszystkie słowa, nawet najbardziej zdarte, rodzą się na nowo, po raz jedyny i niepowrotnie” (list z 24 czerwca 1985).

Nie ukrywam, że tak właśnie czytam teksty Józefa Czapskiego, z poczuciem, że u niego „wszystkie słowa, nawet najbardziej zdarte, rodzą się na nowo, po raz jedyny i niepowrotnie”. Dochodzi do prawdy, jak w tym liście, pośpieszenie i niecierpliwie, krótkimi, równoważnymi zdaniem, niczym gwałtownymi, ale celnymi pociągnięciami pędzla. Jeśli może to być cechą wyróżniającą poezję, to Czapski był również, w jakimś stopniu, poetą. W każdym razie miał bardzo twórczy stosunek do języka. Byłaby to trzecia, obok formatującego wpływu wielojęzycznego otoczenia oraz kultury i literatury rosyjskiej, właściwość jego piarskiego stylu.

Trudno orzec, na ile prawdą jest powiedzenie, że „styl to człowiek”. W każdym razie w przypadku Czapskiego owa maksyma wyraża się poprzez język wewnętrznym rozedrganiem, nieustannym, doprowadzonym do ekstremum na-

pięciem między zachwytem i rozpaczą, olśnieniem momentalną urodą istnienia i odczuciem jego grozy, podziwem dla dzieła Stworzenia i głośnym protestem wobec Stwórcy za Jego obojętność na cierpienie. „Szok” wywołuje w Czapskim tyleż zachwyt pięknem przyrody, celność czyichś myśli, nazywanych przez niego „złotymi gwoździami”, czy trafne przez jakiegoś malarza dobranie koloru, co okrucieństwo, obojętność, małość i podłość – nawet wówczas, gdy jest to jedynie opis zachowań na przykład bohaterów Dostojewskiego czy Prousta. Styl Zagajewskiego jest, przeciwnie, spokojny i starannie wyważony, oparty na rozbudowanych długich zdaniach, niestroniących od powtórzeń, z powolnym namysłem rozkładający rytmy i subtelnie rzeźbiący intonacje. Poeta, choć podobnie jak Czapski był wyczulony na obecność w świecie zła i bólu, zdawał się z melancholią godzić na porządek wszechrzeczy.

Skoło w malarzu było coś z poety, to czy w poecie nie było również czegoś z malarza? Zagajewski z pewnością pozostawał bardzo wrażliwy na malarstwo i umiał o oglądanych obrazach znakomicie pisać, o czym świadczą choćby przytoczone w książce eseje. Ponadto, podczas gdy Czapski pędzłem, Zagajewski poetyckim słowem malował oglądane pejzaże. Wystarczy przeczytać takie wiersze, jak choćby *Pociąg do Maisons-Laffitte*, który zawiera bardzo w istocie malarski opis krajobrazów oglądanych z okna wagonu. Utwór kończą przejmujące słowa:

Jadę do mojego przyjaciela, mistrza.  
Mój przyjaciel traci pamięć.  
Jego miejsce zajmuje wiedza  
Lekka jak źródło mocy.

W jednym z wierszy, który już na początku znajomości zachwycił Czapskiego, Zagajewski pisał:

Nie pozwól rozpuścić się skupieniu  
Niech nieruchomo trwa błyszcząca  
chwila

*(Nie pozwól rozpuścić się skupieniu)*

Przy wszystkich różnicach tutaj się chyba najbardziej spotkali. Obydwaj byli łowcami epifanii, które jeden utrzymywał w wierszach, drugi na płótnie. Dla Zagajewskiego „błyszczące chwile” to olśnienie zmysłów pojedynczym zjawiskiem, euforia wywołana przez umykające momenty piękna ofiarowanego przez naturę. Nawet wiersz, w którym spacerując po parku, rozmyśla o słowach przyjaciela „świat jest okrutny”, kończy słowami: „spoza mgieł wyszło białe słońce / i przeszył mnie ostry harpun zachwyty” (*Okrutny*). W jednym z listów wprost wyznaje, że „Główne pytanie – problem cierpienia i Boga – dręczy mnie bardzo, ale najskromniejszą nawet próbę odpowiedzi dać mogę tylko w wierszu. Kiedyś przyszło mi do głowy, że być może status zła przypomina pod pewnym względem status piękna [...] mówiliśmy o tym, jak krótkie i przelotne są chwile olśnienia, kiedy jesteśmy otwarci jednocześnie na świat, jego niesłychane

piękno, i na sztukę. To są krótko chwile, które dają sens całej egzystencji i pozwalają przetrwać wielkie seanse nudy i nihilizmu. Otóż pomyślałem, że zło – tak jak się ono manifestuje w ludziach – także pojawia się w dawkach chwilowych” (list z kwietnia 1988).

Tak też odczytuje sztukę Czapskiego. Dostrzega w jego obrazach „wizyjność; one są zapisem świata, jednocześnie wiernym i przemienionym. Jest w nich piękno”. Ale czy tylko piękno?

Dla Czapskiego zło nie miało jedynie wymiaru ludzkich uczynków, było również nieusprawiedliwionym cierpieniem wszystkich stworzeń, w czym przypominał Czesława Miłosza. Bez wątpienia dawał w obrazach wyraz, jak to określił Zagajewski: „ekstazie widzenia”, czego świadectwem mogą być pejzaże *Żółta chmura*, *Tęcza*, *Autostrada*, *Widok Jeziora Lemańskiego z czerwonym samochodem*. Ale po zostawał zarazem niesłychanie wrażliwy, także w swoim malarstwie, na ciemną, okrutną stronę istnienia. Obok epifanii świetlistych, ekstatycznych, pojawiają się u niego epifanie mroczne, raniące, których brak w wierszach Zagajewskiego.

W wywiadzie z Toruńczyk i Zagajewskim Czapski wyznaje: „Zawsze mnie ciągnęło to, co się dzisiaj nazywa ekspresjonizmem. Niemcy, Skandynawia”. Zdumiewające słowa! Przecież w jego obrazach nie ma ani śladu tego stylu! Malarz dalej wyjaśnia: „Ale byłem we Francji, pod wpływem malarstwa Bonnard. Tamto jednak jakoś podświadomie przetrwało, przejmowały mnie zawsze sceny straszne.

Sceny tragiczne. Ja ich nie umiem – nie potrafię. Nie potrafię nic w tym rodzaju przekazać”. Tutaj pada zasadnicze wyznanie: „Mam wrażenie, że mój ekspresjonizm prawdziwy to nie jest robić karykaturę, namalować brzydką kobietę czy kalekę, ale wyrazić ból – ból istnienia. Wyrazić współczucie, które jest we mnie – współczucie wobec grozy życia. Przecież świat jest w zasadzie kulą ziemską nieodrywalną”.

Toteż, gdy zobaczy na stacji metra siedzącą samotnie kobietę, jest wyjątkowo poruszony: „To była Afrykanka, nie była całkiem czarna; są przecież kolory różne szczepów. W tłumie tej stacji była jak na pustyni – zupełnie sama. To był dla mnie wstrząs – wrażenie tej kobiety, jej samotności. Bardzo chciałem to namalować. Namalowałem. Zawsze uważałem, że to jest największy wyraz, który ja zdobyłem malarsko”.

Owym obrazem jest *Samotna kobieta*, reprodukowana w książce płótno z 1979 roku. „Ale niedawno – malarz dodaje – namalowałem płótno, w którym było nieskończenie więcej tego przeżycia niż w tej kobiecie, która jest ostatecznie dobrze wymalowaną starą kobietą”. Nie wiadomo, a szkoda, o którym ze swoich obrazów Czapski wspomina. Niemniej uderza jego nieustępliwe poszukiwanie artystycznego wyrazu dla „współczucia wobec grozy życia”.

Adam Zagajewski oddał swojemu przyjacielowi najpiękniejszy pośmiertny hołd w wierszu *Król* dedykowanym *Pamięci Józefa Czapskiego*:

Był tak wysoki (i dobry), jakby natura,  
dumna z siebie – wystawiła go na  
pokaz.

Mary McCarthy spostrzegła go kiedyś  
w tłumie  
w muzeum i zapisała: oto sprawiedliwy.

Pasjonowało go piękno. Ale brzydota,  
ból, były nawet bardziej obecne  
w rozmowie –  
choć on, wydaje się, nie zaznał ich  
wiele.  
(lecz czy naprawdę możemy tego być  
pewni?)

Czym jest ta chwila, kiedy objawia się  
boskość?  
Skąd możemy wiedzieć, skoro mówimy  
o niej

wyłącznie w czasie przeszłym lub  
przyszłym (z nadzieją!)  
Mówimy o niej, będąc już w innym  
kraju.

[...]

Umierał długo i cierpliwie; być może ci,  
co rządzą ziemią i grają w szachy,  
wahali się,  
czy tak wspaniała, wertykalną postać,  
króla,  
przewrócić, zamienić w poziomą linię,  
w pismo.

Aleksander Fiut

Adam Zagajewski, *Najwyższy człowiek świata.*  
*O Józefie Czapskim*, redakcja, opracowanie i po-  
słowie Andrzej Franaszek, Wydawnictwo a5,  
Kraków 2023

# N O T Y O A U T O R A C H

JERZY ANDRZEJEWSKI (1909–1983), pisarz, autor m.in. *Ładu serca*, *Nocy*, *Bram raju*, *Apelacji*, *Miazgi*, *Ciemności kryją ziemię*, *Już prawie nic* i *Nikt* (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1997 nr 4 (16), 2000 nr 1 (25), 2000 nr 2 (26), 2000 nr 3 (27), 2009 nr 4 (64).

MARCIN ANDRZEJEWSKI, ur. w 1943 roku w Warszawie, syn Jerzego Andrzejewskiego, inżynier elektronik. Mieszka pod Warszawą.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI, ur. w 1952 roku w Barczewie, poeta, eseista, tłumacz poezji frankofońskiej, regionalista; ostatnio opublikował *Oumuamua. Atlas wierszy światologicznych* (2022) oraz *Dziennik olsztyński 1989–1993* (2022). Mieszka w Olsztynie.

STEFAN CHWIN, ur. w 1949 roku w Gdańsku, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio opublikował *Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku* (2021) oraz *Wolność pisaną po Jałcie* (2022) (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 3; 2016, nr 4). Mieszka w Gdańsku.

ALEKSANDER FIUT, ur. w 1945 roku w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk literacki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Wyglądy i wglądy* (2022) oraz *Gry międzyludzkie Leona Neugera* z Elżbietą Jogałłą i Elżbietą Tabakowską (2022). Mieszka w Krakowie.

MAREK KĘDZIERSKI, ur. w 1953 roku w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Becketta i Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Bernharda

*Przeegrany* (2019) i *Pułapka Becketta* z Krzysztofem Myszkowskim (2020). Mieszka m.in. w Paryżu.

BOGUSŁAW KIERC, ur. w 1943 roku w Bielsku-Białej, poeta, krytyk literacki, aktor, reżyser; ostatnio opublikował *Tyle na chwilę. Wiersze z lat 1967–2020* (2022), *Był sobie* (2022) i *Dla tego* (2023). Mieszka we Wrocławiu.

WALDEMAR KONTEWICZ, ur. 1951 w Braniewie, poeta, prozaik, ostatnio wydał tomik *Tunel pod Ptaszkowską* (2022). Mieszka w Toronto.

KAROL MALUSZCZAK, ur. 1991 w Opolu, krytyk literacki. Mieszka i pracuje w Opolu.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI, ur. w 1952 roku w Toruniu, pisarz; ostatnio opublikował *Pułapkę Becketta* z Markiem Kędzierskim (2020) i *Fragmenty murów obronnych* (2021). Mieszka w Toruniu i w Bydgoszczy.

RON PADGETT, ur. w 1942 roku w Tulsie (Oklahoma), poeta, tłumacz (z francuskiego), prozaik i wydawca amerykański, związany z kręgiem pisarzy i artystów nowojorskich. Autor ponad dwudziestu zbiorów wierszy oraz licznych kolekcji prozy. Znany w Polsce z trzech wyborów: *Świry – Nuts* (dwujęzyczny, 2007; przełożył Andrzej Szuba), *Nigdy nie wiadomo* (2008; przełożył Jacek Gutorow) i *Bezczynność butów* (2018; przełożył Andrzej Szuba). W 2018 roku był gościem 7. Festiwalu Miłosza w Krakowie. Trzykrotnie odwiedził Polskę.

ROBERT PAPIESKI, ur. w 1965 roku w Warszawie, eseista, krytyk literacki i tłumacz; ostatnio opublikował *Spór o Rosję i inne eseje* (2022) oraz *Oblicza Iwaszkiewicza* (2023). Mieszka w Warszawie.

ANNA PIWKOWSKA, ur. w 1963 roku w Pruszkowie, poetka i eseistka; ostatnio opublikowała *Piękno i piekło. Opowieść o Beacie Obertyńskiej* (2021) oraz tomik *Furtianie* (2022). Mieszka w Warszawie.

Jerzy Plutowicz, ur. w 1947 roku w Białymstoku, autor wierszy i eseista; ostatnio opublikował *Dom pod gwiazdą wieczorną* (2022) i *Ogród za miedzą* (2023). Mieszka w Białymstoku.

KRYSTYNA RODOWSKA, ur. w 1937 roku we Lwowie, poetka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała wybór wierszy *Nic prócz O. Wiersze z lat 1968–2018* (2019) oraz tom *Cudze moje. Wiersze (wybór przekładów poezji z lat 1968–2020)* (2021). Mieszka w Warszawie.

PIOTR SOBOLCZYK, ur. w 1980 roku w Lublinie, autor wierszy, prozaik, badacz i krytyk literatury; pracownik IBL PAN; ostatnio opublikował *Obstrukcję insługi* (2022) oraz *Wydechy z bezrybocia* (2022). Mieszka w Warszawie.

ANNA SYNORADZKA, ur. w 1967 roku w Mikołowie, historyczka literatury, biografka Jerzego Andrzejewskiego. Ostatnio opublikowała *La période «kapiste» de Czap-ski* (2020). Mieszka we Francji.

LESZEK SZARUGA, ur. w 1946 roku w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji

niemieckojęzycznej i rosyjskiej, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował m.in. tomik wierszy *Mucha* (2022) i *Jeszcze trochę inne historie* (2022) (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2016, nr 1). Mieszka w Warszawie.

PIOTR SZEWC, ur. w 1961 roku w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; ostatnio opublikował *Po nitce* (2021) oraz *Miejsce* (2022). Mieszka w Warszawie.

ARTUR SZŁOSAREK, ur. w 1968 roku w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio opublikował *Wagary w czystcu* (2022). Mieszka w Berlinie.

ANDRZEJ SZUBA, ur. 1949 w Gliwicach, poeta i tłumacz poezji anglojęzycznej; ostatnio opublikował *666 strzępów* (2022) oraz przekłady wierszy Walta Whitmana *Powrót bohaterów* (2019), D.H. Lawrence’a *Kici, kici!* (2019) i Edgara Lee Mastersa *Epitafia ze Spoon River* (2020; II wydanie). Mieszka w Katowicach.

PAWEŁ TAŃSKI, ur. w 1974 roku w Toruniu, autor wierszy i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika; ostatnio opublikował tomiki *Going inside* (2021) oraz *Głosy i performanse tekstów. Literatura – piosenki – ciało* (2021). Mieszka w Toruniu.

MACIEJ WRÓBLEWSKI, ur. w 1968 roku w Elku, eseista i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika; ostatnio opublikował „...a małe dzieci do ognia wrzucali”. *Antologia wypracowań szkolnych (1945–1946) na temat II wojny światowej* (2021). Mieszka w Toruniu.

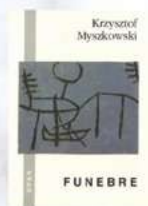
# Biblioteka Kwartalnika Artystycznego



**Grzegorz Musiał**  
*Al fine*  
1997, nakład wyczerpany



**Michał Głowiński**  
*Czarne sezony*  
1998, cena 20 zł



**Krzysztof Myszkowski**  
*Funebre*  
1998, cena 20 zł



**Piotr Matywiecki**  
*Zwyczajna, symboliczna, prawdziwa*  
1998, cena 20 zł



**Mirosław Dzień**  
*Cierpliwość*  
1998, nakład wyczerpany



**Jarosław Klejnocki**  
*W drodze do Delft*  
1998, nakład wyczerpany



**Bożena Keff**  
*Nie jest gotowy*  
2000, nakład wyczerpany



**Grzegorz Musiał**  
*Dziennik z Iowa*  
2000, cena 20 zł



**Janina Kościalkowska**  
*Bił me!*  
2000, nakład wyczerpany



**Maria Danilewicz Zielińska**  
*Biarke Konopnickiej*  
2000, cena 20 zł



**Grzegorz Musiał**  
*Kraj wzbronionej miłości*  
2001, nakład wyczerpany



**Jerzy Andrzejewski**  
*Dziennik paryski*  
2002, nakład wyczerpany



**Tadeusz Nowakowski**  
*Obóz wszystkich świętych*  
2003, nakład wyczerpany



**Mieczysław Orski**  
*Lastratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji*  
2002, nakład wyczerpany



**Kazimierz Hoffman**  
*Znaki*  
2008, nakład wyczerpany



**Krzysztof Myszkowski**  
*Addenda*  
2017, cena 30 zł



**Krzysztof Myszkowski**  
*Puste miejsce*  
2018, cena 35 zł



**Krzysztof Myszkowski**  
*W rozmowie*  
2018, cena 25 zł



**Krzysztof Myszkowski**  
*Punkt wyjścia*  
2019, cena 40 zł



**Marek Kędzierski**  
**Krzysztof Myszkowski**  
*Pulapka Becketta*  
2020, cena 35 zł



**Krzysztof Myszkowski**  
*Fragmenty murów obronnych*  
2021, cena 35 zł

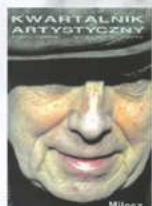
## Dodatki do „Kwartalnika Artystycznego”



**Zbigniew Herbert**  
2008, nr 2 (58)  
nakład wyczerpany



**Marek Kędzierski, Piotr Dzumala**  
*Rue Samuel Beckett: Barbara Bray*  
2015, nr 4 (88)  
cena 12 zł



**Czesław Miłosz**  
2011, nr 2 (70)  
cena 12 zł



**Hanna Borawska**  
*Kwartalnik Artystyczny. Bibliografia 1993–2017*  
2017, nr 4 (96)  
cena 12 zł



**Marek Kędzierski**  
*Giacometti*  
2013, nr 4 (80)  
cena 12 zł

prenumerata

kraj

zagranica

cu  
u p  
u r  
o se  
sa m  
uq n  
cote  
T  
Co  
mi  
ren  
ja  
sa  
in  
b  
na  
a p  
I  
p  
m  
ca



Książnica  
Kopernikańska  
w Toruniu

**Wydawca:**

Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska w Toruniu

**Adres redakcji:**

ul. Słowackiego 8, 87-100 Toruń

tel. 56 622 57 01

e-mail: [kwartalnik@ksiaznica.torun.pl](mailto:kwartalnik@ksiaznica.torun.pl)

[www.kwartalnik.art.pl](http://www.kwartalnik.art.pl)



Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze

**Prenumerata:** Anna Broda, tel. 56 622 66 42 wew. 105

Warunki prenumeraty 2023:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 60 zł
- zagranicznej – 40 USD / 40 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

72 1160 2202 0000 0003 5585 9625

„Kwartalnik Artystyczny”

**Projekt okładki:** Ewa Bathelier

**Korekta:** Katarzyna Dunajko

**Skład:** Karol Cyranowicz

**Druk i oprawa:**

Machina Druku Sp. z o.o.

ul. Kociewska 26f

87-100 Toruń

[www.machinadruku.pl](http://www.machinadruku.pl)

Samorząd Województwa  
Kujawsko-Pomorskiego



Urząd Marszałkowski  
Województwa  
Kujawsko-Pomorskiego  
w Toruniu

Dofinansowano z budżetu  
Samorządu Województwa  
Kujawsko-Pomorskiego

# N O W E K S I A Ż K I

Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza  
Czesław Miłosz, *Nowa edycja podobizny autografu „Świat (poema naiwne)” w osiemdziesiątą rocznicę powstania*, Warszawa 2023

Państwowy Instytut Wydawniczy

Marcin Cielecki, *Dziedziniec pogan*, Warszawa 2023

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich. Oddział w Łodzi

Piotr Gajda, *Goliat zwycięzca*, Łódź 2023

*Próby negocjacji. Szkice o twórczości laureatów konkursu im. Jacka Biereżina*, redakcja Rafał Gawin, Kraków–Łódź 2022

Wydawnictwo a5

Magdalena Bielska, *Poradnik dla niedawno zmarłych*, seria Biblioteka Poetycka T. 121, Kraków 2023

Wydawnictwo Austeria

Ksawery Pruszyński, *Fragmenty*, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2023

Wydawnictwo Convivo

Ewa Frączek, *Jedyna taka rzeczywistość*, seria Tangere, Warszawa 2023

Anna Matysiak, *Pojedynek*, Warszawa 2023

Grzegorz Wróblewski, *Niebo i jointy*, Warszawa 2023

Wydawnictwo Forma

Tomasz Dalasiński, *Dzień na Ziemi*, seria Kwadrat, Szczecin–Bezrzecze 2023

Piotr Fluks, *Nie z tego świata*, seria Tablice, Szczecin–Bezrzecze 2023

Daniel Liskowacki, *Do żywego*, seria Tablice, Szczecin–Bezrzecze 2023

Grażyna Obrąpalska, *Zanim pogubią się litery*, seria Struktury, Szczecin–Bezrzecze 2023

Kenneth White, *Przymierze z Ziemią*, wybór i przekład Kazimierz Brakoniecki, seria Szesnaście i pół, Szczecin–Bezrzecze 2023

Wydawnictwo mg

Fiodor Dostojewski, *Skrzywdzeni i poniżeni*, przekład Władysław Broniewski, Kraków 2023

Józef Hen, *Nikt nie woła*, Kraków 2023

Paweł Jasienica, *Ostatnia z rodu*, Kraków 2023

Marcel Proust, *Czas odnaleziony*, tom 7 cyklu: *W poszukiwaniu straconego czasu*, przekład Maciej Żurowski, Kraków 2023

Wydawnictwo Nisza

Jerzy Plutowicz, *Ogród za miedzą*, Warszawa 2023

Wydawnictwo Norbertinum

Arkadiusz Frania, *Kropka i kropka*, Lublin 2023

Wydawnictwo Oficyna

Gesualdo Bufalino, *Kłamstwa nocy*, przekład Halina Kralowa, Łódź 2023

Wydawnictwo Tadeusz Serocki

Kazimierz Nowosielski, *Wiersze rybnieńskie*, Pelplin 2023

Wydawnictwo Znak

Tadeusz Sobolewski, *Człowiek Miron. Prywatny portret Białoszewskiego*, Kraków 2023